

MAURYCY JOKAI

PORUSZYMY
Z POSAD ZIEMIĘ

POWIEŚĆ ^{druga} M. PODSOŃSKA
przełożyła Zakonane
PENSJONAT CZERNICHOVIANKA
Tel. 673.

A. CALLIER

~~258~~

»E pur si muove!«

TOM I

WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA

KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

1898



82n.5M.141-3



2636/1

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Февраля 1898 г.



SN 13426



~~Drówa M. PODSOŃSKA
Zakład~~

PORUSZYMY Z POSAD ZIEMIĘ!

Andrzej Jowak
Kierownik
składni i organizm do drzewa
w DUTENYSŁO

SŁOWO WSTĘPNE.

Kiedy Galileusz wyrzekł pamiętne swe słowa i nogą uderzył o ziemię, zapomniał wówczas najwidoczniej o małym tej ziemi kawałku, co tu od Karpat ciągnie się po Dunaj, zapomniał go popchnąć; cała ziemia poruszyła się przeto, a on jeden stał na miejscu.

Dokoła, na wsze strony, biegły wszystkie kraje, szczęśliwsze naprzód, wstecz nieszczęśliwsze, ale wszystkie w jakimś zawsze kierunku; Węgry tylko wciąż stały nieporuszone — a była to cnota, którą zwano rozumem stanu, umiejętnością nieruszania się z miejsca.

Warunkiem dla nich była owa *vis inertiae*, siła gnuśności. „Kto śpi mocno snadź ma czyste sumienie; kto ma czyste sumienie jest dobrym człowiekiem; *ergo* kto śpi mocno, jest dobrym człowiekiem“.

Aż nagle potem zjawili się ludzie niespokojni, co poczęli twierdzić, że ów sen głęboki jest jednakże wielce pokrewnym śmierci, i usiłowali kraj rozbudzić.

Dzieje takiego to właśnie niespokojnego człowieka, co pragnął w ruch wprawić ten kawałek ziemi, ja wam tu spisać zamierzam. W walce tej sam on padł złamany, został zgnębionym, zgniecionym, zdeptanym, mimo to wszakże nie wyrzekł się wiary, że „ona jednak się porusza“!

Cześć jego pamięci!

CYTWARSKA KRONIKA.

W debreczyńskim „wielkim lesie“ pod owe czasy istniała gospoda, po większej części uczęszczana przez studentów, która słynęła z doskonałego wina, a doskonalszego jeszcze gospodarza; miejscowość to pamiętna z czasów Csokonaia.

Izba gościnna była przytuliskiem *humanissimów*¹⁾; co niedziela po południu sala nabitą była studentami, którzy owocnym zwyczajem nosili długie czarne togi²⁾, czarne trójgraniaste kapelusze i twarze starannie mieli wygolone.

Proste sosnowe stoły, zagryzmołone nazwiskami owoczesnych i dzisiejszych znakomitości, ugiwały się pod ciężarem tych, co się na nich rozpierali.

Studenci i wyłącznie tylko studenci! Chodzili oni na „botaniczne“ wycieczki, a któż ze-

¹⁾ Humanissime, tytuł studenta.

²⁾ Toga, ubiór fałdzisty, sięgający do kostek, strój obowiązujący podówczas uniwersyteckich studentów.

choiałby brać im to za złe, skoro Dioszegi między charakterystycznymi znamionami rośliny, winną latoroślą zwanej, tak szczegółowo opisuje w swej książce sok z jej jagód wyciskany, że samo już pragnienie wiedzy i naocznych doświadczeń, pociągało niejednego z nich i sprowadzało aż do gospody starego Nagy.

W grupach studentów nawiązuje się przeplatana, naprzemian wesola, to poważna rozmowa. Poważna tam, gdzie jest mowa o akademickich egzaminach, wesola, nieco rubaszna czasami tam gdzie się poczynają nieskończone anegdoty z uniwersyteckiego życia. My wszakże nie pozostaniem u tego stołu, acz byłoby to może wielce przyjemnie posłuchać anegdot, które tam ów student z przystrzyżonymi przy skórze włosami, opowiada ciekawej, zaśmiewającej się gromadzie kolegów, w nagrodę spijając ich wino. Gospodarz honoruje go tytułem „*humanissime Aszályi*“.

My gdzieindziej iść musimy, bo gdzieindziej mamy zajęcia.

Tam to pan Nagy dozwala najwybrańszym tylko gościom swoim wstępować, sam przed nimi drzwi roztwierając, ciężkie drzwi okute; bez jego wiedzy i woli zaś nikt tam nie wstąpi.

Studenci miejsce to zwą między sobą „*sacro-sanctum*“.

Obie strony tego przybytku zajmują naturalnie rzędy beczulek. Pod bocznem sklepieniem wszakże stoi stół, otoczony zielono pomalowanymi krzesłami; na środku zaś stołu dzban wielki, obstawiony tuzinem blaszanych kubków.

Goście owego sacrosanctum przybyli właśnie. Jest ich jedenastu, dwunaste krzesło pozostaje pustem. Dziewięciu w togach, dwaj zaś przybrani są w światowe ubiory, wedle owoczesnej mody; obcisłe aż po biodra sięgające dolmany ze sznurami, obłożone dokoła białym barankiem, biały sfałdowany krawat, koszule ze szlarkami u mankietów, kamizelki w kwiaty i żółte buty. Są to prawdopodobnie „eksterniści“, nazwa przyjęta dla studentów prawa. A może to i nie eksterniści, ale mąciociele spokoju, którzy urągając wszystkim prawom kościoła, państwa, szkoły i społeczeństwa, samowolnie rzucili togę i ku zgorszeniu lojalnej ludności dość są bezwzględni, by ukazywać się w kusych dolmanach, a miejsce trójgraniastego kapelusza nakładać na głowę czerwony kaszkiet i tak przechadzać się po wielkim moście, co po bagniskach Debryczyna biegnie od kolegium ku drodze.

Jednemu z nich wszakże, trzeba mi to wyznać, nie przystoi zupełnie ten ubiór wyzywający, śmiały; naprzód dlatego, że ma za ledwie pięć i pół stopy wzrostu, a potem, że głowa jego tak jest wciśnięta w ramiona, jakby

nie miał zupełnie szyi. Głowa to długa, twarz płaska, nos zadarty w górę, usta szerokie, brwi szpecinowate; co zaś najwięcej go szpeci, to że kuleje na obie nogi, tak, iż gdy idzie, chwieje się w biodrach. Ten niepozorny student zwie się humanissimus Aleksander Viroczy.

Tem wspanialszą za to postacią jest drugi młodzieniec; wysoki wzrost jego, silnie zarysowany profil oblicza, łagodne brunatne oczy, delikatnie zakreślone brwi łuki, kasztanowate, sfalowane włosy, rozdzielone starannie nadają mu pozór marzyciela; tylko zaciśnięte usta stanowią kontrast z ogólną harmonią reszty rysów, wskazują owę twardą samowolę i upór, urągający wszelkiej przemocy. Natomiast czoło gładkie, pięknie sklezione, wyrównywa przeciwieństwo to zupełnie; jednoczą się w niem uszlachetnione już, czyste oba twarzy wyrazy i z miękości urasta poetycka podniosłość, która zamienia się w samopoznanie osobistej godności, w szlachetną dumę.

Jest to humanissimus Koloman Jenöi.

Z pomiędzy przybranych w togi trzy figury przedewszystkiem wpadają w oko. Jeden z nich nadmiernie wysoki, kościsty, wybujały a wątły, którego długa toga jeszcze dłuższym czyni, głowę ma naprzód pochyloną, jakby jemu samemu przykro było, że tak nad wszystkich sterczy, lub jakby szukał wciąż po ziemi jakie-

goś zgubionego przedmiotu. Wystające policzkowe kości, wysunięta naprzód broda wykazują w nim wolę silną i wytrwałość. Ten zwie się humanissimus Paweł Barko.

Inny znów młodzieniec wyróżnia się ruchliwością postaci. Twarz jego jest na pierwszy rzut oka nieprzyjemna, bo ospowata i czerwona, ale w ogniu ócz jego, w wyrazie twarzy gdy mówi, jest coś porywającego, co w jednej chwili twarz tę czyni piękną. To znów humanissimus Michał Borcsay.

Nakoniec jest tu jedna jeszcze godna uwagi postać: młodziutki chłopczyzna, o twarzy rumianej, którego muskularne ramiona występujące z pod togi i wypukła pierś szeroka, raczej pozwalają się domyślać jakiegoś za księdza przebranego huzara, niż słuchacza teologii. Ten zwie się humanissimus Franciszek Csuka.

Wszyscy jedenastu obścapił stół dokoła, każdy wziął w rękę kubek, a potem chórem zaintonowali pieśń studencką, której melodia poczyna się jakąś ponurą pogrzebową kantatą, dalej przechodzi w tempo marsza, a w końcu w istic szturmowy takt się przerzuca; jest to jedna z najdawniejszych pieśni przy kielichu, jakie kiedykolwiek stworzył który mistrz tonów:

Chwile życia, to cienie, co się szybko snują,
I nim spostrzedz zdołamy, w wieczność ulatują!

Głupim więc jest ten,
Kto martwi się i smuci,
Zamiast w błogiej wesołości słodko pędzić dnie.
Wszak życie, jak sen,
Przeleci i nie wróci,
Krótki żywot przy kielichu dłuższym staje się.
A więc dalej w dłoń puhary!
Trosk i smutków czarne mary
Niech przepadną na dnie czary,
Niech utoną tam!

A potem wrócili znów do pierwszego wiersza „Chwile życia, to cienie, co się szybko snują“.

Jednakże przy początku pierwszej zwrotki zdarzyło się, że któryś ze studentów przewrócił świecę tak, że dokoła zapanowała ciemność. Mimo to wszakże pieśń śpiewano dalej do końca i wtedy dopiero poczęto wołać:

— Panie Nagy, świeca zagasła!

Gospodarz natychmiast przyszedł z inną świecą i prawdziwie debreczyńskimi oczyma patrzył na wszystko. A „debreczyńskie oczy“ to takie, co to niechcą widzieć, choćby mogły.

Na długim stole nie było już śladu puharów; nie mieli ich też już studenci i w rękach; siedzieli teraz milczący i poważni u stołu, każdy miał przed sobą plik papierów, przed każdym z nich stał zamykany kałamarz. Tam zaś w końcu, gdzie przedtem stał dzban, teraz leżała gruba księga *in quarto*.

Gospodarz o nic nie pytał, nic nie mówił, pokiwał tylko trochę głową, a potem wyszedł.

Ta wielka książka była to „Cytwarska kronika“.

W 1665 roku nieznanymi autorami rozpoczęli pisać tę księgę w Saros-Patak, jeśli się nie mylę.

Był to zbiór dziwny wszystkich owych zajmujących, podrzędniejszych i ważniejszych dat, które historia, w wielkim pisana stylu, zapomniała zanotować na swoich kartach, albo które żelazna prawica przemocy z pośród kart jej wydarła, lub też wreszcie, które dworackie pochlebstwo w nich sfalszowało.

Stąd-to nazwa „Cytwarskiej kroniki“. Cyt! jest wykrzyknikiem, nawołującym do milczenia.

Jezuici, o których kronika wiele niekorzystnych zapisała rzeczy, puścili w świat mniemanie, jakoby to był stek kłamstw wyszukanych i szalonych wybryków. Więc ilekroć ktoś coś bardzo głupiego, lub jakieś kolosalne powiedział kłamstwo, odpowiadano mu przysłowiem: „No, to już zapisać chyba w Cytwarską kronikę“. Byli wszakże ludzie, wprawdzie niezbyt liczni, którzy wiedzieli co to jest owa kronika; ci atoli, lubo jej z wielką szukali gorliwością, nie mogli dowiedzieć się nigdy gdzieby była. Zostawała zaś ona zawsze w rękach młodzieży.

W tej kronice odnaleść było można zapomniane, pogrzebione smutne wydarzenia kraju; zawsze bywało tam coś, co chciano osłonić ta-

jemnią, o czem pragniono, by zapomniała potomność, by przypuszczała, że to było snem, kłamstwem.

Uwięzienie ostatniego ze Zrinych, który w swej kaźni zapomniał mowy ludzkiej.

Cierpienia trzydziestu galerników, którzy byli wszyscy węgierskimi protestanckimi księżmi.

Historia wiekuistego konopnego powroza, który hrabia Antoni Palffy nosić musiał aż do śmierci na szyi.

Żalodne listy Klemensa Mikes, sekretarza Rakoczego, pisane z Radosto.

Tajemnicza historia owych panów, których na presburskim sejmie zmuszono do milczenia.

Smutne dane co do powstania wielu wielkich, magnackich dziś majątków.

A pośród tego anegdotki, charakteryzujące wielkie historyczne osobistości. Marya Teresa naprzykład i żarty jej węgierskiego nadwornego błazna, z tłem w gruncie poważnem.

Wyjaśnienie tajemniczego widma na debreczyńskim zamku.

Potem znów niekiedy epigramaty, satyry i polityczne paszkwile.

Był tam zapisany wiersz Bercsenyi'ego:

Pomimo jego przysięg i przyrzeczeń wielu ¹⁾
Ludowi nie dowierzaj nigdy przyjacielu,

¹⁾ Przekład J. Matuszewskiego.

Bo, choćby on piśmiennem cię zobowiązaniem,
Wielkiem jak płaszcz twój cały, obdarzył, a na niem
Dużą pieczęć wycisnął tej formy i miary,
Co twarz księżycą w pełni — mimo to lud wiary
Nie dotrzyma ci nigdy, gdyż on zawsze kłamie,
A za to niechaj piorun skruszy go i złamie!

Sejmowe paszkwile; ów słynny, poczynający się słowami *compono, impono*, który napisano na sejm oedenburski; parodya pogrzebu praw sejmu 1791 roku.

Obelżywy wiersz, który napisali Jezuici na cesarza Józefa i w którym przezwali go *Josephus luthringus*, na co im cesarz odpowiedział: *Aquila non captat muscas* (Orzeł nie chwyta much).

Dalej berlińska piosnka, w której jest mowa o poczcie z dwoma tłómkami; w jednym mieszczą się łaskawe rozporządzenia, które król wydał w maju, w drugim czerwcowe ich odwołanie.

Tajne i głęboko ukrywane pisma: katechizm Martinowicza, proklamacya Napoleona I-go do Węgrów, dokumenta rodziny Crouy, wywodzącej się od Arpada; fatalny dramat, napisany na ścieżce Ludwika XVI, który nawet studenci w K. przedstawiali, i inne rzeczy smutnej pamięci, przysypane pyłem grobów ich autorów.

Dalej literackie osobliwości religijnej treści: aforyzmy Lutra; przykazania Jezuitów; tragedia tyrnawskich mnichów; formułka wywoływania

szatana w prastarych czasach; czarnoksiężstwo debreczyńskiego profesora Hatvani.

Były też tam proroctwa z odległych stuleci, które obecne czasy jaknajdokładniej przepowiedziały, i pamiętne wyrażenia wielkich ludzi.

I nuty zdawna przebrzmiałych pieśni, gdzieś zebranych chyba z powietrza, które niegdyś grywano na wojennych rogach zwanych *tarogato* i śpiewano w obozowych namiotach. Cytwarska kronika i to przechowała. Jej autorowie umieli wszystko: pisać, rysować, muzykę, wszystkie języki świata i kręcili się wszędy, dowiadywali o wszystkim, zbierali wszystko, wszystko czytali.

Taką to była mniej więcej treść cytwarskiej kroniki.

Urosła ona już do grubej, wielkiej księgi, a rok każdy dodawał jej coraz nowych kartek, połączonych wszakże i ujętych we wspólną okładkę oprawy ze skóry cielęcej.

Pisarzy kroniki było zawsze dwunastu; słowo honoru obowiązywało ich, by nigdy przed nikim nie zdradzili, gdzie się znajduje kronika. Skoro jeden z nich opuszczał kolegium, wybierano na jego miejsce innego; wybrany wszakże musiał za sobą mieć głosy wszystkich jedenastu członków. Byli tacy profesorowie, którzy za swych studenckich czasów brali równie udział w autorstwie kroniki, a później, gdy do władzy doszli,

przeciw niej się zwrócili; ale daremnie szukali jej już tam, gdzie bywała chowana za ich czasów. *Reverendissimus* A... śledził ją przez trzy lata, a przecież przez cały ten czas codziennie siedział na niej; była ona bowiem ukrytą pod estradą katedry.

Obecnie mieści się ona w piwnicy majstra Nagy; z którego wgłębienia wszakże czy niszki piwnicznej ją wyjmują, tego i sam Nagy nie umiałby powiedzieć.

Pisarze kroniki zgromadzali się co niedziela w piwnicy gospody w Wielkim lesie i udzielali sobie wzajem, co im się udało zdobyć w tym czasie. Większość orzekała, czy to jest godnem zamieszczenia w kronice, a potem czy można to odpisać, czy też ma jako unikat pozostać w księdze. Między sobą zaś nie nazywali dzieła tego nigdy „Cytwarską kroniką“, ale „Wieńcem“, ażeby tym sposobem tytuł się nie rozgłaszał.

Podówczas Koloman Jenöi był prezesem zgromadzenia kronikarzy.

Skoro gospodarz drzwi za sobą zamknął, Jenöi otworzył posiedzenie.

— Moi przyjaciele! Tydzień temu, jak wiecie, odrzuciliśmy wniosek jednego z naszych towarzyszy. Chodziło o „pieśń o bąku“. Jest to pieśń satyryczna, jakich niemało mamy w tej księdze; jest ona i popularną, bo daremnie Rada miejska przy bębnie ogłaszała po wszystkich

rogach ulic, by „pieśni o bąku“ nie śpiewano. Jednakże mimo to wszystko nie zasługuje ona na miejsce w kronice. Nikt z nas nie jest hypokrytą; zapisywaliśmy niejednokrotnie wyroki najokrutniejsze opinii publicznej na najwyżej stojących ludzi. Ale ów „bąk“ jest w błocie oszarganą, a przytem głupią pieśnią; tekst jej jest wstrętny, melodia prostacka; terażniejszość wstydzi się jej, a przyszłość o niej zapomni. Dlatego to nie wpisaliśmy jej w „Wieniec“. Towarzysz nasz, który proponował zamieszczenie i, jak wiemy, sam jest jej autorem, gniewa się na nas o to odrzucenie i dziś już nie stawil się pośród nas. *Genus irritabile vatum*. Lękam się, że będzie zdolnym do czegoś gorszego jeszcze. Wnoszę więc, aby dzisiejsze nasze posiedzenie w tem miejscu było ostatniem i abyśmy sobie na przyszłość innego poszukali schronienia.

Wszyscy uznali słuszność tego wniosku. Prezydującemu polecono wyszukanie tego miejsca. Towarzysz zaś, który nie przysławszy żadnego usprawiedliwienia, nie stawil się na zebranie, zostanie raz jeszcze zawezwany, zanim w jego miejsce obiorą innego.

— A teraz przejdźmy do porządku dziennego. Przyjaciół mój Aleksander Biroczy zapisany jest do pierwszego głosu.

Nizki, kulawy student powstał, wyjął z kie-

szeni futrzanej swej kurtki zabrudzone papiery i począł skrzypiącym, krzykliwym głosem:

— Udało mi się odnaleść wiersze satyrycznej treści, będące dotychczas unikatem.

— Prosimy o odczytanie!

— Pierwszym z nich jest poezya Józefa Ilovacs'a, nosząca tytuł „Do przeżytej szlachty“.

Bracia! Wyście szlachetni, choć puste głowy wasze,
Jeśli macie „psie skóry“¹⁾ w pieczęcie opatrzone;
Szlachetni, jeśli przodków, pokryte rdzą pałasze,
Wraz z starych lanc drzewcami, na ścianach rozwieszne.
Mieszkania wasze zdobią; szlachetni, gdy możecie
W podpisie „N“²⁾ ozdobne postawić przed nazwiskiem.
Ha! niedarmo, od wieków, na *psiej* to skórze przecie
Ów tytuł nadawano, co stał się pośmiewiskiem.
Miana „szlachcica“ godzien, kto zdolny jest do czynu,
Kto ukochał ojczyznę, ale nie ten, kto strojny
W zasługi przodków tylko, sam listeczka wawrzynu
Nie zerwał, wiodąc żywot leniwy i spokojny.

.....

Prawdziwe szczęście, że w owe czasy czernidło drukarskie nie mogło rozmnażać takich wierszy, bo autora ich osiągnąłby był troisty fatalizm niezawodnie; naprzód publiczność nabiłaby mu potężnych guzów, potem władze żywcem odarłyby go ze skóry, a wreszcie uciekająca z tej skóry dusza musiałaby popaść wprost do piekła.

¹⁾ Pergaminowe dyplomy.

²⁾ *Nobilis* (szlachcic).

Dziesięciu sędziów oświadczyło jednogłośnie, że wiersz ten godzien jest zapisania w kronikę i zarazem udzieliło pozwolenie skopiowania go.

Nizki, kulawy student otarł pot z czoła i podnosząc w górę brwi, które doskonale nadawałyby się do twarzy Satyra, rzekł, że ma jeden jeszcze wiersz *in petto*.

I drugi ten wiersz również, wyśmiewający nielitościwie ówczesną finansową gospodarkę, wpisanym został w karty kroniki.

Obie poezye skopiowano na papierach odpowiadających wielkością formatowi kroniki, tak, że je natychmiast wszyć było można.

— Teraz kolej na kolegę naszego Pawła Barko.

Długi, kościsty ten młodzieniec oddaje się z zapalem studyowaniu języków wschodnich, a cały czas wolny spędza po bibliotekach, od czego szyja pochyliła mu się ku przodowi; podczas wakacyi zaś odbywa dalekie piesze wycieczki i bada starożytności. Rzadko kto kiedy posłyszyc z ust jego słowo, a przecież mógłby każdemu w dziesięciu odpowiedzieć językach. Napisał już zajmującą rozprawę o Julianie, który za czasów Beli IV-go samotnie puścił się na odszukanie jednoplemieńców Węgrów; powrócił on i złożył raport królowi, że z tamtej strony Wołgi istnieje jeszcze dość liczny lud węgierskiego szczepu; że lud ten wyznaje dawną wiarę

i własnem posługuje się pismem. W tym czasie przecież mongolskie hordy rozlały się po całej wschodniej Europie, zapuszczając swe zagony aż w niemieckie dzierżawy. Dokąd one wyparły ów lud węgierski, któżby dociekł?

Odtąd Pawłowi Barko nie może wyjść z głowy, jakby to było pięknie odnaleść gdzieś na pustyniach owych pobratymców, ów prastary lud węgierski.

Obecnie przedstawia on właśnie swym towarzyszom węgierski alfabet. W dwunastem stuleciu jeszcze duchowni nawet posługiwali się tem pismem; jest ono złożone z prostych kresek, które łatwo było wyrznąć nożem na czterech stronach kanciastego kija i tak czytało się wiersz każdy z góry na dół. Węgierskie myty religijne, stare pogańskie pieśni spisywane były na takich kijach. Chrześcijański fanatyzm palił je, gdzie tylko zdołał odnaleść. W kraju Szeklerów zachowało się przecież pismo takie w jednym z kościołów.

Koledzy przysłuchiwali się z wielką uwagą wykładowi młodego archeologa i zapisali rozprawę jego również do kroniki.

Trzecim z kolei, co zabrał głos, był Jenöi.

Mówił o koronie św. Stefana. A mówił takie rzeczy, że lepiej dziś jeszcze mówić o nich szepem; że korona ta, ze wszystkiem co jest w niej, z perłami, drogimi kamieniami i całym złotem,



nie jest więcej warta nad dziesięć tysięcy talarów; dalej, że jeden z wiedeńskich złotników podejmował się zrobić całkiem podobną za tysiąc talarów; a przecież kraj za czasów króla Macieja dał za nią siedemdziesiąt tysięcy dukatów. Mówił potem, że znajdujące się wewnątrz niej obrazy i napisy świadczą, iż nie spoczywała nigdy na głowie św. Stefana.

Zimny dreszcz przechodził słuchaczy. Takie zeznania przejmują najsilniejsze nawet serca. To całkiem tak, jak kiedy kto zapewnia, że Bóg nie mógł w sześciu dniach stworzyć świata, bo na to są geologiczne dowody! Człowiek nie lubi, by mu zdzierano jego złudzenia.

I ten wykład również zapisanym został do kroniki, z tą wszakże wzmianką, by go nikt nie odpisywał nigdy i nie rozpowszechniał.

Przyszła kolej na Borcsay'a.

Ospowaty młodzieniec wierzył bardzo w swój talent deklamatorski; jemu nie wystarczało, siedząc u stołu, odczytywać to co nań przypadło, on zazwyczaj wszystkiego uczył się na pamięć i stanąwszy w pośrodku, dla swobody ruchów, wygłaszał rzecz swą dopiero.

Przewrócona skrzynia służyła mu za mównicę, z której grzmiał głos jego donośny.

Przedmiotem deklamacyi był wiersz Michała Vitez-Csokonai'a, pod tytułem „Religia“, poemat od którego włosy na głowie powstają.

Napada on na każdy dogmat, każdą religią, czy to kapłanem jej jest biskup, derwisz, bonza, rabin czy superintendent. Napada na wieże, na kościoły i śmie twierdzić, że za cenę jednej wieży możnaby zbudować przytułek dla stu cierpiących nędzę ludzi.

Okropny ten wiersz w ciemnej, napół oświetlonej zaledwie, podziemnej jaskini, deklamowany przez postać w czarnym, długim, mniszym niemal habicie, wobec ośmiu innych w takież przybranych szaty, sprawiał wrażenie strasznej jakiejś konspiraoyi, którą tu knuto pod ziemią.

Jedna jedyna świeca na stole migotała niepokojnie i oświecała twarze siedzących dokoła jakimś drżącym blaskiem.

Ale wspaniałą, wzniosłą była postać deklamatora. Zapominało się, że nie jest pięknym, że twarz ma ospą pooraną; cała dusza jego była w tej twarzy, blask gwiazd otaczał go dokoła. Prawowierni zwykli wyrażać się o takich: „I szatan ukochał swoich“.

Czterej jego towarzysze poczęli mu klaskać i wołali: wiwat! sześciu milczało.

Jeden, starszy już teolog, zrobił uwagę, że poezya ta bardzo jest piękną, ale o całe stulecie przyszła na świat zawczasie, dla nas zaś w szczególności i po upływie tego czasu jeszcze będzie niemożliwą.

Reszta milczała.

Jenöi postawił pytanie, czy należy poezję tę wpisać do kroniki?

Głosowanie było tajemnem w ten sposób, że każdy wkładał zaciśniętą rękę pod kołpaczek położony na stole i czarną lub białą wsuwał tam gałkę.

Jenöi podniósł kołpaczek. Sześcioma głosami tylko przeciw pięciu rozstrzygnionem zostało, że nieznany wiersz Csokonai'a ma zostać zamieszczonym w kronice.

Nastąpiło drugie pytanie: „Czy należy dopuścić, by wiersz ten odpisano?”

Jenöi postanowił na to pytanie przecząco głosować. Gdyby ta poezya stąd dalej się rozbiegła, mogłaby wnieść niebezpieczeństwo w cały ustrój społeczny. Niechaj to późniejszym czasem zachowaniem zostanie.

Kiedy powtórnie podniósł kołpaczek, leżało pod nim siedem białych a cztery czarnych gałek. Jedna z tych czterech czarnych była jego własną.

A zatem dwaj z tych, co w pierwszym głosowaniu byli przeciw, teraz byli za.

Jenöi półgłosem ozwał się do siedzącego obok kulawego kolegi:

— To mi się nie podoba, naprzód *sześć*, potem *siedem*. Musimy mieć na siebie odtąd baczne oko...

Poezja przepisana została następnie przez wszystkich; Borcsay dyktował.

Potem każdy otarł pióro, zaśrubował kałamarz i ukrył to wszystko w tylnej kieszeni togi. Pisanie na dziś było skończone.

Jednakże brakło czegoś jeszcze.

Feri Csuka sięgnął w głąb swego płaszcza o trzech pelerynach i wyjął z pod niego szczególniejszy instrument. Wygląda to jak klarnet, ale jest raczej trąbie pokrewne; zrobiony on z drzewa, otwór zewnątrz ma rozszerzony bardzo, rurka długa i cienka jak trzonek pióra.

To „tarogato“.

Zakazany, prześladowany instrument, głośno brzmiący pomnik owych czasów, gdy to jeszcze Kuruce nieśli swe chorągwie aż po kraju granice i w świat rzucali potężne swe pienia.

Trzeba było złamać każdy *tarogato*, by nikt nie ośmielił się wydobyć dźwięków z przekłętego tego instrumentu. Po raz ostatni rozbrzmiały one konania jękiem, gdy ich drzewo trzaskało w kominach. Zapomniano nawet nuty ich pieśni.

I po raz ostatni słyszano pieśń ich na budeńskim sejmie przed przeciągającymi banderyami szlacheckimi, gdy z Wiednia przywożono napowrót koronę; wtedy to raz jeszcze ozwał się *tarogato* marszem: „Hej Rakoczy, Berecsenyi“ i owym innym: „Po jesiennej rosie zima“. W Budzie panował podówczas ruch szalony, pełen zapału. Zdało się, że lud węgierski pragnął pół świata wziąć na swoje barki!...

Cytwarska kronika zachowała i nuty tych pogrzebionych pieśni. Potrzeba tylko tarogata, coby je przetłumaczył na tony, i człowieka, coby na nim zagrać umiał. Bo to jest szlachetny instrument. Trudno znaleźć sposób zagrania na nim; kto tego nie umie, wydobędzie zeń tylko dźwięk jakiś krzykliwy, kto wszakże posiada dar ten, temu instrument wyda tak różnorodne tony, jakich tylko zapragnie: płacze mu, ogniem rzuca, grzmi, woła krzykiem boleści, wstrząsa powietrze, potem znów uderza w ton rzewnej skargi i szepcze szmerem wieczornego wietrzyku.

Tekst pieśni, którą odzywał się tarogato przy obozowych ogniskach, brzmi tak:

Ach w straszliwych orła szponach,
Orła szponach,
Biedny naród wędnie tak,
Jak w jesieni dziki mak.
Patrzcie! Ów niemiecki ciura
Utył tak, iż ledwo skóra
Pomieścić go w sobie zdoła,
A wciąż: „więcej dajcie!“ woła,
Biedny Węgrów lud!

Właściwie piosnka to śmieszna, uboga w treść, a przecież gdy w rękę młodego studenta ozwie się nią tarogato, ileż to dźwięczy w niej wspomnień! Kto ją posłyszcy, temu się zdaje, że żył już chyba dawniej, wówczas kiedy to naród podobnemi odzywał się piosenkami, że on chyba brał w czasach tych udział, potem umarł, znów

na świat się narodził i w przejściu z jednego do drugiego życia zatracił pamięć tego wszystkiego, co pierwaj się stało.

Jeszcze bardziej we wspomnienia bogatym jest śpiew bojowy:

Hej Rakoczy, Berecsenyi!
Wy Madziarów wodze dzielni,
Ah, gdzieżeś ty Bezeredj?
Gdzież jest ludu gwiazda świetna,
Ocskay?

Nuta wszakże tej pieśni jest już okrzykiem rozpaczj. Wołaniem, co groby rozsada, budzi ze snu śmierci umarłych. Jest ogień w zimnem tem drewnie.

Patrzajcie jak rozplomienia młodych studentów, jak im goreją oblicza na ten dźwięk bojowego rogu.

A przecież czemże im Rakoczy? Berecsenyi? Bezeredj?

Kim był ów Ocskay?

Czy ich kto tego uczy? Czy wie to kto w ogóle?

Tekst trzeciej pieśni jest już całkiem bezpretensjonalnym. A przecież ta właśnie była najsurowiej wzbronioną.

A cóż w niej jest właściwie?

Po jesienniej rosie zima
Zwykłym przyjdzie biegiem,
Zwykłym przyjdzie biegiem,

I kobierce łąk zielonych
I ślad butów mych czerwonych
Wnet pokryje śniegiem,
Wnet pokryje śniegiem.

Była to wszakże pieśń, którą ostatnie zastępy wygnanego księcia przesyłały z gór pożegnanie ojczyźnie.

Ślady *ich* butów czerwonych pokryła zima śniegiem? I pokryła je tak dobrze, że już nigdy nie mogli powrócić w te ślady.

I do dziś dnia nie wie nikt, słuchający tej smutnej, tęsknej, bolesnej piosenki pożegnania, co w niej takiego jest, że oczy napęlniają się łzami i niby ciężki kamień kładzie się na piersi.

Jeden pochylił głowę na stół i płakał; drugi odwrócił się na bok, orientalista patrzył gdzieś za siebie, jakby w dal poglądał; grającemu nawet spływały dwie ciężkie krople po policzkach.

I ciemne postacie w togach wtórowały z cicha dźwiękom instrumentu.

I kobierce łąk zielonych
I ślad butów mych czerwonych
Wnet pokryje śniegiem,
Wnet pokryje śniegiem.

Nagle zagrzmiało od wejścia do piwnicy hasło majstra Nagy: *Ad cantum!* (do śpiewu)!

W mgnieniu oka przewrócili studenci migoczącą na stole świecę, a w następnej chwili roz-

legła się w ciemnościach najhałaśliwsza z pi-
jackch pieśni:

Z wszystkiego się śmiać!
Wino w gardło lać!
Wkrótce będziem w grobie spać!
I każdego, który żył,
Wnet pokryje proch i pył!
Ten się wina lęka, boi,
Tamten znów, jak beczka, doi.
Jeden ledwo usta macza,
Drugi wiecznie się zatacza,
Trza właściwą miarę znać,
Z wszystkiego się śmiać:
Wino w gardło lać!

Skoro światło ukazało się z zewnątrz piwnicy, nie było już ani śladu cytwarenskiej kroniki, ani śladu kałamarzy, atramentu, piór, a natomiast na środku stołu stał ogromny dzban, w rękę zaś każdego ze studentów świecił wzniesiony w górę puhar cynowy.

„Bacche! Evoe! Evoe!“

Miejsce w którym kronikarze odbywali swe posiedzenia było właściwie jedną z bocznych nisz piwnicy, i by się do niej dostać, musiał wchodzący przejść długi, sklepiony korytarz piwniczny, z obu stron opatrzony dwoma rzędami beczulek.

W ciasnym tym termopilskim wąwozie powstrzymać Persów podjął się Borcsay sam jeden, gdy tymczasem towarzysze jego ukrywali kronikę.

To Leonidasowe przedsięwzięcie polegało na tem, że Borcsay, który udawał pijanego, napaścniczemu orszakowi, taczając się wciąż, tamował drogę.

A był to formalny orszak, na czele *clarissimus dominus professor* Muskotalyi; towarzyszyli mu dwaj juraci z latarniami w rękach; za nimi postępowali dwaj pedele.

Nie będzie zbytecznem wspomnieć tu, że ten właśnie *clarissimus* Muskotalyi był ową słynną osobistością, którą pieśń „o bąku“ unieśmierteliła na cały lat dziesiątek; pocziwiec już od roku żółć połyka, z przyczyny tych impertynenckich chłopaków, którzy mu nocą pod oknem tę obrzydliwą pieśń śpiewają, i od tej żółci taki jest opasły, że całkiem modlić się nie może, tusza bowiem nie pozwala mu rąk złożyć.

Krótką jego, przysadzistą postać, przybrana jest w bekieszę oblamowaną lisiem futrem, z pod której, dalszy ciąg niby tworząc, wysuwa się klamrą spięta rewerenda, poważny strój owych czasów.

Ten niopon, lampart Borcsay wynalazł więc taki fortel, że taczając się z jednego końca na drugi ze świecą zgaszoną w rękę, zastępował przybyszom drogę, ochrypłym głosem rycząc odpowiednią do sytuacji piosenkę: „Czy się świeca pali, czyli też nie pali, serce moje biedne wieczyście się żali!“ I podczas tego śpiewu zwi-

sającą mu bezwładnie na piersi głowę w tak niebezpieczne wprowadził zetknięcie z nosem czci-
godnego profesora, że omal mu go nie rozbił.

Wtedy zląkł się niby okropnie, rzucił w tył i patrzył osłupiałemi, szklanemi oczyma na postępujących ku niemu.

— Hej! a wy kto?

Odgrywał swą rolę z niesłychaną prawdą, z tym szklanym wzrokiem wypatrzonych w jeden punkt oczu, z otwartemi ustami, drżącą postacią, która zdała się giąć na wszystkie strony, jakby już, już miała upaść. Clarissimus też w pierwszej chwili uwierzył tej komedii i wrzasnął rozgniewany:

— Obrzydliwy pijaku! Cóż to, nie poznajesz już mnie nawet? Jestem przecież twoim profesorem fizyki.

Na to oświadczenie doskonały aktor zrobił wielce mądrą minę, jak to czyni pijany, kiedy chce coś bardzo rozsądnego powiedzieć.

— To być nie może! Mój profesor nie chodzi po nocy na pijatyki. Już on teraz jest w domu i śpi sobie spokojnie. Jeśli pan jednak jesteś profesorem fizyki, to powiedz mi dlaczego groch okręca się na tyczce na lewą stronę, a chmiel na prawą?

Co prawda, nikt, począwszy od Buffona, nie umiał tego objaśnić; więc i clarissimus szczerze

się obruszył na niesfornego studenta i ostro nań nasiadł:

— Ustąp mi zaraz z drogi, ty pijany *nebulo!* Ja tu przyszedłem na śledztwo.

Posłyszawszy to, Borcsay począł udawać przestraszonego nagle pijaka; zaczął płakać, ryczeć; wołał, że tu już dziś jest po raz ostatni; padł na kolana, kłął się, że nigdy już pić nie będzie, błagał by mu przebaczone, by się zlitowano nad jego głową! Pochwycił rękę profesora, przycisnął ją do piersi, a kiedy ten naprawdę już się rozgniewał, kiedy wreszcie obaj juraci i obaj pedele podążyli mu na pomoc, by go uwolnić z tych objęć, wtedy Borcsay chwycił się ostatniego środka — począł niby gotować się do takiego wybuchu, jaki zwykle tylko burzliwe morze i jeszcze burzliwsze wino wywoływać u człowieka. Przed tą zamierzoną erupcją cofnęli się wszyscy pięciu pełni przestachu i pospieszyli schronić się w przyzwoitej odległości. Tym sposobem Borcsay całą tą awanturą zyskał dla swych towarzyszy czas potrzebny do ukrycia kroniki; w tej chwili było to już tylko wesołe towarzystwo, które obsiadłszy stół długi, śpiewało i piło.

Na krześle prezydującego nie siedział już Jenöi, ale kulawy Biroczy.

Studenci nie okazali najmniejszego zdziwienia na widok clarissima.

Prawa uniwersyteckie zabraniają wprawdzie pijatyk po gospodach i szynkach, ale nikt nie bierze tego zbyt ściśle, jak dowodzi nawet wymiar kary w takich razach przepisany; w kolegium w Papa naprzykład naznaczoną była kara pieniężna dziesięciu groszy na przydybanego w szynkowni, a w innych kolegiach, gdzie kara wymierzana była *in natura* (karcer), bywała równie małą. Skutkiem tego łatwo też było pojąć, że pochwyceni kronikarze usiłowali ściągnąć na siebie zarzut najgorszych choćby pijackich ekscesów, byle tylko nie popaść w podejrzenie, że stali się winnymi tego, co popełnili istotnie — to jest, że poezye deklamowali! słuchali naukowych wykładów! grali na tarogato! pisali kronikę!

Clarissimus dominus Muskotalyi chciał twarzy swej nadać uroczysty wyraz, co mu się jednak żadną miarą udać jakoś nie chciało. Cała ta nastrojona mina zniknęła gdzieś odrazu wobec przeklętych studentów. A był to przecież człowiek rzeczywiście uczony. Z powodu wszakże nieszczęśliwego jego pozoru, robiono sobie zeń pośmiewisko i dlatego też i on teraz prześladował studentów. Plekroć na ścianie szkolnej zobaczył czerwoną kredą nakreślone wielkie koło, a na niem usadzone mniejsze kółko, w którem dwie kropki i poprzeczna kreska oznaczać miały oczy i usta, gdy tymczasem cztery kreski u dolnego koła reprezentowały nogi i ręce — to już

nie trzeba było pod spodem pisać żadnego nazwiska, wiedział już, że to nie kto inny, tylko on... A przecież nie mogło mu to dodawać dobrego humoru.

— Co tu robicie? — spytał nakazującym, nosowym tonem i uderzył w stół trzciniową swą laską.

Kulawy Biroczy poczuł się zawezwanym, jako prezydujący, do dania odpowiedzi.

— Zajmujemy się egzegezą. Wieczera w Kanie jest jej tekstem.

— Ja nie do pana mówiłem. Humanissime Jenöi, czemuż nie zasiadasz prezydyałnego krzesła?

Jenöi naprzód z szyderyczym uśmiechem rzucił się na krzesło, a potem odpowiedział z burszowskim humorem:

— To ma wytłumaczenie swoje w prawie fizyki *de impenetrabilitate corporum*, o nieprzenikliwości ciał. Skoro Biroczy już tam siedzi, skoro dalej Biroczy jest „ciałem“, skoro nakoniec ciała są nieprzenikliwe, a zatem dwa ciała równocześnie nie mogą się znajdować na temże samem miejscu.

— Czyż nie on jest prezydującym pośród pisarzy kroniki?

Jenöi zrobił minę wielce zdumioną.

— Co za kroniki? Czy pan profesor ma tu na myśli *Chronicon Budense*? Czy też kronikę Anonima *Belae regis notarius*? Czy może *Szalar-dy'ego*? A może kronikę *Carmen miserabile*?

— Proszę nie udawać głupiego. Do twojej uczciwej twarzy wcale się nie nadaje odgrywanie komedii. Odbywacie tu zakazane zebrania, których prawa Leopolda I-go zabraniają; rozprzeźnieniście tu oszczercze pisma, czyn przestępny, na który karę oznacza artykuł II, 71 prawa; piszecie uwłaczające wiersze i paszkwile na dwór i posłów rajchstagu.

— Protestuję! — przerwał mu Jenöi. — Jako prawnik muszę prawo umieć cytować. Zebrań zakazuje prawo Józefa I-go, mianowicie artykuł XXV, 1599. „Calumnie“ zaś, które artykuł II, 71 karze, nie oznaczają bynajmniej oszczerstwa, ale niesłuszne procesowanie się. „Calumnie“ odnoszące się do najwyższego dworu karane są wedle artykułu II, 53 Stefana I-go śmiercią, te zaś które się odnoszą do wysokich Stanów, na mocy artykułu VII i IX, 1725 karane są grzywną 200 guldenów.

Clarissimus dominus omel nie wyskoczył ze skóry z wściekłości.

— Ja nie przyszedłem tu poto, by mi kto wygłaszał wykłady, tylko poto, by mi wydano kronikę. Gdzie ona jest?

— Tak zwącego się zwierza nikt tu pośród nas nie widział, nie wspomniał nawet.

— Kazuista! Jezuita! Chwytasz się wyrazów! Wiem, że pomiędzy sobą nazywacie ją „wieniec“. Gdzież jest „wieniec?“

Jenöi odpowiadał wciąż z niezmaconym humorem:

— Wieńce znam dwojakie tylko; jeden ze sztucznych kwiatów na głowie panny młodej, drugi z laurowego liścia na głowie piezzonego wielkanocnego prosięcia. Ponieważ jednak ani pierwsze ani drugie tu się nie znajdują..

— *Tace!* (Milcz!) Wybiegi nic nie pomogą! Wiem wszystko! Jesteście denuncyowani. Przyznajcie się szczerze do swego wykroczenia, to złagodzi karę. Wydajcie wasze pisma!

— *Queras!* (Szukaj!) — ryknął jakiś głos basowy. Był to Barko. Poczem wszyscy chórem poczęli wołać dokoła: *Queras!* Szukaj!

Clarissimus zabrał się do uderzenia po kolei każdej beczki swą laską, by posłyszeć która z nich ozwie się głucho, a która wyda dźwięk jasny próżni.

Odgrywający rolę pijanego Borcsay usadowił się na jednej z beczek tymczasem i siadłszy na niej w pozie w jakiej malują Bachusa na kartach, śpiewał zawzięcie.

Każdy wie o tem, że nawpół napełniona beczka, kiedy się w nią od spodu uderzy, wyda ton głuchy, górą wszakże w dno uderzona, dźwięczy donośnie; jednakże aż po opisany tu przypadek nie wydarzyło się nikomu chyba, by po szpunt napełniona beczka od dołu wydała dźwięk

rozgłośny. Profesorowi Muskotalyi danem było odkrycie tego nowego *vacuum Torricellianum*.

Kiedy się bowiem zbliżył do beczki, na której jechał wierzchem Borcsay i uderzył rączką swej laski w dno — o cudo! beczka ta wydała górą głos głuchy, stłumiony, dołem zaś jasny.

— To ta! — skinął clarissimus na swój orszak i zwrócił się z tryumfem ku głupowato poglądującemu nań studentowi na beczce. — No, i cóż humanissimus Jenői powie teraz na to, on, co jest takim wielkim fizykiem: nie mógłby mi też czasem wyjaśnić z jakiej to przyczyny ta beczka dołem wydaje ton donośny, a górą zato żadnego?

— To bardzo proste. Każdy wie, że debreczyńskie wino „przerzuca się“ zwykle. To wino więc widocznie tak się wysoko przerzuciło, że samo pozostało na górze, a powietrze poszło pod spód.

— Zbadamy zdumiewający ten fenomen zaraz. Hej tam! zawołajcie tu gospodarza!

Majster Nagy był w pobliżu. Przyniósł z sobą zaraz młotek.

— Niema co bardzo nad tem łamać sobie głowy — ozwał się do profesora. — Ja to panu zaraz wytłumaczę. Ta beczka ma dno podwójne; była ona zrobioną jeszcze za wojennych czasów, a to w tym celu, aby spokojny człowiek tę trochę swego grosza, o który troszczyć się i nie-



pokoić musiał, mógł ukryć w bezpiecznej kryjówce. Dziś tam jednak nie niema.

— Tak, nie? — mówił szyderczo clarissimus, półgębkiem wyrzucając słowa. — Dobrze więc, zaraz owo nie zanalizujemy. Wybijcie dno tej beczki.

Operacya to nader prosta; dno beczki ma hermetycznie zamykające się drzwiczki, które przyciska gruby rygiel; odsunawszy ten rygiel, drzwiczki odmyka się z łatwością.

Clarissimus Muskotalyi nie odczekał nawet, aż jurat otwarte wyżłobienie oświeci, ale coprędeż zgiął krótko kolano i począł szperać w tajemniczej skrytce rączką swej laski. Czterej asystenci pomagali mu z całych sił... przypatrywać się, gdy tymczasem majster Nagy, założywszy ręce na okrągłym brzuszku, wzdychał zamiast studentów: „No słowo daję, biedne studenty, słowo daję Cytwarska kronika! To ten podlęc Assalyi was zdradzi!”

Ale clarissimus ciągnął dość długo jakiś przedmiot szeleszczący jak papier, który pochwyliła rączka jego kija, aż wreszcie szczęśliwie wywlókł z kryjówki w dnie beczki... olbrzymi wianek cebuli.

— *Ecce!* — zawołał Jenöi. — Ten trzeci wianek prawdziwie nie przyszedł mi na myśl.

Na widok tego osobliwszego trofeum cały orszak wybuchnął nieposkromionym śmiechem,

a najmocniej śmiał się majster Nagy. Jak też u licha ta kronika zamieniła się w cebulę? Nawet obaj juraci po za plecami profesora popadli w moc dyablika śmiechu. Skoro jednak odwrócił się clarissimus, każdy coprędzej ściągał usta i otwierał jak mógł najszerzej oczy. Nawet biedny pedel z tyłu, nie odważając się już śmiać inaczej, chował przynajmniej głowę między ramiona i trząsł kolanem: to był śmiech jego.

Gdzież więc podziła się Cytwarska kronika? Zdrajca powiedział przecież jak najwyraźniej gdzie się kryjówka jej znajduje? Taki olbrzymi foliant nie dał się przecież ukryć bez wszystkiego.

Z ócz clarissima sypały się iskry wściekłości i w tej wściekłości swej zauważył coś na stole. Nagle rzucił wciąż jeszcze zawieszony na lasce wianek cebuli na ziemię i ze zwycięskim okrucieństwem wskazał palcem na pewien znaczek zdradziecki.

— He, he! a to co jest, panowie? ta błyszcząca kropelka tu na stole? toż to kropelka atramentu!

W istocie zdradziecka kropla atramentu pozostała na stole i ta teraz wszystko wyda.

— Wyście tu nie pili, tylko pisali! — wrzasnął clarissimus, kijem w stół uderzając.

Jenđi dostrzegł na twarzach swych towarzyszków, że grozi im rzeczywiste niebezpieczeństwo.

Żadne niebezpieczeństwo nie równa się temu, jak kiedy kogoś pochwycają na kłamstwie. Wielcy bohaterowie, którzy wszelkie umieli znieść męczarnie, wielcy zbrodniarze, których siły nie zmniejszyła żadna tortura, z powodu jednego drobnego kłamstwa, na którym ich pochwycają, mogą tak dalece utracić całą siłę duszy, że nie zdołają zapierać się dłużej, ale wyznają wszystko.

Temu trzeba natychmiast przeciąć drogę.

Jenöi zuchwale porwał się od stołu, uderzył dłonią w inkryminowaną kroplę atramentu i zaintonował ową wyklętą przez władze uniwersyteckie i miejskie piosenkę:

Teraz właśnie o bąku!

I wszyscy za nim naraz, jak zegar nakręcony, zawtórowali hałaśliwie pieśń o bąku.

I niby orszak jakichś leśnych gnomów, z ogłuszającą wrzawą, rzuciło się to wszystko; ile było gardeł, tyle ich śpiewało, ile pięści i pięt, tyle waliło w stół, w beczki i podłogę, w takt niebezpiecznej pieśni.

Wybuch ten na chwilę obezwładnił ręce władz. Profesor, juraci i pedele cofnęli się w bezpieczną głąb piwnicy. Gdy tylko spostrzegli to niegodziwcy, porwali się i jak huragan ku drzwiom pobiegli.

Nim komukolwiek na myśl przyszło ich gonić, nie było już i śladu ich w gospodzie.

— Czekaĵno, juŹ ja cię jutro dostanę! — wrzeszczał za nimi clarissimus.

Tak, studentów, ale nie Cytwarską kronikę. Możecie sobie teraz szukać i bić w to miejsce gdzie była przedtem, przetrząsać wszystko. W piwnicy juŹ jej niema. Przez ten czas krótki, kiedy Borecay powstrzymywał inkwizytorów pi-jackiem i swemi produkcjami, rozebrali towarzysze jego kronikę conajspieszniej, popruli ją i kaŹdy ukrył jeden jej kawalek pod togą. Na Pawła Barko przypadła oprawa z ciełęcej skóry i te to okładki właŹnie tak trzaskały pod jego togą, kiedy biegł.

KomuŹ przyszłoby na myśl wielkiego foliału z niezliczonymi fascykulami szukać w kieszeni studenta? Jenöi ulął się kropli atramentu, bo ona doprowadziłaby do rewizyi. Dlatego wpadł na myśl rozpaczną rzucenia przybyłym prosto w twarz paszkwilu zawartego w piosence. Był to jedyny wybieg, mogący ich ochronić.

Wprawdzie wypędzą ich może z zakładu, ale Cytwarska kronika zostaje ocaloną.

— Cóż to musiało być za wino, którym się popiły tak okropnie te przekłęte dzieciuchy? — ozwał się clarissimus Muskotalyi, przepatrując po kolei dzban i wszystkie czarki.

Ale nigdzie nie było ani jednej kropli wina. Nie pili zupełnie!

Jedna więć ciężka przeciw nim poszlaka.

DZWON RAKOCZEGO.

Nazajutrz zrana o 7mej zabrzmiał dzwon Rakoczego.

„Dzin! dzum!“

I dzwon Rakoczego ma swoją historję.

Siedmiogrodzki książę Jerzy Rakoczy I., chwalebnej pamięci, podarował był kalwińskiemu Rzymowi (Debreczynowi) dzwon olbrzymi, wążący przeszło tysiąc centnarów; dokoła czytać można było piękne biblijne zdania, wspinałem pismem wypisane, a sam wierzchołek zdobił herb książęcy i godło Rakoczyc: *Non est currentis, neque volentis, sed miserentis Dei.* (Nie temu co pragnie, nie temu co chce, ale temu, nad którym Bóg się zmiłuje).

Słynny ów dzwon nie mógł się pomieścić w wielkiej debreczyńskiej wieży, skutkiem czego musiano umyślnie dla niego nową zbudować; nowa ta wieża nie została nigdy zewnątrz otynkowaną i stąd zwano ją „czerwoną“.

Stamtąd to grzmiał w wielkie święta i uroczystości potężny głos dzwonu Rakoczego, tak, że go słychać było aż po Balmaz-Ujvaros.

Ale kiedy w 1802 r. pożar cały Debreczyn zamienił w perzynę, wielka pożoga spustoszyła i czerwoną wieżę. Wszystkie inne dzwony stopiły się, tylko dzwon Rakoczego, rozżarzony, ale nietknięty, spadł z belek wiązania i zarył się w ziemię głęboko. Wtedy zbiegli się nieumiejętni ludzie i chcąc się okazać użytecznymi, poczęli go wodą oblewać. Od tego utracił on dźwięk swój pierwotny. Kiedy go na odbudowaną wieżę wciągnięto, okazało się ku wielkiemu zmartwieniu wiernych, że słynny dzwon ksiązęcy, zamiast potężnego dawniejszego „bim, bam“, wydaje tylko smutny, skarżący się, schryply dźwięk basowy „dzin, dzum“, jak gdyby i on również był już tylko widmem na tym świecie, na równi z imieniem wielkiego rodu, którego herby nosi i którego ostatnią odrośl pokryły krzewy kaktusów, gdzieś w obcej ziemi.

I nie odzywa się też dzwon ten już teraz z okazji jakichś radosnych, ale wtedy tylko, gdy ma zwiastować coś smutnego.

Mieszczanin wie już, skoro ten dzwon posłyszysz, że to dzwon umarłych, dzwon co towarzyszy nieszczęśliwemu studentowi, którego wypędzają z kolegium.

I to zaprawdę równa się śmierci: być wygnanym z łona *almae matris*.

...Bohaterowie wczorajszego wybryku zostali zawezwani przed sąd kolegium. Tu odbywa się dźwiękiem ochryplý dzwon raz. Gdy zabrzmí trzykrotnie, znaczyó to będzie, że już są osądzeni i skazani.

Plac przed kolegium i wielki rynek nie zajmowało od wczesnego ranka aż do południa w rozmowach nic innego, jak owe ważne zajścia, które się tam odbywają. Jedni dowiadywali się od drugich co to tak niebezpiecznego się stało... Studenci w Wielkim Lesie urządzili sobie wielką pijatykę... O nie, to nie chodziło o pijatykę: wywoływali dyabła, chcieli nową zaprowadzić religię, w której niema ani duchownych, ani małżeństwa... Obili któregoś profesora... Śpiewali pieśń o bąku; pili krew jeden drugiego... Takie szły gawędy z ust do ust, pośród pań zasiadających przed straganami i panów w krótkich zatłuszczonych guńkach z glinianemi fajkami w ust kącikach — i w tysiącnych odmianach, dzięki wynalazczej famie, biegły aż do posiadaczów rzeźniczych bazarów, po drugiej stronie rynku.

Bramy kolegium w takich razach bywały szczelnie zamknięte.

W wielkiej sali kolegium zasiadł sąd uniwersytecki w pełnym komplecie. Całe ciało profe-

sorskie w galowym stroju. Przewodniczył zgromadzeniu sam rektor, jego dostojność doktor Izajasz Jarai, nieskończenie uczony człowiek, wielki archeolog, filolog, orientalista, prawnik etc. etc. Charakterystycznym na określenie go jest wyrażenie o nim jednego ze studentów: „Gdybym posiadał choć tyle uczoności, ile jej tkwi w mniejszej głowie pana profesora!” Pod tą nazwą rozumiał on wielką jak orzech narośl, która na łysej głowie profesora sterczała jak grzebień koguci. Rektor był drobną, szczupłątką, figurką, tylko że rysy swe zawsze nastrajał na ton wielkiej godności. Ilekroć jedną powiekę wznosił w górę i coraz więcej w górę, egzaminowany student doznawał takiego uczucia, jak gdyby czcigodny rektor wraz z nią podnosił jego głowę; a potem nagle oko jedno zamykał i patrzył na niego drugim tylko, wówczas biednemu studentowi zdało się, że pada na ziemię całym ciężarem.

Bądźcobądź trzeba przyznać jednak prześwieceniemu sądowi, że gdy czego nie chciał dowiedzieć się o jakimś występku, z pewnością sumiennie nie dowiedział się nigdy.

Do tego naprzykład służyło rozporządzenie, że oskarżonych przesłuchiowano równocześnie i razem; każdy mógł słyszeć jak się bronili inni, a jeśli choć trochę miał rozumu, mógł wedle tego ułożyć własną obronę.

Najtrudniejsze zadanie miał pierwszy, który musiał być baczny, by nie powiedzieć nic, coby mogło następujących zawikłać w jakieś sprzeczności.

Ale jak teraz pierwszym jest lis szczwany.

Kulawy Biroczy nie daremnie przysposabia się na adwokata. On zdołałby wygadać słońce z nieba.

— Humanissime Biroczy! — wywołał go rektor do środka: a czynił to śpiewnym głosem, który miał tę piękną własność, że możnaby go spisywać w nuty i takty. — Proszę mi powiedzieć kto to był pod jego prezydencją w piwnicy majstra Nagy?

Biroczy jeszcze bardziej wsunął szyję między ramiona, jak po za szaniec obronny, i stamtąd począł się bronić:

— Nie przypominam sobie już tego.

— Czemuż to nie przypominasz sobie?

— Bom był pijany.

— Czemu byłeś pijany?

— Bom pił wiele.

— Proszę bardzo nie odpowiadać mi w sposób tak trywialny. Proszę sobie raczej przypomnieć, coście to robili przedtem, zanim zabraliście się do picia?

— Śpiewaliśmy.

— A przed śpiewaniem?

— Piliśmy.

— Czy mu wiadomo o książce, którą zwa-
„wieńcem“ a także i „Cytwarską kroniką?“

— Tak jest, widziałem ją niegdyś u ozi-
dnego pana profesora Muskotalyi.

— Waryat jesteś! Błazen! — przerwał obe-
cny profesor. — U mnie z pewnością jej nie
widziałeś; to kłamstwo wołające o pomstę do
nieba!

Biroczy wzniósł jeszcze wyżej ramiona.

— Ja tylko mówię to co wiem.

— A cóż wiesz o treści kroniki? — ciągnął
dalej przesłuchiwanie rektor, przyczem skinął
ręką na sekretarza, by ostatnich zeznań nie
wciągnął do protokołu, bo to są bezpożyteczne
farsy.

— Jest tam podobno „skrzypka Świętych“.

Był to znany powszechnie zbiór kantyczek
pobożnych.

— *Apage satanas!* — przerwał znów clarissi-
mus Muskotalyi. — Tam prędzej znalazłbyś „dudy
djabelskie“ niż „skrzypkę świętych“.

— A czemuż zaśpiewaliście profesorowi tam
w piwnicy owę pieśń zakazaną? — spytał rektor.

Biroczy z bezwstydną przewrotnością odparł
najspokojniej:

— Clarissimus dominus sam mówił, że radby
bardzo posłyszeć tę pieśń, bo jej nie słyszał ni-
gdy jeszcze. (Co noc budzili go tą pieśnią).

— *Satis!* Możesz już odejść. *Sequens*: humanissimus Paweł Barko.

Drugi student wyszedł na środek i założywszy na piersi ręce, oczekiwał z istic mahomekańską powagą, aż go spytają.

— Humanissime! — przemówił doń rektor; — po tobie oczekuję rozsądniejszej odpowiedzi, niż te, które nam dał twój poprzednik, znany z przewrotności. Proszę odpowiedzieć mi z całą uczciwością, jaki to związek łączy was z sobą? Czyście dali sobie słowo, że się wzajem nie zdradzicie?

Barko ze spokojem obojętności otworzył usta do następującego zdania:

Vermis szözündin gecsen, kendi dsanindin gecsen.

W rękę spisującego protokół sekretarza, zatrzymało się pióro; sam nie wiedział co ma pisać.

Powieka rektora pobiegła gdzieś wysoko w górę.

Miał on ząb spróchniały na samym przodzie, a ilekroć nad czemś bardzo głęboko się zastanawiał, zawsze przyciskał język do tego zęba, jak gdyby wzywał rady zamieszkującego w nim *spiritus familiaris*, co ma odpowiedzieć.

-- Rozumiem, humanissime! To po turecku, a znaczy: „Kto się wyrzeka danego słowa, ten się wyrzeka własnej duszy“. A teraz proszę, odpowiedz mi na pytanie: Czy wiadomem ci jest, że przez takie rzeczy ściągasz na siebie prze-

śladowanie władz najpotężniejszych? Któż stanie w twej obronie, jeśli to się wyda? Przyznaj się szczerze do winy, aby się uwolnić z pod jej zarzutu.

Barko odpowiedział z tymże samym, zimnym jak marmur spokojem:

An ki ez deszti merduman gurikht, szeres derdse-zai Hakk avikht.

Rektor jeszcze wyżej wznosił powieki, z czoła ściekały mu grube krople potu. Ten waryat odpowiadał mu już teraz po persku! Ale i on tę broń miał w swym arsenale i nie czuł się pokonanym bynajmniej.

Spróchniały ząb naradzał się przez chwilę z przyciśniętym do niego językiem.

— Dobrze, humanissime. — Ta odpowiedź daną była w perskim języku i znaczy: „Kto zdołał ująć rąk ludzkich, ten oddał swą głowę karzącej sprawiedliwości Boga“.

Szanowny rektor dumnie powiódł szeroko rozwartem okiem po otaczających i podyktował sekretarzowi sylabami zarówno oryginalny tekst odpowiedzi, jak jej tłumaczenie z największą powagą, jakby wszystko w zupełnym było porządku.

Potem powrócił do badania.

— Widzę, kochany synu, humanissime, ile to pięknej uczoności tkwi w tobie. Z czasem mógłbyś może z nami razem zasiąść katedrę, może

nawet dostać się do której ze wschodnich ambasad na tłumacza i otrzymać piękny urząd. Gdybyś tylko nie był popadł w tak złe towarzystwo. Ale czas jeszcze zawrócić z tej drogi. Wyznaj więc szczerze wszystko, zejdziesz z drogi złego, a wina przebaczoną ci zostanie.

Na to Barko następną dał odpowiedź:

Teviz birle beklitoride oturmaksin, szever birle csikailik to sida jatmak jekdir.

Grube już krople potu poczęły spływać rektorowi po twarzy; toż ten *nebulo* przesłuchuje go z całej jego uczoności. Na szczęście przecież niemało jej tkwi w tej łysej głowie.

— Rozumiem mój synu, nie wprawiliś mnie w kłopot tatarską swą odpowiedzią. Odpowiedź twoja znaczy: „Lepiej z przyjacielem leżeć w prochu ubóstwa, niż z wrogiem błyszczeć na tronie potęgi“. To dowodzi zaciętości twego uporu; dla tego też nie chcę cię już pytać więcej.

I nie pytał też więcej, bo *doctissimus* żywił obawę, że ten nicpoń za czwartym pytaniem gotów mu sanskrycką dać odpowiedź, a pan rektor tego języka niestety rozumiał tyle tylko, ile się zmieścić mogło w mniejszej jego głowie.

— *Sequens, humanissimus Jenöi!*

Jenöi wystąpił przed zgromadzenie sędziów.

— Szanowne kolegium profesorów! — począł młodzieniec — nie czekam na punkta badania. Znam przedmiot, o który chodzi i będę wobec

was mówił o nim, nie jak mówi oskarżony do sędziów, ale jak mężczyzna do mężczyzn, którym winien jest szacunek i wzajem od nich domaga się szacunku. Są tu dwa różne oskarżenia przeciw nam, jedno, że dopuściliśmy się przekroczeń przeciw dyscyplinie szkolnej, zaniechaliśmy uczestnictwa na niedzielnych niezporach w kościele, zebraliśmy się w niedozwolonem miejscu w sukniach niedozwolonych i tam w obecności władz szkolnych zelżyliśmy szanownego profesora. Drugiem oskarżeniem jest, że wszystkiego tego dopuściliśmy się dla pokrycia innej, ważniejszej przewiny, która znajduje swój wyraz w jednym słowie: „Cytwarska kronika“.

— Rozróżnienie jest dokładnem najzupełniej — zauważył doktor Jaray.

— Wobec dwu tych oskarżeń dwoistą mam też obronę. Wobec pierwszego najkompletniejsze poddanie się, żal za to co się stało, przyznanie się do popełnionego przestępstwa i spokojne oczekiwanie kary; — wobec drugiego zaś stanowczą odmowę wszystkich wyznań i jedną na wszelkie pytania odpowiedź: „Nie chcę! nie chcę!“ Dlaczego pytacie się co to jest ta Cytwarska kronika? Wszakże to sami dobrze wiecie. Jest to relikwia, przechodząca z pokolenia na pokolenie dziedzictwem. U tego stołu sędziów zasiada niejeden, którego pismo zachowały owe karty; boć w młodości każdy człowiek jest

wolnomyślnym, marzycielem i pełnym zapału. Dla tego to księga ta przechodzi z rąk studenckich w studenckie. Bo skoro my stąd odejdzem i z pośród nas może wyjdą dostojnicy kościoła, wysocy urzędnicy, a wtedy może i my sami zwrócimy się przeciw wolnomyślnym. Cytwarska kronika była, jest i będzie!

Pan rektor wznosił przy tych słowach obie powieki w górę, jak ktoś co czuje, że teraz coś wielkiego czemś większem jeszcze odeprzeć trzeba i nie dopuścić, by oskarżony wznosił głowę ponad sędziów.

— Z przyjemnością widzę, humanissime, że szczerze, otwartem czołem mówiłeś do nas. Dalej nie myślę ukrywać, że należysz do tych młodzieńców, w których my najpiękniejsze położyliśmy nadzieje i których ukochaliśmy osobliwie. Oprócz tego wiadomem jest powszechnie, że twoja babka jest potężną opiekunką naszego kolegium i prawie jego fundatorką. Na skutek tego mamy trojaki obowiązek do rządzenia się w tym wypadku nie surowością i prawem, ale łaską i przebaczeniem. Bądź też przekonany, że w sprawie nieprzystojnej i tak niewłaściwej obrazy, której się w obliczu szkoły dopuściłeś na osobie z charakterem urzędowym, w samymże obrażonym znajdziesz najgorliwszego obrońcę.

— No, tego nie mógłbym śmiało twierdzić — mruknął clarissimus Muskotalyi.

— Jednakże bądź na to przysposobionym, ty i twoi spółwinowajcy, że jeśli właściwego przestępstwa, pokrytego tylko płaszczem innej winy, nie wyznacie, jeżeli wobec nas wystąpisz z zapieraniem się, to my żelazo zmuszeni będziemy odeprzeć żelazem i ani ty, ani najostatejniejszy z pomiędzy was nie znajdzie przed nami łaski ni zmiłowania. Ty obwiniony, oskarżasz znowu swych sędziów. Powiadasz, że stronie pamiętnej tej księgi niegdyś i nasze ręce zbogacały. To rzecz możliwa. Ale za to co aż po wasze czasy w niej zapisanem zostało, ani sędzia niebieski, ani głos własnego sumienia nie może nas potępić. Wyłącznie tylko ziemskiej potęgi mogliśmy się lękać za to, cośmy tam napisali. Ale wy czynicie daleko więcej jeszcze. Wy szerzycie propagandę przeciw tej opoce, przeciw tej podwalinie naszej ojczyzny, przeciw stanowi szlacheckiemu; wznosicie miecz na jedyną naszą warownię — na religię!

Krew zbiegła z twarzy Kolomana Jenöi. „Biada nam!“ — szepnął do Pawła Barko. — To już jest *odium theologicum* (teologiczna nienawiść).

— Czy możesz zaprzeczyć, że obciążyliście takimi pismami księgę, która dotąd niczego lękać się nie potrzebowała, prócz miecza przemocy, ale teraz już drżeć musi przed szlachecką szablą i pastorałem? Jakiż demon opanował wasze serca, że w taką biegniecie przepaść?

Kraj zaledwie odzyskał szlacheckie swoje przywileje, a wy piszecie: nie potrzeba nam szlachty! Zaledwie zdołaliśmy wyrwać z naszej skóry strzały niemieckiego języka i przywdzieliśmy nasz pancerz nieprzenikniony, klasyczną łacińską mowę, przychodzicie i wrzeszczycie: precz z umarłym językiem! Przecież życie po śmierci jest życiem wiecznym, a wy chcecie byśmy odrzucili nasz pancerz i stanęli przeciw mocy opancerzonego wroga nadzy, z naszym nagim mądziaryzmem?

Nasz kościół ledwie jest cierpianym, z mozołem zbieramy grosz po groszu w skarbonkę ofiarną, by na miejsce odebranych nam przez przemoc kościołów, nowe sobie pobudować. Nie oschło jeszcze pismo owego protokołu biharskiego komitatu, w którym orzeczono, że tam gdzie mamy kościół, niewolno nam stawiać szkoły, że naszym kantorom ustnie tylko uczyć wolno, że nam nie wolno dzieciom naszym dawać w rękę książki, a gdzieby znaleziono abecadlnik u bakałarza, to go za to czeka więzienie. I w tem położeniu wy ośmielacie się przyjść i powiedzieć: co nam przyjdzie z kościołów? Co z religii? Głupcy są ci, co budują wieżę! — i naigrawacie się z tych co wzięli na siebie męczeńskie życie pedagoga. Na budeńskim sejmie przedłożonem już zostało prawo, mocą którego i nasi duchowni oieszyć się mają przywilejem stanu szlachecc-

kiego, jak to przyznano już księżom greckim na Wołoszczyźnie. My wierzyliśmy i mieli nadzieję, że naród poprze tę ustawę radośnie, a wy przychodzicie i mówicie: a na co popowi dyplom?

Było to najcięższe oskarżenie, na które nie stało odpowiedzi.

— Ale nie tu koniec rejestru waszych grzechów — ciągnął rektor dalej. — Wyście się wzięli nawet do zbeszczeszczenia węgierskiej korony. A to już nie jest przedmiot nadający się do jakichkolwiek reform, moi panowie. Z tymi świętymi, co są na węgierskiej namalowani koronie, niema nic wspólnego ani Luter, ani Kalwin i przeciw nim niema obrazoburstwa, a gdyby nawet namalowany tam był sam szatan, i wówczas jeszcze te obrazy musiałyby być przedmiotem czci naszej. Za ledwie parę dziesiątków lat upłynęło, jak naród odzyskał swój klejnot. Jakież to wielkie, tryumfalne były procesye, gdy tę koronę napowrót sprowadzono do kraju. Jakże ją przyjmowano z chorągwiami i banderyami, jak dziewice sypały jej kwiaty tego kraju, jak lud płynął falą, młodzi i starzy, cały naród na cześć jej dążył do budeńskiego zamku; bo każdy wiedział dobrze, że to jest ów czarodziejski pierścień, co nas wszystkich jednoczy, w jedną zakuwa całość. A tu przychodzi garstka dzieci z lekkomyślną paplaniną i poczyna szperać ile

to łutów złota po kawałku może być wart ten skarb niezmierny; mówi, że jakiś złotnik wiedeński taką wywróconą złotą rynkę z pewnością zrobiłby za tysiąc talarów, może nawet piękniejszą jeszcze, i łącząc bluźnierstwo z nieuczciwem, stawia wątpliwość, czy ta korona kiedykolwiek spoczywała na głowie św. Stefana, nazwiska bowiem ludzi, którzy znacznie później żyli, są na niej wypisane. Toż tym sposobem wymierzacie policzek historyi, która uczy wyraźnie, że korona ta składa się z dwóch części, i że zewnętrzną jej obręcz przysłał grecki despotą. Takimi to więc bredniami zbogacie tę pamiętną księgę. Czy możesz temu zaprzeczyć, czy też przyznasz com przytoczył?

Jenöi zacisnął wążkie wargi i odpowiedział następnie stanowczo:

— *Quod dixi, dixi, quod scripsi, scripsi!* (Com powiedział, powiedziałem, com napisał, napisałem).

I dziesięciu zawołało echem:

— *Et nos itidem dicimus!* (I my mówimy to samo!)

Dziesięciu jego towarzyszy podało sobie nawzajem dłonie.

Wielebny rektor dłuższą teraz miał naradę z końcem swego języka i spróchniałym zębem.

— Moje dzieci — rzekł potem naturalnym swym powszednim głosem. — Teraz nie mówię

już do was jak sędzia do oskarżonych, ale jak ojciec do dzieci. O przestępstwie, o które was posądzają, ja jestem przekonany. Brak na to wszakże świadków i dowodów. *Corpus delicti*, ową kronikę nieszczęsną, umieliście ukryć przed oczyma wszystkich, tak, że jej nikt znaleźć nie zdołał. Jeden nawet z waszych towarzyszy, który ze złamanem sercem... i... świętą zgrozą odsłonił przedemną treść ostatnich kartek... „Siódmy głos“ — szepnął Jenōi Pawłowi Barko — ...nawet ten nie dał się żadną miarą skłonić do odkrycia gdzie się znajduje obecnie kronika. A gdyby ona nawet dostała się w nasze ręce, bądźcie pewni, że nie wydalibyśmy was, bo tym sposobem zachwiana by została przyszłość całej naszej szkoły i podalibyśmy sposobność władzom świeckim wmięszania się w nasze sprawy domowe. Natomiast mamy silne powody postąpić z wami z nadzwyczajną surowością za przekroczenie dyscypliny szkolnej i za niedozwolone wybryki. Dlatego też radzę wam, oddajcie dobrowolnie niebezpieczną księgę, a my jej przeciw wam nie użyjemy, przeciwnie tu w oczach wszystkich rzucimy ją w wielki piec i spalimy na popiół wszystkie wasze szaleństwa. Jeżeli wszakże upornie obstawać będziecie przy ukrywaniu jej, to bądźcie na to przygotowani, że was za drugie wasze przewinienie, które udo-

wodnić można, czeka najsurowsza wedle praw kara.

Teraz nastąpiła chwila uroczystego milczenia. Jenöi objął wzrokiem twarze wszystkich swych kolegów. Ani jeden nie spuścił przed nim wzroku.

— Panowie, szanowne kolegium profesorów! — wymówił. — Na karcie pamiętnej księgi, noszącej datę 1802 r., na marginesie zamieszczoną jest uwaga, brzmiąca jak następuje: „a pośród tego okropnego pożaru, kiedy kościół, kolegium i przyległe kościołowi budynki splonęły do szczytu, pozostali w jednej z „chat“ dwaj studenci, którym płomienie odcięły odwrót. Byli to ci, którym powierzono strzeżenie kroniki; nie mogąc jej już wynieść ze stojącego w płomieniach domu, złożyli ją na ziemi, sami zaś na niej się pokładli i tym sposobem własnymi ciałami uchronili ją od spalenia.

— Fakt! — wtrącił rektor. — Jan Kasika zwał się jeden z tych, co ocalili księgę.

— Na marginesie ostatniej karty tego roku zaś będzie dopisanem — ciągnął dalej Jenöi podniesionym głosem, — że kiedy przez zdradę jednego z kolegów kronice zagrażało niebezpieczeństwo, jedenastu studentów własnym ciałem osłoniło ją przed zniszczeniem i wołało wybrać dla siebie wypędzenie, wołało dać się zepchnąć z obranej życia drogi, niż zdradzić powierzony

sobie klejnot. *Est Deus in nobis!* (Bóg w nas żyje!)

Współoskarżeni wymówili półgłosem:

— Amen!

Rektor skinął na nich, by oddalili się z sali.

W przedsionku głównej sali spostrzegł Jenöi pośród juratów zdrajcę Aszalyi'ego.

— Czemuś mnie zdradził? — szepnął mu.

— Czemu byłeś pierwszym między nami? — odpowiedział tamten z wyrazem zadowolonej zawści w twarzy; — czemu zawsze brałeś wszystkie konkursowe nagrody? Czemu ciebie protegował każdy?

— *Mea maxima culpa!* — westchnął Jenöi.

W sali tymczasem toczyła się wielce gwałtowna rozprawa między profesorami. Było już postanowionem, by buntowniczych chłopaków wypędzić ze szkół; o sformułowanie tylko wyroku toczyły się jeszcze gorące spory.

„Wyż wymienionym studentom udzieloną została, z powodu przywdziania przez nich świeckiego stroju i przeciwnych prawom szkolnych wybryków, rada wydalenia się z murów szkolnych“.

Skoro wołanie kontrolera przyzwało oskarżonych do sali, po jedenastym z kolei przyzwano Aszalyi'ego, prawdopodobnie z powodu konfrontacyi.

Jednakże nie było już dalszego badania. Wyrok leżał gotowy.

Rektor odczytał go oskarżonym.

Pięciu, jako głównie winnych: Jenöi, Biroczy, Borcsay, Barko i Csuka zostają nazawsze z zakładu wykluczeni, przyczem wydaje im się świadectwa. Sześciu pozostałych skazuje się na karcer o chlebie i wodzie, oraz cofnięcie przy akademickich promocyach o piętnaście stopni. Wyroki te przybite zostaną na czarnej tablicy i wehoda, w wykonanie wraz z trzeciem uderzeniem dzwonu, natychmiast.

W poważnej tej, gorzkiej chwili, uważał sobie rektor za obowiązek pełną namaszczenia mową pożegnać wypędzonych studentów.

— Nieszczęśliwi młodzieńcy, cóż odtąd się z wami stanie?

Ale całej tej namaszczonej oracyi położył kres w jednej chwili okrzyk kulawego fluta Biroczy'ego.

— Dziś studentem, jutro żołnierzem — krzyknął.

I wraz z tem hasłem zwrócił się ku drzwiom krokiem utykającym to na prawą to na lewą nogę, z wsuniętą między ramiona rozozochraną głową, krzywymi nogami i bezkształtnie długimi rękami, tak, iż na jego widok całe *venerabile consistorium* niepohamowanym wybuchnęło śmiechem, który porwał za sobą nawet samego rek-

tora. Wobec szyderczej parodyi tej istnej postaci gnoma, zapomniał do szczętu, że wsohondnie narody nie zwykły nigdy śmiać się w publicznem miejscu i trząsł się od śmiechu tak, że aż pod nim krzesło trzeszczało.

W następnej chwili wszakże zły był za to sam na siebie.

— *Perversus nebulo!* Zepsuty z gruntu kome-dyancie! Idźże sobie stąd zaraz! Kompromitować powagę sądu!

Kulas raz jeszcze się odwrócił, wziął pod boki i rzucił dumnie wzrok bohaterski na cały sąd prześwietny, tak, że ten uledz musiał nowemu napadowi śmiechu; i śmiech ten nie ustał już, pokąd skazani nie opuścili wszyscy sali posiedzeń.

Jeden tylko Aszalyi się nie śmiał. Z pobożnem oburzeniem wznosił w górę oozy, złożył ręce i w tej pozycyi pozostał na miejscu, kiedy już wszyscy wyszli.

Skoro sam jeden był tylko, powróciła na twarz rektora urzędowa powaga:

— A teraz na ciebie kolej, humanissime Aszalyi. Zadenuncyowałeś swych kolegów przed profesorskiem kolegium, że w Wielkim Lesie, w piwnicy majstra Nagy, w beczce ukrywają zakazaną księgę. Otóż to nie okazało się prawdą; inkryminowana owa książka bowiem nie została znalezioną ani w beczce, ani w piwnicy

ani gdziebądź wogóle. Doniesieniem tem wywołałeś okropny skandal. Skutkiem tego wydalonym zostajesz na czas niejaki ze szkoły, wygnanym, wypędzonym. W świadectwie twojem zaś pod rubryką *ex moribus* (obyczaje) wpisany zostanie wyraz *calumniator* (oszczerca).

Dzyń — dzyń! Dzwon Rakoczego mruknął już drugą strofę, by zawiadomić wszystkich, że zapadł srogi wyrok.

Wypędzonym naznaczono termin trzygodzinny na spakowanie rzeczy, a potem związawszy manatki, muszą zarzucić je na plecy, bo już nie mają prawa do posługi woźnego, któryby je niósł za nimi. Popołudniu, wedle szkolnego zwyczaju, niema już wykładów. Nieszczęśliwi mogą mieć przyjaciół, którzy zechcą im towarzyszyć przynajmniej przez miasto, a może i dalej. Władza musi wobec nieszczęścia patrzeć przez szpary.

Ale ta zwłoka trzygodzinna dostateczną była, by cała ludność miasta dowiedziała się o wszystkim co zaszło, aż do najdrobniejszych szczegółów: co zostało powiedzianem na posiedzeniu sądu: jakiem to było owo wykroczenie studentów; jak oni się bronili; jakie to wielkie, piękne rzeczy rzucił w twarz Jenöi filistrom; a dopiero Paweł Borko, jak on to im replikował po tatarsku, po turecku, po persku; a ten kulawy Biroczy jak sobie z nich zadrwił; i teraz wszystkich ich wypędzono, dumę i blask szkoły! Na-

wet ten Borcsay, który w wielki piątek takie miewał kazania, że wszyscy płakali jak bobry, nie, to okropne! Wypędzać takich studentów jak Jenöi, który był wzorem obyczajności! Albo taki jak Pali Barko, który mówi dziesięciu językami. Oprócz rektora, ani jeden profesor nie jest tak uczonym. To okropność! I za cóż-bo wreszcie? Za „Cytwarską kronikę!“ Kto nie wiedział nawet dokładnie co to jest owa Cytwarska kronika, ten zrozumiał tyle przynajmniej, że to jest książka, której poszukują gorliwie, by ją spalić na stosie, książka, zawierająca wszystkie przypadłe prawa kraju, książka, którą *anno* 1802 dwóch studentów podczas pożaru miasta własnymi uratowało ciała! A kto ich zdradził? Łajdak Aszalyi.

To też niebardzo bezpiecznie byłoby Aszalyi'emu czekać na trzeci odezw dzwonu, kiedy cały orszak ruszy już w pochód; jego musiano tylną furtką wcześniej wypuścić, i uciekał co tchu mu starczyło, twarz przysłoniwszy do połowy płaszczem. Mimo to ci filuci malcy, uczniowie szkół niższych, wysłedzili go i zdradzili przed publicznością wielkim wrzaskiem: O! patrzcie to oszczerca! — a wtedy wszelkie dwunożne stworzenie, mężczyźni, przekupki, mieszczanie i dzieci, wszystko to rzuciło się za nim w pogoń, wymyślali mu, lżyli, szarpali; indyki nawet czepiały się go... A kiedy wreszcie począł biedz z sił

całych, legion przekupek bombardował go z od-
dali jeszcze pieczoną dynią, zgniłemi jabłkami,
wszystkiem co wpadło w rękę wreszcie.

Kiedy zaś smutny jęk dzwonu Rakoczego
poraz trzeci się rozległ, wtedy rozwarła się
główna brama kolegium i wyszli z niej wypę-
dzeni studenci, a za nimi cała długa kohorta
w czarne togi przybranych studentów — było
ich coś z siedmiuset... a kiedy doszli wszyscy
do przedkolegialnego placu, raz jeszcze stanęli
kołem i zaintonowali pieśń pożegnalną:

„Korowodzie wdzięcznych muz!
Zejdź na kwietne darnie łąk,
Nad brzegi ruczajów,
Kędy wiecznie płonie wkrąg
Zieleń naszych gajów.
Nasza garstka zniknie wraz,
Wnet los osieroci nas“.

Ale teraz marsz już do domu! — I na to
hasło nagle ryknęła cała publiczność płaczem.
Nigdy nie będzie tu już takiego basisty, jakim
był Paweł Barko. Kiedy on zagrzmiał teraz:
„nasza garstka zniknie wraz“, zdawało się ka-
żdemu, że mu chyba serce pęknąć musi.

I rozwarło się koło, i pięciu skazanych wstą-
piło na drogę wygnania po słynnym owym dre-
wnianym moście, pośród tłumu cisnącego się
zewsząd ludu. Zewsząd też podawano im, kła-
dziono w kieszenie tog różne dary. „Jeszcze

tylko ten placek! tę kukielkę! tę kizkę! i ten kawał słoniny w drodze się przyda!“ Buty biednego Feri Csuka były już polatane, więc przed sklepem szewca nie puszczono go dopóty, dopóki nowiuteńkich nie zawiesił sobie na kiju. Jenöi nawet musiał się dowiedzieć, że jest jeszcze na świecie jeden rodzaj wieńca, którym świat darzy, a z którego poeta może nawet mieć już za życia pewien pożytek; poczciwa jakaś piekarka zawiesiła mu bowiem na ramieniu taki olbrzymi wianek obwarzanków, że mógłby z nim przewędrować chyba połowę Węgier. I dobrze zrobił, że przyjął ów wieniec, bo to był pierwszy i ostatni, jaki przez ciąg całego życia za wszystkie swe usiłowania i dążenia otrzymał, jeśli nie zechcemy brać w rachunek cierniowej korony, która nie jest widzialną.

Jęk dzwonu ginał pośród sympatycznego gwaru zupełnie. Zdało się, że i ten dźwięk nie chce wyjść poza obręb murów kolegium.

Młodzież w znacznej liczbie towarzyszyła skazanym na wygnanie kolegom, aż do Wielkiego Lasu; wielu nawet wraz z nimi poszło przez las, aż po ostatnie drzewo. I tu nawet jeszcze do pięćdziesięciu blisko odłączyło się od gromadki, by nie opuścić przyjaciół, pokąd słońce nie zajdzie.

Jenöi perswadował im, że to nie rozsądnie; że trzeba im wracać do kolegium, a kolegium

zamyka się wieczorem; widok zaś byłby to niebudujący bynajmniej, gdyby tylu naraz studentów miało się wdrapywać po murze.

Ale chociaż ot tam, do tego pagórka, na którym siadają pastuchy — tam dojsć muszą. Nie było rady...

Ów pagórek zaś na rozległej płaszczynie łąk, był wcale imponującą górą. Kto wie, czy niegdyś nie zniesiono nań ziemi po to tylko, by pastuchy i psy ich mogły stamtąd swobodnie się rozglądać, kto wie czy gdyby dziś tę ziemię zechciano rozrzucić, nie rozsypałyby się z pod niej tysiące tysięcy czaszek.

Aż do tego pastuszego pagórka odprowadziła wierna gromadka wygnanych towarzyszy. Tu kulawemu Biroczy'emu niezgorsza myśl przyszła do głowy.

— Słuchajcie, przecież ja całej tej masy serów, ciasta i kiszek nie będę włókł, aż na koniec świata. Mamy tu śliczny stół zielony; sprawmyż sobie po raz ostatni wesołą ucztę!

— Niech i tak będzie, — przywłóżyli czterej towarzysze, składając na ziemi tłómoczki, które życzliwość tłumu napełniła żywnością i napojami. Nie trzeba było długich zachęt; wszyscy zasiedli na murawie, a pozostający pili potężnie za zdrowie podróżników, póki tylko było jeszcze co w butelkach. Komuż wtedy przyszłoby na myśl się smucić?

Kiedy słońce zaszło, podróżnicy poczęli nagle swych towarzyszy do powrotu: *hora canonica!*

Potem uścisnęli się wszyscy, podali sobie dłonie i pożegnali się. Nikt nie płakał. Jakże-to też mógłby płakać osiemnastoletni mężczyzna, gdy mu co dolega?

Powracających niezadługo zasłonił Wielki Las, ale wypędzeni długo jeszcze, bardzo długo siedzieli na pastuszym pagórku, a kiedy już towarzysze byli daleko, wyjął Feri Csuka z podróżnego tłómczka „tarogato“, podniósł się i zaintonował na wierzchołku wzgórza tę pieśń tak ściganą, tak prześladowaną, pożegnalną pieśń kuruców, tak że smutny, rzewny dźwięk jej daleko wybiegł poza mgłą otulone łąki. A kiedy zamilkł tarogato, zdaleka hen, niby echo Wielkiego Lasu w odpowiedzi, niby szept wieczornego wietrzyku, z lasu przybiegła ta sama pieśń smutna napowrót.

„I kobierzec łąk zielonych
I ślad butów mych czerwonych
Zima pokryje śniegiem,
Zima pokryje śniegiem“.

Ale teraz już padli sobie w objęcia i płakali...

Boć to już nie płakali nad własną, osobistą boleścią.

KOMICZNY OBYWATEL.

Wypędzeni studenci powstali teraz, zabrali się i szli potężnym krokiem, dopokąd noc nie zapadła. Wraz z nią ujął ich dobroczynny stóg siana w swe objęcia, pokładli się u stóp jego pokotem i spali wybornie, aż do brzasku dnia.

Zrana, gdy pierwszy głos skowronka ozwał się ponad ich głowami, zbudzeni, nie mieli zbyt wielkiego już trudu z ubiorem; ciekący wśród stepu strumyk posłużył im za umywalnię, wietrzyk ranny za ręcznik.

Dokądże pójdą teraz? Alboż mają przynajmniej pieniądze potrzebne na drogę? O to nie spytał ich nikt, o to nie pytał nawet jeden drugiego.

Kiedy tak szli drogą ujętą w ramę kwiecistych łąk, poza nimi ozwał się turkot powozu, zaprzężonego w pięć koni, pobrzękujących dzwonekami uprzęży.

Gdyby nie to, że kulawy Biroczy był z nimi, studenci byliby z pewnością dotrzymali powo-

zowi temu kroku, bo niema nic piękniejszego, jak kiedy pieszy nie da się prześcignąć powozowi. Gdy powóz ich dopędził, nagle, na rozkaz siedzącego wewnątrz, zwolnił woźnica biegu koniom. W powozie cztery są siedzenia; na tylnem wyciąga się wygodnie jakiś pan czterdziesto-pięć czy pięćdziesięcioletni i pali z wielkiej piankowej fajki. Twarz jego jest tak brunatna, że dośćby mu było wziąć w usta klarnet, aby wyglądać na Cygana. Do tego najzupełniej odpowiedniemi są chytrze przymrużone oczy, które twarzy jego nadają taki wyraz, jak gdyby wiecznie drwił z całego świata; toż samo szyderstwo ukrywają niezbyt dobrze poważnie zakrojone wargi, przykryte oskubanym wąsem. Od policzków sterczy broda, a jak świadczy pierze i źdźbła słomy w niej i we włosach potarganych, widocznie posiadacz nie oddaje się zbytecznie ich porządkowaniu. Co więcej, zachodzi podejrzenie, że gdyby tak wziąć mydła i ostry nowy ręcznik do pomocy, kto wie, czyby się tego mulata nie udało odmyć.

Pan ów ozwał się nagle poza plecami idących gęsim porządkiem studentów:

— Kto wy jesteście, he?

Kulawy Biroczy odrzucił ostro:

— Wypędzeni studenci, he!

— Wypędzeni studenci. Stangret, stój! Tacy mogą mi się przydać na co. Siadajcie tu wszyscy

do mego powozu, a ja was odstawię do parafii. No, nie namyślać się; jeden niech siada przy mnie, dwóch naprzeciwko, jeden przy woźnicy na koźle, jeden z tyłu na walizie. No dalejże, ty kulasie!

Jenöi mu odpowiedział:

— Najprzód zwrócić muszę uwagę, że obcym ludziom nie wolno mnie tykać.

— Ma słusność! — ozwał się pan z powozu; — najprzód więc napijmy się na braterstwo, a potem mówmy sobie po imieniu. Tu jest „kulas“! ¹⁾

Tego niepodobna już było odmówić. I pili też „na braterstwo“ pod gołym niebem, pośrodku drogi, a potem wszyscy mówili sobie „ty“: stangret, studenci i pan.

— A teraz powiedzcie mi swoje nazwiska.

Studenci wymienili je pokolei.

Kiedy ostatniemu podał już rękę, wtedy wymienił własne nazwisko:

— A ja nazywam się Berti (Albert) Csollan.

Na to imię powstał między studentami straszny hałas; coś niby radość, niby przecucie jakiegoś niebezpieczeństwa. Na siedm komitatów wokoło było to słynne imię, dzięki szalonym awanturom i figlom, które płatał ludziom ten człowiek. Wiedzą o nim, że nie ma nic innego

¹⁾ Drewniany podróżny kubek.

do roboty, jak spletaó nieslyohanego jaklegos figla, gdziebadz sie pojawi — a sprawka to taka, ze o niej potem dlugo opowiadaja sobie wszyscy. A ma tez dosc majatku po temu, aby wynagradzac wyrzadzane zartami swymi krzywdy. To tez nie musialby byc chyba studentem ten, ktoby odrzucil jego zaproszenie. Jenoi w mgnieniu oka wskoczył na kozioł, Borcsay pomogł Biroczy'emu wdrapac sie na przednie siedzenie, sam zas siadł obok niego, Feri Csuka rozložyl sie z tylu na walizie.

— Czemu nie siadziesz tu przy mnie? — zawołal nań Berti Csollan.

— Chyba bylby m glupcem! Moze na to, ze bys mi zapalona hubke wložyl do buta? Toz ja znam twoje milutkie figielki. A potem to honorowe miejsce pozostawiam staremu.

Pod wyrazem „stary“ rozumial Pawla Barko.

— A wiec, „stary“...

— Ja nie siadam; spieszno mi — wymowil obojjetnie orientalista.

— Dokad tak spieszysz?

— Chce dzis jeszcze stanac w Tisarewie.

— Toć to moja wieś, wlasnie chce was zawiezc do tamecznej pusty.

— Bede tam pieszo prędziej — odpowiedzial Pawel Barko i nie wdajac sie w dalsze rozprawy, puscił sie przodem. Nawiasem mowiac, nie lubil on, kiedy z niego zartowano.

Reszta wszakże zdała się na trud pięciu bułanych. Od razu zapomniano trosk wszystkich; butelka przechodziła z ręki do ręki, a nie była to mała butelka. Młodzież rozśmieszała Csollana wesołymi żartami; kulawy Biroczy opowiadał mu wczorajsze zdarzenie podczas kolegijskiego sądu, co niesłychanie zabawiło Csollana. On to wszystko naprawi, przyrzekał, niema znów czego tak bardzo brać do serca.

Aż do Tisarewa nie zdarzyło im się nic złego. Na samym końcu wioski dopiero spotkał ich drobny wypadek — powóz się zapalił, prawdopodobnie z powodu nieostrożnie rzuconego kawałka hubki. Siedzący wewnątrz powyskakiwali, jeden nabił sobie guza, drugi nos rozłukł, trzeci starł do krwi skórę na łokciu, Biroczy wykrzywił się i przeróżne wyprawiał grymasy, biadając, że teraz więcej kuleje na jedną nogę, niż na drugą; ale mimo to wszystko musieli pokładać się od śmiechu, widząc, jak zestraszone konie z płomienistym wozem proroka Eliasza pędziły wprost ku wsi, jak cały tłum chłopstwa z widłami i cepami wybiegł naprzeciw nich, nie chcąc powozu puścić do wsi, w obawie, aby im wszystkie chaty nie poszły z dymem. Czysta to była komedia patrzeć na to wszystko. Co prawda, spłonęły też i tłómczki studentów, ale mniejsza o to, ktoś przecie stratę tę wynagrodzi.

Kiedy wszakże znużeni przywlekli się do oberży, zastali tam już Pawła Barko, siedzącego na ławeczce pod morwowem drzewem; wyprzedził on ich znacznie i już sobie był odpoczął.

— No, widzicie; wszakżem dobrze zrobił, żem nie chciał z wami siadać do powozu? — ozwał się do towarzyszy, kiedy mu opowiedzieli swą przygodę. — Mój tłumoczek nie spalił się. A mam ja w nim coś, czego strzedz warto. Tegoby mi Berti nie mógł zapłacić.

Oberża ta stanowiła z jednej strony odgraniczenie pusty Berti Csollana; stąd jeszcze trzeba było przebyć ogromną płaszczyznę, na której pasło się bydło i tabuny koni. O godzinę drogi leżał dwór i jego zabudowania; były to wielkie, słomą kryte, długie budynki, szopy i stodoły, pośród nich zaś wznosił się zdala widoczny, z surowej cegły dom piętrowy, tem jednym szczególny, że nie było w nim komina.

Pusta ta nosiła nazwę Gödenylak, obszar jej zaś mógł obejmować czterdzieści do pięćdziesięciu tysięcy staj; dokładnie wiedzieć tego nie można, nigdy bowiem nie była rozmierzoną, a część jej znaczna leży pod wodą.

Po całym tym obszarze snują się trzody bydła, których nikt nigdy nie zadał sobie pracy policzyć. Ilekroć sąsiedzi z tabunu koni, trzody rogatego bydła, trzody chlewnej lub stada owiec coś ukradną, pastuch ani myśli zawiadamiać o tem

kogokolwiek, lecz daleko prostszym procederem sam im znowu odkrada. Ile tu orze się pola, ile obsiewa, co się zbiera?... to tylko jeden chyba Bóg w niebie wiedzieć może; nie powiedziałby tego z pewnością rządcą, którego całą pensyę stanowi utrzymanie; znaczy to, że płacy nie bierze żadnej, ale co zdoła ukraść, to należy do niego.

Wzdłuż całej południowej strony folwarku ciągną się trzy długie, czarne wały; jest to mierzwa, z której tam latem zwolna tworzy się pewien rodzaj fortyfikacyi; zimą zaś, gdy przyjdą śniegi i ostry wichur północny ścina wszystko, zapalają te szanice z jednego końca i pozwalają im się spokojnie wypalić aż do drugiego. Inaczej nie umianoby się z tem załatwić.

Na otwartym placu, gdzie jest klepisko, wznoszą się olbrzymie sterty, na których wierzchołkach swiergocą swobodnie miliony wróbli, pod spodem zaś igrają miliony myszy.

Mieszkania służby i oficyny ulepione są wszystkie z gliny i błota, istne gniazda jaskółcze; natomiast piętrowy dwór jest porządnie zbudowany z cegły, nieotynkowany wszakże z zewnątrz.

Czemu zaś nie jest otynkowany, ma to swoją historję. Berti Csollan raz, w pamiętnem stadyum swego życia, zdecydował się postawić wielki, piętrowy dwór, dwór co się zowie, odpowiedni

jego bogactwu i stanowisku. Na cel ten przeznaczyl on coś około stu tysięcy guldenów. Wszyscy dobrze mu życzący radzili, by tę sprawę powierzył zdolnemu jakiemu budowniczemu; ale on nie chciał na to przystać, twierdząc, że ma pod ręką wiejskiego mularza, który w Vikalak nietylko domy stawia, ale nawet zbudował kościół; ten mu i dwór postawi z pewnością.

I postawił też, pocziwy mularzysko, tylko że przy budowie pałacu wciąż mu się kręcił po głowie ów kościół. To też kiedy dom był już gotów, okna wstawione, sklepienia przyozdobione sztukateriami, nagle spostrzegł dopiero, że nie pomyślał o kominach. O tem jednym jakoś wszyscy zapomnieli.

Berti Csollan na to odkrycie wpadł w wściekły gniew i chciał zastrzelić mularza; ten oczywiście uciekł jak mógł najprędzej i odtąd przepadł bez wieści. Dom był więc gotów, utopiono w nim owe sto tysięcy guldenów, ale nie można było w nim mieszkać.

Raz, co prawda, Berti Csollan polecił najlepszemu swemu przyjacielowi, baronowi Balvandy, aby, skoro będzie w Peszcie, przysłał mu stamtąd jakiego porządnego rzemieślnika. Ten istotnie przysłał mu człowieka, zaopatrzonego w sążnisty list polecający. Berti Csollan wyłożył mu wszystkie braki domu: tu trzebaby wprowadzić komin, tam zrobić kuchnię, tu możnaby

przebić sklepienie, tu od sklepów dać nowe fundamenta, a kiedy już skończył całe wyjaśnienie, wówczas porządny ów rzemieślnik oświadczył mu, że jest z profesyi zegarmistrzem.

To też Berti dał pokój całemu budowaniu i poprawianiu, zwłaszcza, że ustał powód, dla którego począł budowę dworu; nie kazał już z zewnątrz tynkować domu, ale wprowadził się do parterowego mieszkania, a po przez mur powybił otwory na rury piecom, tak, że dziś dom dymi bokami, piętro zaś osuszają sobie wiatry najswobodniej, tam bowiem nikt nie mieszka.

Taką była rezydencya słynnego dokoła Berti'ego Csollan.

Idąc płaszczyzną ku dworowi, Berti opowiadał studentom, dlaczego ich zabrał do siebie.

— Mam ja stu osiemdziesięciu ludzi wszelakiego rodzaju u siebie w służbie; wszystko to zrodziło się i wzrosło na mojej puście. Sami złodzieje, powiadam wam. Niedawno temu w Wielki piątek opadli mnie z pretensjami, że nie mogą nawet takiego święta spędzić jak Bóg przykazał. Czegóż więc chcecie? — pytam. Otóż okazuje się, że od dwóch lat nie słyszeli „słowa Bożego“, że przez dwa lata nie byli u komunii i tego domagają się gwałtownie. No, czekajcie, powiadam im, ja wam tu kiedy przywiozę cały wóz „legatów“, jak tylko nastaną wakacye. Otóż, jak widzicie, los mi sprzyjał; na szczęście wypędzono

ze szkół pięciu studentów, którzy przydadzą się bardzo moim wiernym; jutro więc wszyscy pięciu musicie im powiedzieć po jednym kazaniu.

Młodzieży podobała się ta propozycja; toż ona właśnie wchodzi w ich zawód. Zazwyczaj akademik na pierwszym już kursie filozofii udaje się na tak zwane legacye i miewa po kraju kazania, a wierni słuchają go chętniej, niż swego starego proboszcza. Swoją drogą ów kaznodzieja nie będzie w przyszłości wcale może duchownym, ale adwokatem, inżynierem lub lekarzem. Nic mu to wszakże nie zaszkodzi, że popróbuje sił swych na ambonie. Jenöi, acz był prawnikiem, a nawet kulawy Biroczy niejednokrotnie już głosili słowo Boże, tak jak i inni koledzy, i zawsze gotowi byli do wypowiedzenia mowy, z dostatecznym zapasem homiletyki.

Przeciw projektowi przeto nie było żadnej opozycji. A zresztą, jeśli to żart jakiś, tem lepiej dla studentów.

Kiedy Berti Csollan przybył wreszcie do domu, podążył do kuchni, leżącej gdzieś w głębi dziedzińca, by wydać rozporządzenia co do wieczery, młodzieńców zaś pozostawił na pastwę całej sfory psów podwórzowych i gończych, które ich przyjęły po przyjacielsku niesłychanem ujadaniem; ze dworu nikt nie wychodził na pomoc.

Wprawdzie tu i owdzie z bocznych budynków

wyglądali ludzie na tę hecę, boć to zawsze zabawne widowisko, gdy wylękły pieszy wędrowiec rękami i nogami broni się od szczekających potworów, albo w strachu wylazi na płot i zagrożone nogi wciąga jaknajwyżej. Ale studenta psy nigdy nie gryzą. On się nie broni łokciem, jak wędrowny przekupień z tłómczkiem na plecach, ale jaknajprzyjaźniej podchodzi do brysia, przykucnie, jak ot teraz kulawy Biroczy to czyni, wybiera sobie z całej sfory najzawzięciej ujadającego kundla i poczyną do niego przemawiać przez nos. Potwór, oszołomiony niezwykłą tą postawą, poczyną bać się; towarzysze jego pierchają, z daleka tylko wyszczerzając zęby; pies mruczy, warczy, owa postać, co go tak przestraszyła, głaszcze go po szczeciniastej, najeżonej głowie, i obejmuje za kark. Pies obezwładniony jest przestraczem. Nakoniec kulawy Biroczy bierze na ręce dzikie, trzęsące się ze strachu zwierzę i oddaje nadchodzącej służbie z panem domu na czele.

— Aj, aj, mój przyjacielu, coby to za niebezpieczny złodziej mógł być z ciebie! — mówił Berti Csollan. — To mi się nazywa wyuczyć się betyarskich sztuczek!

Postawiony na ziemi kundel ucieka z wyciem do izby czeladniej, a nazajutrz jeszcze niepodobna go z pod łóżka wywabić.

Berti Csollan wydał rozkaz, aby nazajutrz

raniutko zebrali się wszyscy, będzie bowiem wielkie kazanie.

Na wieczerzę nie trzeba było czekać długo, była już bowiem gotową; składała ją jedna jedyna potrawa, smażona baranina, w dodatku przypalona jeszcze. Mimo to wszakże zjedzono ją do ostatniego kawałka. Tegoż samego losu doznało wino, jakkolwiek było kwaśne i tak włókniste, że Biroczy żądał nożyczek, aby kieliszek od ust móżd odjąć. Taki to już porządek jest w domu Csollana, że wszystko musi być złe, co tu podadzą.

— No, a co będziecie robili na świecie? — spytał Berti Csollan, podczas kolacyi swych gości.

— Ja tem nie myślę się kłopotać, — odpowiedział naprzód Biroczy. — Pójdę do którego adwokata za pisarka, przewertuję tam kodeks, a potem złożę w którembądź kolegium egzamin i będę czem miałem być.

— Czekażno, mój drogi! — ozwał się Berti — mam ja pewnego mecenasa w Peszcie, temu cię zarekomenduję; tam ci będzie dobrze, zobaczysz. Ja sam napiszę do niego list polecający.

Biroczy podziękował mu serdecznie.

— A ja będę żołnierzem, — mówił Feri Csuka. — Umiem trąbić dobrze. Zagram marsza Rakoczego co się zowie. To też przyjmą mnie może do huzarów.

— No, *frater*, to i tobie mogę dopomódz; mam ja szwagra, który jest majorem w huzarskim pułku; stoi teraz w Koszycach. Do tego napiszę list polecający dla ciebie; wiem, że cię będzie popierał.

— Jakże to dobrze!

— Ja zostaję aktorem. Nic mi nie zależy na karyerze, a do tego miałem zawsze ochotę, — mówił Borecay. — Gdybym mógł tylko znaleźć sobie jakiego dobrego dyrektora.

— Dyrektora? O, i takim służyć mogę, — pospieszył Berti z odpowiedzią. — Poszlę cię do dyrektora, posiadającego doskonałą trupeę. Licz na mnie.

I liczył też na niego.

Przyszła kolej na Pawła Borko. Ten odpowiedział z całą powagą:

— Ja udaję się do Azji, na odnalezienie pierwotnej ojczyzny Madziarów.

— Wielkie słowo! Jakież masz do tego dane, jeśli zapytać wolno?

— Umiem po turecku, po tatarsku, znam język perski, sanskryt, język wołoski i grecki, a czego nie umiem jeszcze, tego się nauczę.

— A pieniądze?

— O te się nie troszczę.

— To ja więc za ciebie o nich pomyślę; nie kłopotcz się o to, mój chłopcze.

Jenöi milczał.

— A ty cóż z sobą zrobisz?

— Moja sprawa stoi najgorzej. Mam bogatą babkę, przed którą stanąć muszę; trzeba mi będzie gniew jej ułagodzić, a to mi jest bardzo trudnem i przykrem; wolałbym iść do Azyi, zostać żołnierzem lub choćby żebrać.

— Do licha! to z ciebie dumny chłopak! Boisz się może, że babka, gdy cię zobaczy, obić gotowa, a ty jeszcze za to będziesz musiał ucałować jej rękę? Prawdziwy z ciebie mężczyzna. Zawszem lubił takich uparciuchów. Słuchaj, powiem ci coś... W Peszcie mieszka moja żona, poczciwa stara kobieta. Możesz ją sobie wyobrazić, boć i ze mnie już grzyb stary. Potrzebnym jej jest uczciwy sekretarz, ot taki, jak ty na przykład. Zanieś jej odemnie list polecający, a zobaczysz, jak ci u niej będzie dobrze, tak dobrze, że nigdzie i nigdy w życiu nie może ci być lepiej.

Jenöi chciał mu podziękować, ale nie umiał ugiąć do ukłonów karku.

A potem niedorzecznością byłoby wierzyć, że Berti Csollan robi komu coś dobrego tak, by poza dobrodziejstwem tem nie krył się jakiś niesłychany figiel. Na słowie jego nie można było nic budować, bo on każdego wyprowadzić umiał w pole.

Berti miał stereotypowego figla, którego wyřządzał regularnie każdemu przybywającemu doñ legatowi.

Zatrzymywał on zazwyczaj studentów na noc u siebie i obdarowywał ich dwudziestu guldenami. Następnie zabawiano się, pito, śpiewano, wreszcie na stół wychodziły karty. Samo się przez się rozumie, że owe dwadzieścia guldenów nie mogły doleżeć spokojnie w kieszeni studenta, nie dawały mu spokoju dopóty, dopóki nie siadł z Bertim grać w karty; wyobrażał sobie, że wygra więcej jeszcze. Ale Berti odegrywał zazwyczaj regularnie owe dwadzieścia guldenów tak, że pieniądz nie mógł i przez jedną noc zagrześć kieszeni studenckiej. Tym sposobem i biedny *studio* miał przyjemność, i wspaniałomyślności nie brakło, i gospodarz nie narażał się na kosztą.

Niewielka to zresztą była sztuka ze strony Csollana, wirtouza w grze, zwłaszcza podawano tylko takie karty, które on już znał i z odwrotnej nawet strony.

I teraz chciał się zabawić w tę samą sztuczkę; naprzód pił z naszymi pięciu studentami nie na żarty; potem, kiedy rozgrzali się jeszcze lepiej śpiewem, wyciągnął karty i spytał, „czyby nie chcieli spróbować *gierki*?”

— Dobrze, grajmy na policzki — zażartował Biroczy. — Bo jeśli chodzi o pieniądze, uciekamy.

— Ah, pieniądze, to głupstwo, — wyrwał się Berti wesoło — ja ich wam dostarczę, boć prze-

cie wyplacę wam z góry należność za kazania. Do rana wygram to i tak od was napowrót.

I podał każdemu z nich po dwadzieścia guldenów w banknotach.

Jenői nie chciał przyjąć.

— Nie mam zwyczaju brać zapłaty za to, czego nie zrobił jeszcze.

Tem oświadczeniem wprowadził w kłopot swych kolegów; i oni również wzbraniłi się przyjąć pieniądze. Obawiali się tego nabytku. Biroczy tylko miał dosyć zaufania do samego siebie.

— Ja przyjmuję. A teraz bierzmy się do kart.

— To mi dzielny chłopak! — zachęcał go Berti. — Z niego będą ludzie.

Paweł Barko żałował naprzód ofiary.

— Sandor, prawdziwe to dla ciebie szezęście, że twój tłómczek spalił się w drodze, bo i ten przegrałbyś z pewnością.

— Tasuj! rozdawaj! — mówił Berti; wy zaś wszyscy stańcie za nim i dopomagajcie mu.

Sandor zaprotestował.

— Mnie nie potrzeba pomocników! Idźcie sobie odpocząć.

Pierwszą partyę zazwyczaj pozwalał Berti wygrać swej ofercie, aby ją do gry zapalić; w drugiej już zapadała zwykle w zastawione sidła.

Ale z Biroczym przegrał i drugą, mimo najlepszej woli.

Teraz podwoił stawkę i... przegrał znowu.

Kiedy i ostatnia wreszcie partya skończyła się dla niego klęską, położył przed sobą karty i przemówił do Biroczego:

— Ty, słuchaj-no, czy ty znasz te karty?

— Jakżebym nie miał znać kart?

— Ale ja się pytam, czy ty je umiesz poznać z tylnej strony?

— Tak dobrze jak ty sam.

I wziął w rękę całą talię i każdą po kolei wymieniał kartę: to as żółędny, to walet kierowy...

— Toć głupiec tylko siada do gry, nie znając każdej z tyłu!

— No, z takim szelmą nie spotkałem się nigdy jeszcze. W takich warunkach przecież lepiej już będzie pić...

Ale i tu nie mógł dać rady Biroczemu, acz przypijał do niego ciągle; widocznem było, że student może pić do nieskończoności. Nie udało mu się go spoić.

Na opowiadaniu anegdot, śpiewach i picciu przeszedł im czas do rana; mimo to żaden z nich nie był nawet „cięty“.

Skoro poczęło szarzeć, na dziedzińcu rozpoczęło się straszne dzwonienie. Berti nakazał, aby wzięto od wszystkich pastuchów dzwony — niechże mają tego dzwonięcia raz dosyta.

— No, grają już alarmowego marsza, —

rzekł Berti — teraz jeszcze jednego, na pokrzepienie serca.

I wyjął ze ściennej szafy barylkę, zawierającą doskonały tokaj.

— Napijże się, Biroczy, raz jeszcze na zakończenie, bo ty zaczynasz nabożeństwo. A potem musisz wypić za moje zdrowie; od ciebie nie posłyszałem jeszcze toastu.

Sandor pociągnął porządnie prosto z barylki i podał ją gospodarzowi.

— O Berti! Niechaj ci Bóg da trzech synów, niech jeden z nich będzie sędzią, drugi księdzem, a trzeci niech będzie katem. Sędzia niech wyda na ciebie wyrok, ksiądz niech idzie z tobą na rusztowanie, kat niech cię powiesi za to, żeś nam kazał pić taką obrzydliwą lurę, a porządne wino dajesz dopiero teraz, kiedy już dzwonią na kazanie.

Bertiemu podobał się niezmiernie ten toast.

— No, pastorowie, oto wasza trzódka! — zawołał na studentów.

Z zewnątrz, ze dworu, dochodziło już uroczyste gromadne odkrzykiwanie. Studenci zerwali się, oczyścili i rozprostowali swe togi, wyszukali skądosiś książki w czarnej oprawie, włożyli ją Biroczemu w rękę, wysunęli go naprzód i wyszli na dziedziniec, gdzie przygotowano już dla nich ławkę. W pośrodku na dwóch kozłach ustawiono próżną skrzynię na zboże, która miała

zastępować ambonę; wchodziło się na nią po drabinie.

Dziedziniec był napchany tłumem ludu; zgromadziła się cała służba pusty, która zabrała miejsce częścią na ławach, częścią na drabinach wozu, częścią na ocembrowaniu studni; kobiety i dziewczęta osobno w jednej grupie, jak przystało, dzieci na drewnianym ganku, jak na galerji.

Skoro się ukazali studenci, przycichł gwar, który dotąd panował i zmienił się w szept ogólny. Studenci zaintonowali śpiew harmonijny, w który zwolna wmieszały się głosy tłumu. Widocznem było, jak biedakom serca rosna, że nakoniec mogą się wyśpiewać do woli.

Gotówbym iść o zakład, że jaki mieszkaniec miast śmiać się będzie z tej sceny. A przecież to rzecz bardzo ważna w życiu biednego człowieka módz zaśpiewać pobożną pieśń chórem, zwłaszcza też kiedy przez dwa lata nie mógł tego uczynić.

Po odśpiewaniu hymnu, wdrapał się Biroczy na ambonę. Ledwie go widać było ze skrzyni; mimo to jednak prawil wiernym długie kazanie i ani razu nie utknął. Słuchacze byli z niego zadowoleni.

Potem nastąpił znowu śpiew, a po nim Feri Csuka wstąpił na mównicę z kolei.

Głos jego był cokolwiek schrypły od wina

i oburącz musiał się trzymać brzegu skrzyni, jakby się lękał, że może mu z pod nóg uciec, tem większą za to była jego zasługa, że krótkim tylko uraczył wiernych kazaniem, podzieliwszy bowiem rzecz swoją na trzy części, odrazu rozpoczął od trzeciej. W końcu, mówiąc ojczenasz, dwukrotnie powtórzył prośbę o chleb powszedni; ale biedak o to się nie gniewa, bo pracuje na ten chleb dwa razy tyle co inni.

Po tem kazaniu znowu nastąpił śpiew i Borcsay wstąpił na mównicę.

Był to żarliwy mówca; to się nazywa dopiero trafić ludziom do przekonania! Powiedział im kazanie, które niegdyś superitendent ułożył dla wiernych debreczyńskiej gminy i wyrzucał w niem pocziwym mieszkańcom pusty ich zbytek, ich ślepe naśladownictwo mody, ich pychę, ich próżność w ubieganiu się za tytułami, za rozpustą. Wszystkie te występki wprawdzie nie ciążyły na sumieniu pocziwej czeladzi z Gode-nylak, mimo to wszakże słuchacze w nabożnem skupieniu ducha przysłuchiwali się słowom mówcy, bo student mówił tak przyjemnie, z takim ogniem, że nie sposób było nie słuchać. Kazanie zakończonem było prorocstwem Jeremiasza: „A jeśli się nie nawrócicie i nie poprawicie w waszych postępkach, tedy powiadam wam, nie znajdziecie Debreczyna w Debreczynie“ — co oczywiście zastosowanem być musiało do miejsco-

wości: „nie znajdziecie Gödenylak w Gödenylak“ i widocznie głębokie na słuchaczach uczyniło wrażenie.

Jednakże, jak twierdzi przysłowie, „czego nadto, to i niezdrowo“. I najlepsza rzecz nawet, gdy jej zawiele, musi znudzić. Trzy kazania, jednym tchem wypowiedziane, wystarczyły najzupełniej na zaspokojenie duchowego głodu zebranych, tem więcej, że już minęło południe i inny głód począł wiernym doskwierać. Aby temu ogólnemu mniemaniu dać wyraz, podniósł się pastuch od bydła, niejaki Marczi, z ławy, otarł sobie bufiastym rękawem koszuli ozoło i tak począł swą przemowę:

— Panie, użyliśmy już do syta upragnionego dobrego, dość nam już kazań. Możebyśmy teraz mogli przystąpić do stołu Pańskiego.

Berti Csollan wszakże odrzucił tę propozycję.

— Skoro Marczi będzie kantorem, może sobie wtedy rozkazywać gminie; ale teraz niech siada i milczy. Jest tu jeszcze dwóch legatów, pełnych Bożego słowa.

I Marczi uspokoił się rzeczywiście i przysiadł pokornie na ławie.

Zaczem na kazalnicę wstąpił Jenöi.

A mówił pięknie, całe półtóry godziny, tak, że gmina zasnęła; ale bo też słońce palące świeciło ozeladzi w same twarze, więc radzi nie radzi

musieli skłonić głowy na ramię i dopiero wtedy zerwali się wylękli, kiedy rozległ się śpiew „Na górze Syonu“.

Ale kiedy człowiek od szóstej rano do trzeciej popołudniu, o głodzie, słucha pobożnych mów, to doprawdy więcej, niż zdołają znieść słabe jego siły. Po czwartem zatem kazaniu podniosła się ze swych miejsce cała gmina jak jeden mąż i oświadczyła stanowczo, że dłużej tu nie pozostanie, że musi wracać do domu, gdzie obiad z pewnością już wykupiał lub spalił się na nie; bydło przecież i konie stoją zgłodniałe, a ludzie usychają z głodu i pragnienia. Trzeba więc iść...

— Dokąd chcecie iść? — zagrział dziedzic. — Teraz dopiero przemawiać będzie ksiądz prawdziwy. Ci poprzedni to byli tylko klerycy, uczniowie na księży.

I na ambonie ukazała się oczom wszystkich nakazująca postać Pawła Barko. Kiedy wierni posłyszeli grmiący głos jego, istotnie zajęli wszyscy napowrót miejsca. Ten rzeczywiście musi być prawdziwym duchownym, bo ma głos nawet po temu. Tego słuchaćby mogli choćby do jutra wieczorem i nie zdrzemnęliby się z pewnością. Jak on prześlicznie mówi! Co mówi, któżby to mógł powiedzieć; ale to pewna, że mówi pięknie. Sam dźwięk jego mowy rozczulał kobiety do łez.

Kiedy skończyło się to kazanie, słońce już miało się ku zachodowi.

Pastuch Marczy wyciągnął obie ręce tak szeroko, jak wół rogi. Każdy cieszył się, że przynajmniej niema już szóstego kaznodziei.

Ale mieli przed sobą jeszcze komunię. Paweł Barko raz już funkcyonował w tym urzędzie; on więc miał dopełnić tej misyi. Boć trzeba podniecać religijne uczucia w tłumach.

Noc już zapadła, kiedy ostatni parobek odchodził od podawanego mu kielicha.

Do tej zaś chwili nikomu nie wolno było się ruszyć.

W końcu pobłogosławił ich jeszcze Barko, Berti Csollan zaś przemówił do nich w te słowa:

— No, teraz macie już nabożeństwa za rok cały. To był dzień pierwszy. Jutro będzie drugi, taksamo poświęcony pobożności; zgromadźcie się więc wszyscy, a wielebni panowie zadawać wam będą pytania z tego, coście tu słyszeli; zobaczymy, czegoście się nauczyli.

Dzięki tej obietnicy, wszystko co żyło rozproszyło się jakby wymiótł, tak, że nazajutrz na podwórzu nie zobaczyłeś nawet chłopaka noszącego wodę, i odtąd też nigdy już nikt nie prosił dziedzica o urządzenie nabożeństwa; woleli już chodzić do najbliższego miasteczka, leżącego o cztery mile, kiedy im przyszła ochota pomodlenia się.

Po skończonej pracy oczekiwała pobożnych misjonarzy wspaniała wieczerza: duszona baranina i cienkusz.

Berti Csollan nie pozwolił im kłaść się przez całą noc znowu. Pohulajmy sobie! Każdego po kolei znagłał do grania z nim w karty; ale już nie o pieniądze, dzięki gorzkiej wczorajszej nauce.

Tak przeszedł im czas do drugiego ranka.

Rankiem podano ser owczy i wywar wódczany, ochrzczone szumnie śliwowicą. Wadą sera była zbytnia jego starość, wódki zaś zbytnia młodość; ale nikt się tem nie zrażał. Do południa grano w karty na kredkę. Potem podano znowu lukulusową baraninę i tegoż samego cienkusza, a po obiedzie powrócono do kart. Wieczerza odbyła się w tym samym porządku, co dnia poprzedniego i wszyscy doczekali się ranka przy kartach.

Kiedy wszakże na obiad zastawiono znowu duszoną baraninę, Biroczy głos zabrał:

— Słuchajno Berti. Ja się sam zamieniłem już w owcę i uważam, że po jedzeniu zaczynam przeżuwać. Zdaje mi się, że na całej twej puście niema ani jednego zdechłego barana, którego byśmy już nie zjedli. Ale i dobrego może być zanadto! pozwólże nam odjechać.

— O, kochane moje dzieci, nie puszczę was, póki każdego, jak to przyrzekłem, nie opatrzę

na drogę rekomendacyjnym listem i małą sumką. Natychmiast zabieram się do pisania, muszę tylko wlać trochę wody w kałamarz, bo mi atrament całkiem wysechł. Ale przecież choć z dzień jeszcze pozostaniecie ze mną.

Kiedy Berti Csollan pozostawił studentów samych, poszedłszy pisać listy, naradzili się oni naprędce i ułożyli plan kampanii, jakimby sposobem stąd się wydostać. Niema innej rady, tylko trzeba ułatwiać się po jednemu. Najpierwszy niech idzie Biroczy, ażeby mógł ich cokolwiek wyprzedzić.

Dość czasu zeszło, nim Berti powrócił z listami. Były to wielkie epistoły, wypisane na grubym papierze olbrzymiemi literami, tak, że list cały możnaby przeczytać z drugiej strony, gdyby go nie zasmarowały znowu kulfony adresu.

— Tu więc jest list dla ciebie, Biroczy; brzmi on do „*spectabilis ac perillustris dominus egregius Stephanus Korcza*, mecenas w Peszcie“. To dzielny adwokat i będzie ci u niego jak w niebie. Napisałem mu, żeby cię przyjął za dependenta. Ten zaś, Barcsay, jest do twego dyrektora: „Geroa Balvandy, dyrektor wędrownej trupy aktorów“, gdzie go dognasz. Teraz przebywa w Miskolcz. Ale skoro już cię pomieści w swej trupie, przyjedźcież przynajmniej do mnie kiedy. Tu w owczarni wybornie możnaby dawać przedstawienia.

Ciebie, Feri Csuka, poleciłem wraz z twoją trąbą memu szwagrowi, jaśnie wielmożnemu podpułkownikowi huzarskiego pułku Satory de Sator et Bakator, a poleciłem serdecznie. Musiałem pisać do niego wielkimi literami, bo jest straszliwie głuchy. Wrzeszcz mu co sił stanie w samo ucho, kiedy z nim będziesz rozmawiał. Tobie, kochany Pawle Barko, nie mogę dać żadnego polecającego listu, chociaż mam, co prawda, jakiegoś tam krewnego w siedemdziesiątym siódmym stopniu zamieszkałego w Azyi, ale szczerze mówiąc, nie wiem ani gdzie mieszka, ani jak się nazywa. Jeśli go tam gdzie spotkasz, pozdrów go odemnie. Natomiast daję ci na tę długą drogę, w którą się puszczasz, to, co wszędzie jest najlepszem poleceniem: w opieczętowanej tej paczce mieści się sto talarów w srebrze. A nie zapomnij, wydając je, że trzeba doliczać agio.

I rzeczywiście podał Pawłowi długi rulon, w którym były pieniądze, z napisem: sto talarów.

Jednakże to poczciwy człowiek, ten Berti Csollan...

Paweł Barko przymusił grzbiet swój do niedostrzeżonego, dziękczynnego hołdu, co u niego znaczyło już bardzo wiele.

— Ty wreszcie masz tu także list rekomendacyjny, kochany mój Jenði: ten napisałem już na porządniejszym papierze, boć to do kobiety,

do mojej żony. Elegancka to kobieta; z końcem lata przyjeżdża zimę spędzić w Peszcie, jak ogólnie robią możniejsze rodziny. Dla mnie już z pewnością zrobi to, że się zajmie tobą szczerze: ale sam musisz list ten odnieść. A nie włóż go czasem w cholewę buta, bo ona nie znosi zapachu jucht. Tak, moi kochani chłopcy, jesteście zaopatrzeni na całe życie... Teraz idę tylko jeszcze wynagrodzić wam szkodę, którą ponieśliście przez spalenie się waszych tłómczków. Wiem, żeście tam mieli także po trosze bielizny, a to najpotrzebniejsze. Udzielę wam przeto mojej.

I wyciągnął szufladę jednej z szaf i wyrzucił cały stos koszul, uszytych z najzwyczajszego grubego płótna, jakie się bierze na ścierki.

Mimo to studenci je przyjęli. Jakiekolwiek tam są, zawsze mogą się przydać. Ten więc żart nie osiągnął celu.

Ale nie tu była *pointe*'a całego figła, tylko w listach, których treść zdradzę wam przed czasem.

W liście Birocze go do mecenasa, przyszłego jego pryncypała, zawierało się co następuje:

„Niniejszem polecam ci zaufanego mego Aleksandra Biroczy, wolą głowę, z trzywiadrowym żołądkiem i najpilniejszego zwolennika czcigodnego Gringenöra“ (Gringenör wynalazł karty).

Niechże teraz z tem poleceniem stanie Biroczy przed peszteńskim adwokatem!

W liście Borcsay'a nie tyle sam list, ile raczej adres stanowił figiel; ów Balvandy bowiem nie był bynajmniej dyrektorem teatru, ale posiadaczem licznych dóbr i baronem, jakkolwiek rzeczywiście wielkim protektorem wędrownych aktorów. Z nim to Berti Csollan prześciga się zawsze w różnych farsach. Na ten raz Borcsay wpadł mu w ręce.

Pocziwy Feri Csuka niósł do owego majora huzarów list następującej treści:

„Stary austriacki łotrze! Posyłam ci studenta, który tak umie zagrać marsza Rakoczego, że go nawet twoje głuche ucho usłyszy. Polecam ci go za nadwornego trębacza“.

Major zostawał w służbie austriackiej i marsz Rakoczego był dla niego poniekąd osobistą obrazą.

Co było w liście Kolomana Jenöi, tego nie zdradzimy, list ten bowiem pisany jest do kobiety.

To wszakże wiadomem było każdemu znajomemu Bertiego, że między mężem a żoną toczył się proces rozwodowy. Biedny, niedoświadczony student ani przeczuwał tego oczywiście.

No, a ów rulon, wręczony Pawłowi Barko? Były w nim rzeczywiście pieniądze. Czuć to było w dotknięciu i po ciężarze...

Były pieniądze z pewnością, ale nie srebrne talary, tylko dwugroszniaki, oddawna wycofana

z obiegu moneta, nie mająca dziś żadnej wartości.

Mimo to jednak Paweł Barko objechał z temi pieniędzmi w kieszeni Persyę, Tybet, Chiny, Syberyę i pó wielu latach, kiedy już był słynnym na cały świat człowiekiem, zwrócił je z podziękowaniem ofiarodawcy. — „Przywożę ci je na powrót — rzekł. — Nigdy nie otworzył tego rulonu. Wszystkie pieczęcie na nim są nietknięte. Były one jednak podwaliną mego szczęścia. Świadomość, że mam w kieszeni sto talarów, dodawała mi odwagi i siły w przeprowadzaniu wielkich myśli. Dziś zwracam ci te pieniądze z podziękowaniem. Oby ci Bóg dał tysiąc razy tyle!“

Kto to wie — a jeśli i inne listy tak samo przyniosą szczęście obdarowanym?...

DOKĄD WIODĄ LISTY?

I trzeciego zatem wieczora zasiadł Berti ze swymi studentami do gry. Był pewny, że tej nocy jeszcze mu nie uciekną z folwarku, bo w podwórzu czuwały trzy wielkie brytany, spuszczone z łańcucha, dwa gończe, cztery wyżły i jeden jamnik. Niema takiego szaleńca, coby się odważył iść po zachodzie słońca pieszo przez jego podwórze, bo z pewnością rozszarpałyby go na ćwierci.

A przecież stało się, że ilekroć w grze jeden student zastępował drugiego, poprzedni wynosił się cichaczem z pokoju i nie powracał już więcej, tak, że kiedy Pali Barko ostatnią grał partya i obaj partnerzy obejrzeli się po pokoju, prócz nich nie było już nikogo.

— Gdzież oni się podzieli?

— Z pewnością poszli się przespać! — wyraził domysł swój Barko. — Pójdę ich poszukać.

— Ale ich nie budź, jeśli śpią! Trzeba im jakiego splatać figla.

I Pali Barko wyniósł się z pokoju; Berti zaś tymczasem czekał i czekał, pewien, że za chwilę wszyscy powrócić muszą — aż wreszcie, znudzony czekaniem, poszedł sam zobaczyć. Nie było już śladu studentów w całym domu! Wyszedł na podwórze, ale i tu panowała głęboka cisza. Począł wołać na psy: ani jeden nie przyszedł mu do nogi. Nakoniec począł krzyczeć i rozbudził całą czeladź.

— Gdzie są studenci? Co się zrobiło z psami?

W tej chwili może już są nad brzegiem Cisy. Psy wszakże po dobrej chwili dały znak życia wreszcie. Jakieś odległe, złowrogie wycie rozlegało się nagle w ciszy, piskliwe, stłumione, bolesne jakieś, zmieszane z żalostnym naszczekiwaniem i trwożnym mrukiem.

Skąd wychodzi ten głos? Gdzie one są? Parobki, dziewczki rozbiegają się we wszystkich kierunkach, szukając psów, aż w końcu dojść zdołali, że wszystkie brytany, wyżły, gończe i jamniki uwięzione są w pustym dole od kartofli, którego otwór przykryto kołem z woza zdjętem: stamtąd to był ten chór cały. Jakim sposobem mogły się tam dostać? Nic innego, tylko ten kulawy włóczęga tam je pozanosił!...

Kiedy Berti Csolan przekonał się, że goście jego uciekli, zapalił się strasznym gniewem.

— Na koń, ilu was jest! W pogoń za nimi! Musimy ich przyprowadzić napowrót.

Sam pierwszy wskoczył na siodło, przewiesił przez plecy harapnik i powiodł cały zastęp ścigających ku przewozowi. W tym kierunku musieli uciec.

Przewóz na Cisie, którego właścicielem był Berti, leżał o dobrą godzinę od dworu. Od jednego do drugiego brzegu przeciągnięta była gruba lina, na której prom przesuwali przewoźnicy.

Noc już była zupełna, kiedy studenci bez tchu niemal stanęli u przewozu. O tej porze śpi przewoźnik oddawna.

Biroczy zabrał się do budzenia go.

Ale przewoźnikowi nie mogło żadną miarą pomieścić się w głowie, aby w noc ciemną choć oczy wykol, przewozić miał kogo przez Cisę. A jeszcze też owych pięciu legatów, którzy przed pięciu dniami mieli takie kazania we dworze. Dokąd im tak spieszo?

— Powiemy wam szczerą prawdę, kumie: uciekamy — przemówił doń Biroczy. — Jutro niedziela i musimy stawić się tam, gdzie na nas czekają. Jeden z nas musi być w Csany, drugi w Heves. Jeśli się zaś nie stawimy, zdejmą nam święcenia! Tymczasem waszemu panu, bo to taki waryat, przyszło do głowy zatrzymać nas gwałtem przez jutro u siebie, żebyśmy znowu

mieli dla was kazania, a po kazaniu katechizowali was wszystkich kolejno.

Stary przewoźnik zląkł się naprawdę.

— A co to jest: katechizować?

— Tak mój kochany, to znaczy, że każdy będzie po kolei wychodził na środek, skoro go wywołają, a my pytać go będziemy o wszystko, co z religii wiedzieć powinien: jakie to są dziesięcioro przykazań, jakie to były plagi egipskie, jak było na imię wszystkim apostołom, jak się nazywali synowie Noego, lub dziewięciu braci Józefa?

— Co? — spytał przewoźnik, coraz mocniej zaniepokojony.

— Ty zaś właśnie masz być najpierw wywołany do katechizowania i zaraz takie otrzymasz pytanie: jak się nazywają księgi proroków starego testamentu, i będziesz musiał wymienić imiona ich wszystkich i tytuły ksiąg.

— Prorocy starego testamentu?

— Może tego nie umiesz? Dobrze, to cię tego nauczę: „Mojżesz, Jozue, księgi sędziów, Rut, Samuel, księgi królów, kronika, Ezdrasz, Nehemiasz, Ester, Job, Psalmy, Przypowieści, Pieśń nad pieśniami, Jeremiasz, Ezechiel, Daniel, Hozeasz, Joel, Amos, Jonasz, Abdeasz, Mikeasz, Nahum, Habakuk, Sofoniasz, Aggenezz, Zacharyasz, Malachiasz“.

— No, a teraz powtórz mi to gładko, bo jeśli Berti Csollan nas tu przydybie i powlecze napowrót do dworu, będziesz to musiał jutro wyrecytować.

— Wstawać coprędzej chłopcy! — ryknął przewoźnik wylekły — musim coprędzej przeprowić przez rzekę tych pięciu studentów.

— Ale jeśli pan za nami podaży na drugi brzeg i dostanie nas napowrót? — spytał Bi-roczy.

— Dziś z pewnością nie, za to ręczę — odpowiedział mu przewoźnik — nie dam ja się na stare lata uczyć katechizmu.

Przelekli przewoźnicy tak szybko przeprowili na drugi brzeg studentów, że nigdy jeszcze chyba żaden napiwek nie zbudził w nich takiej siły.

Kiedy Berti Csollan przybył nareszcie z swoim zastępem, wtedy ścigani zasypiali już oddawna spokojnie.

Berti napadł przewoźnika, jakim prawem ośmielił się przewieźć studentów i dopomóż im do ucieczki? Przewoźnik nie mu nie odpowiedział, tylko pod nosem mruczał sobie okropne wyrazy: „Ezdrasz, Nehemiasz, Hozeasz, Mikeasz“.

— Dalej za nimi, conajprędzej! Musim ich sprowadzić!

— (Jutro rano jak się ociepli! — pomyślał stary przewoźnik).

Kiedy prom z całym ściągniętym orszakiem płynął środkiem Cisy, nagle — jak się to stało nikt nie wie, ale stało się — zerwała się lina u przeciwnego brzegu; Cisa była wezbrana, właśnie i rzeka porwała prom dalej. Przewoźnicy pochwycili wszakże linę, a stary sterował promem tak zręcznie, że szybki prąd wody rzucił prom napowrót na brzeg, gdzie wszyscy wpadli do wody; na szczęście u brzegu stały wierzby szeregiem i po ich gałęziach wydrapali się na ląd cało, choć przemoczeni do nitki.

A wszystko to zawdzięczać należało prorokowi Habakukowi i jego towarzyszom.

Oswobodzeni studenci tymczasem, poczuwszy znów na przeciwnym brzegu grunt pod nogami, skierowali swe kroki ku domkowi, widzialnemu w dali. Był to opustoszały domek w winnicy, gdzie wygniatano winogrona; budynek mający tylko trzy ściany, czwartą zaś stanowiło jedno wielkie okno. Tam w kącie znaleźli ogromną kadź, w której wyciskano zazwyczaj winne jagody i pod nią to rozbili swój namiot...

— Bracia, tu się drogi nasze rozchodzą — ozwał się Jenöi — jutro jeden pójdzie na prawo, drugi na lewo. Kto wie kiedy się zobaczymy. Zróbmy zatem teraz ślub, dajmy sobie słowo uroczyste, że ci co po latach piętnastu żyć będą jeszcze, stawiają się na ten sam dzień,

w którym się teraz żegnamy. Miejscem spotkania niechaj będzie Peszt...

Wszyscy uścisnęli się, ucałowali i poprzyśięgli sobie, że za lat piętnaście stawią się w Peszcie, bez względu na to, czy ich los uczyni wielkimi panami, czy też żebrakami.

— Ja przyjdę choćby z Turkiestanu — przyrzekał Pali Barko.

Potem siedli wszyscy obok siebie na ziemi, owinęli się w płaszcze i po upływie dwóch minut spali już najsmaczniej.

Jeden kulawy Biroczy czuwał i udawał tylko śpiącego. A kiedy towarzysze jego usnęli już na dobre, wyjął z kieszeni wygrane od Csollana pieniądze, rozdzielił je na pięć paczek i wsunął każdemu ze śpiących towarzyszy po jednej takiej paczce do kieszeni, ciesząc się w duszy z tego, jak jutro zdumieni będą, kiedy, chcąc za pierwszą zapłacić szklanekę, rękę zanurzą nagle w tyłu pieniądzech. Wiedział dobrze, że gdyby nie spali, żaden z nich nie przyjąłby tych pieniędzy, które on zdobył, oszukawszy oszusta. I aby nie mogli mu ich oddać, wymknął się po cichutku, wyrwał kołek z płota winnicy i rano już był od nich tak daleko, jak mogły go przez połowę nocy donieść dwie kulawe nogi.

I rozbiegli się wszyscy pięciu studenci w tę nieskończoną nicość, której miano — świat.

Najpierw dostał się do celu Borcsay. Nie doszedł wcale do Miskolcz, by tam odszukać, wedle wskazówki listu, owego dyrektora teatru Balvandy'ego, który w rzeczywistości był jasnie panem, ozdobionym szambelańskim kluczem złotym i ostrogą. Po drodze spotkał wędrowną trupę komedyantów, zakochał się w primadonnie i został tam zaraz, jako *primo amoroso*. List do Balvandy'ego można sobie zostawić na później, i na niego jeszcze czas przyjdzie.

I Feri Csuka niezadługo stanął w Koszycach; z łatwością znalazł koszary konnicy, a tam już dopytał się o mieszkanie majora, do którego wszedł z wojskowym pokłonem, list mu oddając.

Major Satory był to tęgi chłop kościsty; głowę zawsze trzymał tak do góry, a pierś tak naprzód wysuniętą, jakby świat cały wyzywał do walki; wypukłe oczy rzucały ogniem z poza szczyta potężnego orlego nosa, sypały granatami w oczy stojącego naprzeciw niego, któremu nadto jeszcze zagrażała para okropnie wywoskowanych wąsów.

Gdy major odczytał list Berti Csollan, zagrzemiał głosem takim, jakim się komenderuje pułkiem:

— A więc chciałbyś zostać trębaczem i dobrze umiesz grać marsza Rakoczego?

Biedny Feri Csuka mógł poznać po krwią nabiegłych, łyskających oczach rycerza, że tu

marsz Rakoczego nie byłby na swoim miejscu; ale napróżno zapewniał, że nie wie o niczem, że nie umie grać marsza Rakoczego — dzielny wojak nie słyszał co mu odpowiadano, z twarzy tylko, drgania brwi i poruszenia ust swojej ofiary widział, że mu odpowiada.

— Ha! umiesz trąbić marsza Rakoczego! Ruszaj więc naprzód na dwadzieścia cztery godzin do aresztu!

Biedny chłopak odskoczył aż w tył z przestachu od zagniewanego wojaka i sam się oddał w ręce profosa by go zamknął do kozy. Ślicznie się zaczyna niema co mówić!

Jednakże w następnem już mgnienu oka przeszedł gniew majora. Zastanowił się, że biedny chłopak niewinien temu, co ten waryat Berti napisał w swym liście i wysłał natychmiast za rekrutem ordonansa, aby go przyprowadził napowrót.

Kiedy Ferko ponownie stanął przed nim, począł przemawiać doń tak już cicho, że ten ledwie zdołał pochwycić słowa:

— A więc z ciebie trębacz, mój synu? Skoro umiesz tyle marszy, to może umiałbyś zagrać i „Werbunkową pieśń czterdziestu“.

Była to niegdyś pieśń sławna. Podczas francuzkiej wojny, kiedy Debreczyn miał wystawić czterdziestu huzarów, skomponował Bihare tę pieśń werbunkową, a kiedy zagrano ją przecią-

gając przez ulice, stanęli odrazu do szeregu wszyscy czterdziestu. Stąd to pochodzi nazwa pieśni.

Pieśń to dziwnie mówiąca, jakiej chyba drugiej już nie będzie...

Melodya poczyna się tańcem, w którym słyszysz wyraźnie brzęk ostrogi i takt uderzeń o ziemię szabel; potem słychać niby śpiew pożegnalny rozstającego się z rodziną wojska; dalej tętent podków zbierającego się oddziału i śpiew bojowy, wyzywający wroga; potem szczęk broni wojsk w śmiertelnych zapasach zmieszanych, i krzyki: „Rąb! Zabijaj! Nie ustępuj!“ A potem znowu hymn zwycięstwa i radości tych, co się po boju zdołali odnaleźć pod rodzinną strzechą.

Jakżeby tej pieśni nie miał znać Feri Csuka!

Wojowniczy major Satory zdjął ze ściany trąbkę huzarską i podał mu ją do ręki.

Ferko zadał w nią potężnie.

— Czekaj, mój synu. Nie tak. Tak nie posłyszę ani jednego dźwięku. Ale ja się tu ot wyciągnę na tej niedźwiedziej skórze, a ty mi trąbę przyłóż do ucha i wtedy dopiero graj pieśń werbunkową.

Tak też uczynił. Wyciągnął się i jedno ucho przyłożywszy do otworu trąby, słuchał z rokoszą grzmiących dźwięków, jedynych, które jeszcze przez trumienne wieko głuchoty przedzierały

się do jego duszy. Póki brzmiała trąba, on zamknięte miał oczy, ale acz je ukrywał dobrze, co chwila musiał ocierać łzy z nich ciekące.

— Dobrze, mój synu — wymówił następnie, podnosząc się z swego posłania, i uderzył go po ramieniu. — Widzisz, to jest jedyny jeszcze dźwięk świata, który się przedrzeć może do mnie. Gdyby nie to, byłbym zupełnym już automatem. Masz tu, mój synu, dukata, przepij go sobie. A i w przyszłości zawsze pamiętać będę, aby ci nie wysychało gardło.

Jak widzimy przeto, Feri Csuka nie najgorzej wyszedł na figlu Csollona.

.

Teraz kolej na fatum Aleksandra Biroczy'ego.

Pewnego pięknego wczesnego poranka odnalazł on wreszcie mieszkanie pana mecenas Korczy, który był słynnym adwokatem przy królewskim sądzie.

W owe czasy co innego znaczyło być słynnym adwokatem, niż dzisiaj.

Taki słynny adwokat nie pracował z dzieściami pracowników w wielkim biurze, na najludniejszej ulicy; naprzód nielada to było rzeczą odszukać jego mieszkanie, a jeszcze może większą zastać drzwi jego otwarte. A wszystko prawie robił sam... Acz grube pliki stanowią akta jego kancelaryi, zalegające w popstrzonych przez muchy okładkach półki biura, wszystkie

niemal są własnoręczną pracą pana mecenasa, który pośród nich postarzał. Nie znajdziesz tam żadnej kopii, żadnego kaligraficznego pisma, żadnego od druku chińskim atramentem lub litografowanego blankietu. Są to wszystko z głębokim namysłem pisane czerwone i wyblakłe litery, a papier nawet jest mocny, nie do przedarcia.

Repozytorya zgruba tylko pociągnięte farbą, wypełnione są starymi aktami procesów; stoły, których kolor daremnie siliłbyś się odgadnąć pod plamami atramentu, wysiedziane, skórą obite krzesła, to cały przepych biura przesławnego mecenasa. Jedyнным oprawnym w ramę obrazem, który zdobi niepomalowaną ścianę, jest herbowa tarcza, uwieczniająca zdarzenie zgonu jaśnie wielmożnego Barnabasza Csollan, a i ten nieoszlony.

Kancellarya sama jest tak maleńką, że kiedy Biroczy otwarł drzwi jej, odmykające się do wnętrza, przechadzającego się po niej właśnie pryncypała nieomal przycisnął do ustawionego obok zielonego, kaflanego pieca, tak że w tej pułapce obadwaj musieli spojrzeć sobie oko w oko i prawie nastąpić sobie na nogi.

Z powodu tego spotkania doznali tej przyjemnej niespodzianki, że każdy zobaczył przed sobą brzydszego jeszcze od siebie człowieka.

Bo zaprawdę Biroczy jest ohydnie brzydkim, ale pan Korcza nie mógłby mu ustąpić palmy pierwszeństwa.

Kto z nich później wejdzie, ten jest brzydszym.

Pan Korcza trochę wydaje się wyższy od Biroczy'ego, prawdopodobnie tylko dzięki temu, że siwe swe włosy układa w wielki czub nad czołem.

Twarz jego jest nie ospowata, ale pobrużdżoną jak ziemia zorana, którą pozostawiono w grudkach. Ospa wytępiła mu połowę wąsów i tylko parę pozostawiła szczeciniastych kępek. Ale pozostała połowa wywoskowana jest i wykręcona starannie. Brwi nie ma wcale; oczy zaś oprawione są w dwa czerwone pierścienie. Nos wykręcił się nabok, niby ulepiony z wosku. I jak gdyby był przekonany, że w tej twarzy posiada skarb nieoceniony, wyrabia najprzeróżniejsze grymasy ustami i oczyma.

Obadwa okazy, które wraz z otwarciem drzwi popatrzyły sobie oko w oko, stają zatem na przeciw siebie.

— Czego tu szukasz, hę? — woła pryncypał ostro na wchodzącego. — POCO tu przychodzisz?

— Bo chcę tu pozostać — odpowiada Biroczy, wtaczając się we drzwi i zapierając je plecami.

— Tu? *Quo jure?*

— *Jure patuaristico* ¹⁾.

— Co? — wrzeszczy mecenas i robi grymas taki, jak pawian kiedy się rzuca na tego co mu śmie zamącić spokój. — Szkaradna twarz twoja odstraszyłaby przecież każdego klienta, coby zechciał przyjść do mnie.

— Piękność pana pryncypała sprowadziłaby ich wszystkich napowrót — odpowiedział Biroczy i uśmiechnął się z niegodziwą uprzejmością.

Pan Korcza rozśmiał się nagłos. Biroczy uzyskał jeden krok terenu w tym pokoju.

Ale do biórka, przeznaczonego dla patuarysty, jeszcze było z osim kroków conajmniej.

— A czy masz dobre świadectwo?

— Szczerze mówiąc, nie mam bynajmniej dobrego. Wyrzekłem się kolegium. Ale mam atest od Berti Csollana, który sam jeden stanie za cały fakultet.

Na to oświadczenie pozwolił mu pryncypał o jeden krok bliżej wstąpić do pokoju.

Nazwisko Berti Csollan oddziaływało galwanicznie na twarz mecenasasa. Oba kąciki ust wzniosły się w górę, a nawet uszy zdało się, że się jakoś rozszerzyły.

¹⁾ Patuarystą nazywał się pisarz adwokacki w kuchennej łacinie owoczesnej.

Gdy przecież przeczytał polecający list Csollona, podniósł się nagle na palce i wraz ze zmarszczeniem czoła, zdało się, że całą swą postać w górę podnosi, przyczem zawołał głośno:

— *Kutya — kutyánszki! laba — labánszky!* (Było to ulubionem jego zaklęciem, urobionem fantastycznie od „*kutya laba*,” psia noga).

— Posłuchaj-no co tu jest w tym twoim polecającym liście — przemówił do Biroczy'ego mecenas. — *Recomendo tibi fidelem meum*. Biroczy, więc to byłbyś ty niby; głowa bawola — i przy tych słowach położył rękę na głowie Biroczego — żołądek mieszczący w sobie trzy wiadra — i przy tych słowach znowu pomacał mu brzuch; — najwierniejszego zwolennika wynalazcy kart...

Przy tych słowach chwycił go za rękę i przyjrzał się uważnie końcom jego palców. Przebiegli szulerzy bowiem zdzierać sobie zwykli skórę z kończyn palców, ażeby przy rozdawaniu kart dokładniej czuć mogli ich wizerunki.

— Zaprawdę, to śliczne polecenie!

— Śliczne! odpowiedział natychmiast Biroczy; — bo albo prawdą jest co tu napisano w liście, albo też nieprawdą. Jeśli prawda, w takim razie i to jest prawdą, że mnie Berti Csollan poleca; jeśli zaś nieprawdą, wtedy i reszta jest kłamstwem.

— Dobrze zareplikował! — wymówił pan Koroza i ukrywając list po za plecy, wsunął

głową między ramiona, jak to czynił Biroczy. — Teraz wszakże odpowiedz mi na seryo. Nie pytam się w czem zawiniłeś w kolegium i czemuś od profesorów nie otrzymał świadectwa; pytam tylko, czem przewiniłeś przeciw Berti'emu Csollan, że ci wystawił takie świadectwo?

— Wyznam szczerze: wygrałem od niego pieniądze w karty.

— Co? — krzyknął pan Korcza, zbliżając nos swój tuż do nosa Biroczego. — Ty? pieniądze? Od Csollana? Kiedy tak, to chodź, siadaj i zostań tutaj! Pozwól mi się uczyć od siebie. Dotychczas bowiem nikt w świecie tego dokonać nie zdołał, by wywabić pieniądze z kieszeni Berti Csollana. Ani ja, który jestem jego obrońcą, ani adwokaci stron przeciwnych nie widzieliśmy nigdy od niego ani krajcara; nawet piękna kobieta ognistemi swemi oczyma, ani żupan zapomocą, egzekucyi nie mogli z tego człowieka wytopić grosza. Tyś pierwszy, który się tem pochwalić może. Z ciebie z czasem będzie wielki adwokat; biorę cię na patuarzystę, tam twoje krzesło.

Biroczy nie pozwolił sobie tego powtórzyć dwukrotnie. Miał jeszcze pięć kroków do zajęcia wskazanego krzesła; pospieszył z wysiłkiem aby je prędzej osiąść, zanim pryncypał dojdzie do swego biurka. Przypominało to wyścig żółwia z zającem.

Odtąd więc nosić już będzie tytuł: „*audiat*“.
„*Audiat!*“ (słuchaj!) było tytułem patuarzysty.

— Ale, *audiat*, o jedno zapomniałem spytać; czy *audiat* umie czytać?

— Jakże miałbym nie umieć czytać?

— No, to proszę mi odczytać to pismo!

Pierwszą próbą patuarzysty u pana Korczy było odczytanie pisma pryncypała.

Bo było to takie pismo, jak gdyby mucha, wpadłszy w kałamarz, następnie pełzała po papierze. Jeśli to prawda, że każde pismo podobne jest w czem do piszącego, w takim razie to pismo było najwierniejszym pana Korczy portretem, coś tak okropnego, że on sam często bardzo nie mógł odgadnąć, co znaczą atramentowe te plamy.

— No posłuchajmyż! — mówił pan Korcza, podwójnie marszcząc czoło. — Proszę czytać.

— O, wprost czytać nie sztuka — odpowiedział Biroczy — ale odwrotnie.

I wywróciwszy do góry nogami pismo, odczytał gładko zupełnie gryzmoły pryncypała.

— *Kutyánszky!* — mruknął pan Korcza. — A teraz zobaczmy czy *audiat* umie pisać, czy umie wiernie skopiować, com ja napisał. Tu jest pióro.

Na stole stał olbrzymi czworograniasty kałamarz cynowy. W tym pan Korcza zanurzył

pióro do połowy, tak że je zaledwie w środku ująć było można. Chorągiewka znów pióra miała odrębne swe przeznaczenie, bo czyszczano nią cybuchy zazwyczaj, co przedstawiało tę podwójną korzyść, że oduczało patuarzystę od gryzenia pióra.

— Bierz-że pióro!

Oczy pana Korczy śmiały się złośliwie. Jak też weźmie chłopak w rękę to pióro, nawpół w atramencie nawpół w fajczanym soku uwalane?

Biroczy obejrzał się dokoła; na stole leżała zajęcza łapka, którą ścierano kredę z tabliczki, przeznaczonej do notat; między pazury tej łapki zajęczej wcisnął więc powalane pióro i tak skopiował podane sobie pismo.

Pan Korcza pokręcił tylko głową i w milczeniu pogładził swego czuba.

Kiedy już kopia była gotowa, przyniósł mu ją Biroczy i pokazał.

Pan Korcza rzucił okiem na arkusz.

— Niedobrze, niedobrze, niedobrze!

— Co niedobrego, co niedobrego, co niedobrego?

— To już rzecz audiata wyszukać.

Przedarł kopię na dwoje.

— Pisz raz jeszcze!

Biroczy zabrał się ponownie i usiłował jak najwiernej skopiować wszystko, aż do wykrę-

tasów, poczem przyniósł swą pracę pryncypałowi powtórnie.

Ten spojrział na nią tylko przelotnie.

— Nic nie warte! Nie skopiowane wiernie.

I rozdarł papier.

— Pisz na nowo!

Biroczy zasiadł raz jeszcze; może interpunkcyja dana fałszywie, pomyślał, i tę już starając się naśladować wiernie.

Przy trzeciej prezentacyi jednak przyniósł pryncypałowi dwa arkusze; jeden był złożonym we czworo czystym papierem, drugi, zapisany, trzymał ztyłu.

— Co to ma być? — spytał pryncypał, patrząc ze zdziwieniem na pusty papier.

— Ten papier jest do podarcia — odpowiedział Biroczy — Potem podam i drugi.

— *Kutyánszki!* — wykrzyknął pan Korcza. — No pokaż-że, już nie podrę.

Potem przejrzał podaną sobie kopią i pukając w nią silnie palcem, powtórzył z groźną surowością:

— I teraz nie jest dobra, i teraz brak czegoś jeszcze w tej kopii.

— Brak czegoś? — rzekł Biroczy. — Wiem już czego tu braknie.

I podniósł pióro nad papier i zwolna począł strząsać z niego atrament, tak jak to było na piśmie pryncypała.

Pryncypał ani się rozśmiał, ani zaklął, ale pięścią ozule uderzył po szczeniastej głowie młodzieńca.

— A widzisz, ośła głowo, jak to ten twój amerykański bawoli łeb wszystko wynajdzie, skoro musi. Tego tam brakło. Bo naucz się, że w piśmie dwojaki są kleksy. Jedne przypadkowo spadają z pióra na papier: to kleksy małodusznych, niedbaluchów, nieuważnych pisarzy; ale te drugie, co z pióra jak z rakiety strzelają na wszystkie strony, są kleksami pisarza, który ma stanowczy, wybitny charakter, nikogo się nie lęka... Ale po sprawiedliwości, skoro już rozpoczęliśmy układy, dobrze będzie abyś się poznał ze swoimi obowiązkami — wymówił po chwili pan Koroza i sięgnął do kalendarza, który na przyciągniętej przez jeden róg nitce wisiał na ścianie. Na jednej z czystych jego stronnic spisane były warunki kapitulacyjne patuarysty, ażeby ich czasem nie zapomniał. A zatem:

„1-mo. Pensi żadnej“.

„2-do. Napiwek należy do hajduka, akcydensy do patuarysty“.

„3-tio. Obiad i podwieczorek w domu; szklanka wina; śniadanie może z sobą przynosić, jeśli je ma“.

„4-to. Gdyby hajduk miał się upić wieczorem, patuarysta czyści buty“.

„5-to. Musi towarzyszyć pryncypałowi z aktami; skoro je niesie hajduk, patuarysta idzie za mną; jeśli zaś patuarysta niesie akta, idzie przedemną. Nie z przyczyny godności, ale dlatego, abym widział czy czego nie zgubi“.

„6-to. Przy stole patuarysta kraje pieczeń i przynosi wino do stołu z piwnicy“.

„7-mo. Jeśli wszakże goście są u stołu, a hajduk zajęty jest roznoszeniem potraw, wtedy patuarysta winien uważać tu na moją brew“.

— Gdzież ona jest? pokornie proszę.

— *Kutya katyánszki!* Choćby nikt w świecie nie widział brwi moich, audiat obowiązany jest je widzieć, a kiedy ja brwią tak zrobię — tu wzniosł w górę muskuł skroni — to znaczy, że masz wstać i zmienić talerze.

— A kiedy ja tak brwią ruszę — powiedział Biroczy, ściągając swe brwi krzaczyste — to oznacza, że ich zmieniać nie myślę.

— Hm! To niechże i to pozostanie tylko dla hajduka. I tak dobrze.

„8-o. Jeśli jedziemy gdzie i ciemno jest lub zła droga, audiat niesie latarnię przed końmi“.

— To znów rzecz hajduka.

— To jest i pozostanie rzeczą audiata. Hajduk musi wtedy uważać na powóz, żeby się nie przewrócił.

„9-no. Przy biciu skazanych przez sąd na tę karę delinkwentów, audiat liczy razy“.

„10-mo. Zgłaszających się klientów w poczekalni winien audiat przyjemnie zabawić“.

„11-mo. Jeżeli jesteśmy zaproszeni do żupana lub innego jakiego dygnitarza na obiad, to tam gdzie siada patuarysta jest ostatnie miejsce.

„12-to. Na dawanych przez nadżupana balach, gdzie bywać musimy, obowiązkiem patuarysty jest tańczyć z temi pannami, których nikt inny do tańca nie bierze“.

— To już moja rzecz tylko.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się pan Koroza, poglądając na koszlawe nogi świeżo zaangażowanego dependenta.

— A więc to już moja rzecz najzupełniej.

— Nakoniec wiedzieć jeszcze audiat musi, że skoro zadzwonię, to znaczy, że przywołuję hajduka, ale skoro zagwizdnę, to na niego i należy wówczas przybiedz do mnie.

— Zrozumiałem.

— No, a teraz, żeby cię zaraz wprowadzić w podjęte funkcyę, proszę mi zanieść ten list do wielmożnego pana mecenasa Balbasy.

— Gdzież on mieszka? — spytał Biroczy.

— W Peszcie! — odpowiedział pryncypał, pozostawiając Biroczy'emu puszczenie się w drogę i odszukanie kogoś, o którym wie tylko, że go znaleźć można w Peszcie.

Jenöi o dwa dni później od Biroczego przybył do Pesztu.

I tu powtórzyła się znowu bajka o żółwiu i zającu. Stary Fedro zapomniał dodać w tej bajce, że — żółw na wozie dostał się do celu, kiedy zając tymczasem dążył tam pieszo.

Koloman znalazł był wprawdzie w swej kieszeni pieniądze, które tam pokryjomu wsunął Sandor, ale ich nie tknął nawet. Wiedział skąd pochodzą i chciał mu je odesłać. Był on człowiekiem, który gotów obiadować pod dziką gruszą, ale też od dzikiej gruszy tylko przyjąć może podarek.

Zajechawszy zaledwie pod „dwie kozy,“ (była to podówczas najbardziej uczęszczana i najtańsza oberża), pospieszył otrzepać się i oczyścić z kurzu podróży. Na szczęście wyprał był sobie jedyną pozostałą mu cienką koszulę i mógł na nią zawiesić pancerz gruby, którym Bertó Csollan nagroził go za straconą bieliznę.

Ale młodzieńca każda szata zdobi, choćby była Bóg wie jak zużyta.

Na otrzymanym polecającym liście dokładnie wypisanym był adres pani, na której protekcji budował nadzieje najbliższej swej przyszłości; dzięki temu adresowi, nie potrzebował długo dopytywać się o mieszkanie.

Kiedy wszedł doń, natychmiast wpadł mu w oczy kontrast między tem co tu widział, a tem co oglądał w Gödenylak.

Tam gościa przyjmuje brudna dziewczka — jeśli go w ogóle przyjmuje — i cała sfera zjadłych brytanów; tu otwiera drzwi wygalowany służący w żółtym fraku i ponsowych spodniach. Tam w sieni leżą śmiecie i wszelkiego rodzaju odpadki, od ścian odstaje wapno, a ze skórzanych krzeseł wylażą pęki włosienia; tu wszędzie gobeliny, kobierce, adamaszkowe portyery, franki, marmurowe kominki, drogie wazy pełne egzotycznych kwiatów, złocene meble w stylu renesansu, a we wszystkich komnatach unosi się woń czarowna sfer arystokratycznych. Jenöi począł pojmować, że nie darmo chyba ci ludzie nie mieszkają razem.

W kilka minut później pojał to lepiej jeszcze.

Skoro pokojowa dowiedziała się, że młodzieniec przybywa od „jaśnie pana,“ z listem, który chciałby oddać samej pani, pospieszyła go zameldować; pierwiej jednak dobrze obejrzała jego ubiór; w Peszcie podówczas krój jego nie był już zbyt modnym.

Niebawem powróciła i skinęła na Kolomana, że może wejść do pokoju pani.

Gdyby Koloman miał być czas obejrzeć się po wnętrzu tego pokoju, byłby go uderzył i zadziwił więcej jeszcze panujący w nim wytworny

przepych; z innej wszakże strony oczekiwało go większe jeszcze zdziwienie.

Przed nim, zamiast owej szanownej poważnej matrony o której mu Berti, jako o „swojej starej,” wspominał, stała kobieta lat dziewiętnastu.

Piękna, dumna, zdobywcza postać.

Promieniała ona wedle owoczesnej mody w sukni ściśle przystającej do ciała, która uwidoczniła cudnie piękne kształty, a której dolny rąbek odsłaniał aż po kostkę małą nóżkę. Smukłe, gibkie ciało w stanie ujęte było szeroką wstęgą, spiętą na wielką emaliowaną klamrę; sute fałdy zwierzchniej sukni odsłaniały swobodnie okrągłe ramiona i alabastrowo białe łono. A cóż powiedzieć o uroczem obliczu, z delikatnym owym puszkiem młodości? Usta jej były nieco szerokie, z lekko wzniesionymi w górę kącikami; ale i ta nieregularność linii nawet czyniła ją porywającą, zwłaszcza gdy przy uśmiechu wystąpiły na twarzy dwa dołeczki; bujne jej kasztanowate włosy, podczesane w górę i przytwierdzone grzebieniem, podnosiły jeszcze urok kolorytu twarzy. Obejmowała je dokoła cieniutka złota opaska, spięta ponad czołem brylantową gwiazdą.

Ale czemże była gwiazda z brylantów w pobliżu tej oczów pary!

Kto raz w te oczy popatrzy, ten się z nich dowie czemu to biblia mówi o „grzesznych oczach!”

Na pierwsze spojrzenie pięknych tych, grzesznych oczu dowiedział się Koloman odrazu, że jest — mężczyzną.

O, ten szalony figlarz tam w brudnym dworze liczył wiele może na pomieszanie, w które młodego studenta wprowadzić musi zajrzenie w takie oczy; ale się przerachował.

Koloman nie był tem słabem dzieckiem, które wobec królowej myśli tylko o tem, że jest źle ubranem.

Koloman czuł, że w sercu jego budzi się nowe jakieś, nieznane mu uczucie. To jedno wszakże spostrzegł również, że jest w fałszywym położeniu.

— Przybywam od męża pani.

Spieszno mu było spełnić swoją misję.

— Od mego męża? — spytała pani tonem napół zdziwienia, napół śmiechu i zmierzyla młodzieńca ciekawym wzrokiem.

— Przyniosłem łaskawej pani list od niego.

— Mnie? Cóż on mnie pisać może?

— O ile wiem, pisze w mojej sprawie, za co już z góry proszę o przebaczenie.

Koloman oddał pięknej pani list przyniesiony.

Ta rozerwała go spiesznie i twarz jej poczęła nagle oblewać się zwiastującym burzę rumieńcem gniewu.

Pani czytała list, młodzieniec czytał w jej twarzy; teraz i on już wiedział co było w liście. Kolej zarumienienia się przysłała na niego.

Kiedy pani przeczytała list cały, iskrzącymi oczyma spojrzała na oddawcę. Ale błysk gniewu złagodniał w ciemnych tych oczach, kiedy zobaczyła przed sobą zarumienionego młodzieńca, ze spuszczoneym wzrokiem.

Młodzieniec, który rumieni się i spuszcza oczy przed spojrzeniem pięknej kobiety!

Kiedy Koloman znów spoglądał w górę, nie zobaczył już na twarzy damy gniewu, ani w jej oczach urazy; były to napowrót też same piękne, grzeszne oczy, przed którymi blednie gwiazda i drży z roskoszy, zwłaszcza też gdy siedliskiem tej gwiazdy jest serce.

— Dobrze — mówiła pani, list składając. — Proszę, siadaj pan...

I mówiąc to, sama zajęła miejsce na sofie. Koloman usiadł naprzeciw niej w fotelu.

— Mój mąż poleca mi pana w tym liście jako uzdolnionego młodzieńca i prosi abym się zaopiekowała panem. Czy nie czytał pan tego listu?

— Nie.

— Ha, ha! To szczególne! Nie mogę odgadnąć w jaki sposób ja mogłabym coś dla pana uczynić?

— I ja również nie wiem.

— Musiałeś sobie pan przecież coś myśleć, kiedy przyjmowałeś to polecenie mego męża.

— Myślałem, łaskawa pani, że liczne a szacowne stosunki towarzyskie pozwolą pani przedstawić na jakieś stanowisko człowieka, który chce pracować.

Ukrył już, że chciał ją prosić o miejsce prywatnego jej sekretarza.

— Przypuścimy miejsce prywatnego sekretarza? — mówiła pani.

Młodzieniec skinął w milczeniu głową.

— A czy przyjąłbyś pan takie miejsce pod jakimibądź warunkami?

Na to już nie dał żadnej odpowiedzi.

Ona podeszła do biurka, siadła plecami do Kolomana zwrócona i poczęła list jakiś pisać.

Pisząc, często od listu odrywała oczy i Koloman zauważył w wiszącym naprost zwierciadle, że wzrok pięknej pani spoczywa na jego twarzy.

Wreszcie list był ukończony, dama włożyła go wraz z otrzymanym od męża w jedną kopertę i zamknęła drobną nalepioną pieczętką.

— Masz pan, weź! — przemówiła do Kolomana. — Adwokat mój powie panu, co mu uczynić dalej należy.

Pieczętka źle zamykała list i odlepiła się zaraz od niego. Koloman przycisnął ją palcem do papieru, aby się przylepiła lepiej. Gdyby chciał, byłby mógł list przeczytać. Może nawet

dlatego był tak niedbale zalepiony, aby go mógł przeczytać.

Spieszył się usunąć z światłokręgu tych pięknych oczu.

— Do widzenia! — wymówiła pani i podała mu przyjacielsko rękę, widząc że odchodzi.

Ten elektryczny, ten dziwnie ciepły uścisk dłoni powiedział młodzieńcowi więcej, niż się dowiedzieć można z zapisanych wierszy. Piękna pani istotnie dobrze mu życzy.

Przez chwilę namyślał się Koloman, czy za tyle życzliwości nie wypadaloby mu ucałować tej dobroczynnej, pięknej, białej rączki; ale powiedział sobie tylko: „Wolę już ucałować rękę babki, która mnie uderzy!“

Kolomana nie zadziwiło to bynajmniej, że na adresie listu, który mu oddała piękna pani, wyczytał nazwisko mecenasa Korczy. Do tegoż samego właśnie otrzymał kolega jego Aleksander list polecający od Berti Csollana. Powiedział on wówczas, że Korcza jest adwokatem jego rodziny, toć naturalne, że jest też i adwokatem jego żony. Potem odczytał imię, zamieszczone złotymi literami na pieczętce listu. Było to imię „Katinka“. Mógł to coprawda wiedzieć wcześniej, gdyby był chciał, bo i na adresie listu, który mu dał Berti Csollan, wypisane było „Katarzyna“.

Tylko, że „Katarzyna“ i „Katinka“ to są dwie całkiem różne już dziś dla niego pojęcia.

Wypadkowo zdarzyło się, że Koloman kiedy pana mecenasa odwiedził, po drodze spotkał Biroczy'ego, który szedł na sądy. Spotkali się we drzwiach i zamienili z sobą tylko słów parę. Aleksander zawiadomił Kolomana, że go mecenas przyjął za dependenta i że mu się ten człowiek podoba; potem wprowadził go do swego pryncypała i pozostawił sam na sam z panem Korczą.

Koloman był cokolwiek zaambarasowany, kiedy oddawał list adwokatowi.

Twarz pana Korczy tak była dziwnie ukształtowaną, że każdy, kto chciał wiedzieć co się w jego głowie dzieje, mógł to jaknajwyraźniej z rysów jego odgadnąć. Był to żywy telegraf.

Kiedy list męża wypadł z listu żony, widocznem było na jego twarzy przerażenie, które łatwo można sobie wyobrazić, gdy się powie adwokatowi, że dwóch bogatych, prowadzących z sobą proces klientów nagle się pojednało... Ale po chwili ułożył twarz swoją w fałdy i wyprostował, rozkładając przed sobą oba listy i strzepując z nich piasek. Jeden naturalnie posypany był zwykłym, podjętym może z ziemi piaskiem, drugi eleganckim, złotym.

Wedle dat list męża był wcześniejszy, ten zatem przeczytał pierwiej.

Wykrzywił srodze w bok usta, jak gdyby mu się strasznie nie podobała ta historia, a po każdym odczytanym wierszu odrywał oczy i spoglądał na stojącego przed nim młodzieńca, mierząc go od stóp do głowy oczyma i przymykając jedno oko, jak to czynią znawcy i lubownicy sztuki, kiedy chcą ocenić perspektywę obrazu. Raz powiódł nawet palcem po nosie, jak by nie mógł powstrzymać śmiechu; potem znów wsunął głowę między ramiona po sam wierzch oczu, jak gdyby chciał się ukryć po za własnymi plecami. A kiedy wreszcie doczytał do końca, potrząsł silnie głową i wargą dolną zacisnął wierzchnią w zamyśleniu. Zdawało się, że rozmyśla co z tego wyniknie. Potem wziął list pani i gdy go czytać począł, wyciągnął bezwładnie wszystkie dziesięć palców. Teraz już obie wargi wciągnął między zęby, oczy jego rozwarły się o ile zdołały szeroko, a wreszcie, skoro czytanie ukończył, wydał jak szaniec ściągnięte wargi aż po samą wysokość nosa. Po tem wszystkiem mruknął coś przez nos i popatrzył na Kolomana, jak istny satyr...

— No, mój młodzieńcze, ciebie więc przysłano tu do mnie, co? A czemu cię tu przysłano? — mówił drapiąc się po nosie i usta pozostawiwszy otworem, jak gdyby miał już na końcu języka to, co dalej powiedzieć zamierzał.

— Dlaczego mnie przysłano? tego nie wiem; ale poco tu przyszedłem, to wiem.

— Ja ci powiem. Wygrałeś los na loteryi. Pięknej kobiecie potrzebny jest sekretarz. Mąż przysłał jej go, a żona przyjmuje poleconego i przysłała go do swego adwokata, aby się z nim porozumiał co do pensyi. Musisz do tego urzędu mieć ładne uzdolnienie, he?

— Niewiem nic o tem, mój panie — odpowiedział Koloman i na ten raz już nie zaru-mienił się, ale pobladł. — Nie poto przyszedłem ja tu do pana. — Spotkało mnie coś bardzo nieprzyjemnego, wskutek czego zmuszony byłem opuścić szkołę. Własna to moja wina, nic nie upiększam. Podobny los trafił jednego z moich przyjaciół, a może i w tem moja jest wina. Ten przyjaciel obecnie u pana jest dependentem.

— Ah, Biroczy! A więc wyście koledzy?

— Byliśmy nimi, dopóki nas z kolegium nie wygnano. Ja więcej się uczyłem od niego, ale on mimo to umiał zawsze więcej odemnie. On znał życie. Od niego dowiedziałem się, że nieszczęście nasze nie jest nienaprawionem. Wykluczono nas z kolegium; ale możemy na drodze prywatnej jeszcze ukończyć przerwane studia prawne i wykład profesorów zastąpić rokiem praktyki, by tym sposobem przygotować się do złożenia egzaminu. Tegom się od niego nauczył i pójdę za jego wskazówką. Dlatego to

przyszedłem do pana, aby go prosić o łaskawe przyjęcie mnie na dependenta, skoro rok Biroczy'ego się skończy.

— Ho, ho, koleżko, do mnie chcesz wstąpić, na patuarystę? A czy ty wiesz, że to wcale nie wesołe zabicie czasu? Mój patuarysta nie może z balu na bal latać, nie może od rana do wieczora grać w bilard, nie może szczuć zająców i strzelać kaczek, ani biegać za spódnicami, tylko musi bazgrać, gryść pióro! A potem moje usposobienie jest nieznośne. Ja, kiedy panicz w najlepsze chce się właśnie bawić, zaprzęgam go do największej pracy, a kiedy się wystroi, w największe posyłam go błoto; ja na śmierć zazłoszczam młodych paniczów i każę im drwa rąbać, kiedy się nudzą.

— Wiem to wszystko — odparł Koloman z łagodnym uśmiechem. — Żarty pana adwokata słyną daleko po kraju; ale i to niemniej znanem jest powszechnie, że z ręki pana mecenasa najlepsi adwokaci wychodzą, że tu najwięcej można się nauczyć. Przyjdę skoro mnie pan przyjąć zechcesz.

— Ah?! I nie chcesz u pięknej kobiety przyjąć miejsca prywatnego sekretarza? Niechże i tak będzie. Nie powiem ci nic. A teraz co myślisz zrobić?

— Naprzód udam się do domu, do mojej babki i postaram się ją przejednać.

Ciężko to będzie, bo to bardzo surowa kobieta.

— Nie troszcz się, znam tę staruszkę. Ja miałbym kogo nie znać na Węgrzech, który kiedykolwiek miał proces w królewskim trybunale?! A stara pani Jenöi wiele w nim miała procesów. I ona zna mnie bardzo dobrze. Czeka, niech napiszę parę wierszy do twojej babki. Nie lękaj się. Ja nie jestem Berti Csollan. Napiszę jej coś takiego, co ją przejedna... A więc nie przyjmujesz tego co ci ofiarują? Nie?... To szczególne, to bardzo szczególne; ale to dobrze... A więc wracaj tu po roku. Ale aż do tej chwili ucz się wiele. Przedewszystkiem zaś ćwicz się w znoszeniu głodu, bo u mnie patuarysta ma bardzo nędzne życie.

Uścisk dłoni, który towarzyszył tym słowom, oddał Koloman serdecznie.

— Mam coś do uporządkowania jeszcze — rzekł. Ten waryat, mój przyjaciel Sandor, kiedyśmy po raz ostatni spali razem, włożył mi w kieszeń podczas snu bez wiedzy mej pieniądze, które rozdzielił między nas wszystkich. Te pieniądze odniosłem mu. Dotąd nie wydałem z nich ani grosza, miałem bowiem swoje, o czym on nie wiedział, a za dzień jeden będę już w domu. Proszę pana, abys zechciał łaskawie mu je oddać; nie teraz wszakże, nie tak, aby

się domyślił, że mu je odniósł; wzięłby to za niegrzeczność z mojej strony.

— Aha! rozumiem. Będę mu jeszcze potrosze dawał, skoro koło „fratra“ będzie kuso. Ale przyznaj że mi się, dlaczego właściwie pozostawiasz u mnie te pieniądze?

Koloman zawahał się z odpowiedzią.

— Mamże odgadnąć? To pewnie z owych pieniędzy, które ten arcyłotr Berti Csollan przegrał do niego w karty.

— Tak, rzeczywiście.

— A ty, mój młody paniczku, nie miałeś nigdy jeszcze w kieszeni pieniędzy wygranych w karty i nie chcesz takich przyjąć? Ciekawy egzemplarz! Ależ ciekawy!

Adwokat mruczał i mruczał długo jeszcze, poco to takie cudaki na świat przychodzą, ale w końcu uderzył po ramieniu Kolomana.

— No, to idźże teraz do domu, do twojej babki, mój chłopcze; skoro przybędziesz, list mój będzie tam już przed tobą. A potem, za rok, bardzo chętnie zobaczę cię u siebie, jeśli oczywiście obaj będziemy żyli. Ja żyć będę, to wiem, bo ja stu lat chyba doczekam; ale ta krew młoda łatwo marnieje; jeden taniec, jedno spadnięcie z konia, jeden pojedynek lub miłosna awantura — i już po wszystkim. A więc strzeż się, strzeż! Ale prawdziwie radbym wiedzieć, co też z czasem zrobi się z takiego dziwaka,

co jednego dnia po dwakroć odrzuca względy „sercowej damy...”

Ostatnią tę uwagę wyraził pan Korcza wtedy dopiero, kiedy Koloman był między podwójnymi drzwiami, a i później jeszcze coś sobie mruzczał pod nosem i włożywszy napoprzek w usta pióro, które miał za uchem, chodził tam i napowrót po pokoju wreszcie wziął w jedną rękę jeden, w drugą drugi list i długą miał naradę z trzymanem w zębach piórem.

— Teraz jednym listem mógłbym zabić jedną stronę a drugim listem drugą... Któraż mam zabić?...

UKOCHANY DOM RODZINNY.

Młody chłopcze, co czytasz te słowa, wierzaj mi, że nigdy już nie będziesz tak wielkim panem, jak teraz, kiedy po chwalebnem ukończeniu ostatniego szkolnego roku, powracasz w progi rodzinne.

W domu oczekują na ciebie wszyscy, jak na monarchę.

W kłopotach i trudach całorocznych, tyś nie brał najmniejszego udziału, ty przybywasz tylko na żniwa. Winna latorośl, owocowe drzewo obciążone błogosławieństwem nieba, czekają na ciebie, na ciebie, coś ich nie sadił.

Twoi bracia, siostry, młodsi od ciebie, u bramy oczekują na twe przybycie, ściskają cię, całują, wieszają się na twej szyi, czepiają rąk; ojciec i matka przyciskają cię ze łzami do piersi. A przecież tyś im nie przywiózł nic, prócz siebie!

Ale jakimż-bo ty jesteś skarbem w domu!

Podziwiają cię wszyscy: jakżeś urósł! Już

i broda poczyna okrywać się puszkiem; to ty już jesteś teraz mężczyzną, kompletnym mężczyzną!

Cały dom do ciebie należy.

Codziennie na obiad podają najulubieńsze twe potrawy. Jeszcze nie zapomniano twoich gustów.

O twoje suknie, twą bieliznę inni się troszczą; każdy chciałby, żebyś wyglądał jak najpiękniej.

Ojciec rozmawia z tobą poważnie, jak z jakim dostojnikiem, i obdarza cię swym herbowym pierścieniem, boś już godzien teraz, by ci powierzono ten klejnot rodzinny; matka płacze z radości, ilekroć na ciebie spojrzy, a uśmiech świeci jej przez łzy; rodzeństwo wpatruje się w ciebie z zachwytem.

Służący, który przed twym odjazdem nazywał cię jeszcze po imieniu, teraz tytułuje cię „paniczem“.

Pies, kot, biegną za tobą, ocierają się o ciebie, łaszą się i liżą twą rękę.

Cały dzień, wszystko co żyje, ubiega się o twoje względy, wszyscy patrzą ci w oczy i radziby odgadnąć twe życzenia; ledwie co pomyslałeś, w lot spełnionem zostaje.

Kiedy chcesz iść spać, zdejmują ci buty, a potem wszystko w całym domu ohodzi na palcach, nikomu nie wolno i mruknać, póki ty

śpisz, aż wreszcie dopiero woń kawy, dochodząca z drugiego pokoju, cię przebudza.

I tak to bywa co dnia...

Do ciebie należy dom cały. Co? dom? Do ciebie całe miasto należy!

Kiedy wyjdiesz na ulicę, na twem ramieniu wspierają się członkowie twojej rodziny. Mijający kłaniają się wam przyjaźnie i zazdroszczą. Tu i owdzie ukradkiem otwiera się okno i świeżuteńki buziak dziewczęcy zerka na ciebie z poza doniczek kwiatów. Poważni ludzie, idący po drugiej stronie ulicy, wołają: „dzień dobry!“ Dawniejsi twoi profesorowie spotykają cię i po godzinnej z tobą rozmowie, zdumiewają się, żeś od tego czasu tyle nagromadził uczoności. Ty zaś spoglądasz z góry na starych biedaków i sądzisz, żeś ich gdzieś daleko poza sobą zostawił.

A dopieroż róże życia, dziewczęta! Wszystkim dozwolonem jest kochać się w tobie; każdy dom, gdzie są panny, zaprasza cię na wyścigi, a te, co przed laty były towarzyszkami twych zabaw dziecięcych, dziś rumienia się na twój widok. Bez ciebie nie może się obyć żadna zabawa, jesteś przypuszczalnym synem każdej matrony, możliwym narzeczonym każdej panny; w kotylionie tańczysz do białego rana. Rozchorowałaś się... wszyscy lekarze z całego miasta zbiegają się, aby cię wyleczyć z chrypki; wy-

chodzisz znów na ulicę, to wszyscy cieszą się, że cię widzą zdrowym. Proboszcz każe ci powiedzieć, że w poniedziałek w kościele razem z całą gminą modlił się za twoje wyzdrowienie. Ty znów uczęszczasz po dawnemu na zabawy, tylko już teraz upominają cię ozule wszystkie twe piękne tancerki, żebyś się za bardzo nie męczył; ale mimo tego napomnienia tańczysz z niemi zawzięcie. Starzy kawalerowie aż żółkną z zazdrości, patrząc na twoje podboje, młodzi cię ubóstwiają. Powiesz dowcip... każdy śmieje się z niego. Tylko ten jeden nie, którego kosztem się bawia. Ten oczywiście jest obrażony i trzeba się z nim pojedynkować; z pojedynku tego obydwaj odnosicie rany. Ty kładziesz się w łóżko; pielęgnują cię, jedna wizyta ustępuje drugiej; każda z dam przysyła dowiedzieć się o twoje zdrowie. Trzeciego dnia wstajesz. Nosisz ramię na czarnym jedwabnym temblaku i tak wychodzisz na ulicę. Każdy ci winszuje i ściska twą lewicę, bo prawicy dotknąć nie można. Ale przeciwnik twój wciąż leży jeszcze w łóżku. No, ten dostał przynajmniej! Może się lizać długo! Tyś bohaterem całego miasta. Każdy uwielbia cię, kocha, podziwia!

I nikt nie żąda jeszcze niczego od ciebie!

Młody chłopcze, nacieszże się tymi dniami, bo takim wielkim panem zaprawdę nie będziesz już nigdy w życiu!

Wszystko to wszakże wypada całkiem odwrotnie, skoro powracasz do domu dlatego, że cię ze szkoły wygnano.

Ha! rzecz naturalna, że wówczas wcale inaczej wygląda twoje z rodzicielskim domem spotkanie.

Na ustach każdego zamiera słowo z przerażenia, gdy wstępujesz pod dach rodzinny. Z ponurej twarzycy wyczytują co cię sprowadza. Dawać mi tu rzemienia, albo trzciny! — woła ojciec. Matka zalewa się łzami i załamuje ręce.

Nie wiesz, w jaki kąt domu się schować, a mimo to każdy na ciebie krzywo patrzy. Suknie rozłożą się na tobie, koszulę masz brudną; nikt o to nie pyta, a ty sam nie śmiesz o to prosić nikogo.

Ilekroć ojciec odezwie się do ciebie, nie mówi inaczej jak: „ośle“. Przydomek to twój teraz, twoje imię. Każdy mówi ci *ty*, i to „*ty*“ umie wymówić z pogardą. Nikt cię nie woła do stołu, wsuwasz się ze spuszczonei oczyma do pokoju i karmisz się goryczą, jeśli której potrawy zabraknie dla ciebie. Boś ty u stołu ostatni, bierzesz dopiero z półmiska po najmłodszym bracie.

Pytają cię, czy chcesz zostać szewcem, czy ślusarzem?

Gdziekolwiek-bądźbyś stanął, zawsze komuś stoisz na drodze, komuś zawadzasz. Nie powie-

rzają ci nawet funkcyi zmieniania talerzy: mógłbyś je potłuc.

Jeśli zakaszlesz, jeśliś chory — i to twoja wina. „Złego liho nie weźmie“ — to jest dyagnozą i zarazem lekarstwem dla ciebie, od tego powinienes wyzdrowieć.

Na ulicy przesuwasz się pod ścianami, a jeśli zdala zobaczysz znajomego, wymijasz go coperędzej; i tak nie odwzajemniłby ci ukłonu. Ładne dziewczęta, rówieśnice i towarzyszki twoich zabaw dziecięcych ani cię widzą, skoro przechodzą obok ciebie; nie śmiesz nawet zbliżyć się poufale do ich służących, bo się boisz, że czeładnik od szewca, który poprzednio do nich się zalecał, przyłapie cię i wygarbuje jak należy.

Pies nawet na ciebie szczeka. I on nawet wie, że cię wypędzono ze zżkoły.

.
.

W wielce podobnym do ostatniego nastroju ducha zbliżał się Jönoi do rodzinnego domu.

Stary ten dom stał w małym miasteczku, nie będącem bynajmniej handlową miejscowością, ale raczej wielką wsią, zajmującą się przede wszystkim rolnictwem: nazwijmy ją K... Mamy tyle miast, których nazwa zaczyna się na tę literę.

Dom rodzinny Jenöi jest długim parterowym

budynkiem, z dwoma w dziedziniec zwróconemi oficynami, w których zamieszkuje służba.

Stara pani Jenöi jest wielce ruchliwą i czynną gospodynią, jakkolwiek przeszła już sześćdziesiątkę; włos jej poczyna już bieleć, ale policzki kwitną dziś jeszcze czerstwym rumieńcem. Nigdy przy żadnej słabości nie przyzywała doktora, ani potrzebowała lekarstw.

Natura to niemal męska. Nieboszczyka męża już trzymała tak krótko, że wszystko od niej tylko dostawać był zmuszony, a wydzielała mu po kilka krajcarów za ledwie, kiedy wychodził z domu. Po śmierci zaś jego objęła wdowa całe gospodarstwo i prowadziła je sama, i gospodarstwo i procesa; była postrachem każdego leniwego sługi, każdego adwokata przewłóczącego sprawy.

Miała ona dwóch synów; jeden Wawrzyniec, na życzenie matki oddany został do wojska i tam wyszedł na ludzi; ożenił się za granicą; i poległ też za granicą; żona jego zmarła wkrótce po nim; dzieckiem ich był Koloman.

Drugim synem pani Jenöi był Benjamin, albo, jak go wszyscy zwali, kuzynek Beni.

Najdobroduszniesze to w świecie stworzenie, jedno z tych, co przez życie całe nikomu nie zamącą wody.

Aby swemu macierzyńskiemu sercu wynagrodzić brak starszego syna, którego widywała

tak rzadko, zatrzymała pani Jenöi młodszego całkowicie w domu, gdzie wychowywał się pod macierzyńskimi jej skrzydły. Dziś doszedł już Beni lat 47-mu, a nie był ani razu za obrębem miasta bez matki i dziś jeszcze powtarzał wieczorne pacierze, jak się ich wyuczył za lat dziecięcych.

Kuzynek Beni ma strasznie twardą głowę. Aż po dziesiąty rok życia nie pozwalała matka, aby zajmowanie się literami stawało na przeszkodzie jego fizycznemu rozwojowi, choć co-prawda i z tym wzrostem nie bardzo szło raźnie. Następnie wzięto do domu guwenera, który z niemałym trudem zdołał wytłomaczyć mu wreszcie, jaka zachodzi różnica między literą *A*, a *B*. Sporo czasu również potrzeba było na to, aby mu wbić w głowę: że kiedy człowiek weźmie między trzy palce pióro gęsie i jeden jego koniec umacza w czarnej cieczy, a następnie prowadzi nim to w dół, to w górę, po białym papierze, może z tej manipulacji wyniknąć coś, z czego inny człowiek odgadnie, że to nie są ślady kociej wędrówki po tym papierze. Co więcej, kiedy już chłopak był sporym wyrostkiem, udało się wreszcie guwenerowi skłonić miejscowego rektora szkoły, aby wyegzaminował jego ucznia. Dostojnik przyszedł i aby gruntownie wy badać panicza z algebry, przedłożył mu następujący problemat: „Ile razy jeden mieści się

w dwóch?“ na co pan Beni zrobił strasznie głupią minę. „No, a ileż ty masz nóg?“ — przyszedł mu pocziwy rektor w pomoc innem pytaniem. „Dwie!“ — odpowiedział rozradowany swą domyślnością Beni. „A ileż nóg ja mam?“ — mędrkował dalej rektor. „Cztery!“ Pan rektor po tej próbie nie był już ciekawym dowiedzieć się więcej od egzaminowanego, zjadł tylko wystawny obiadek, na który go zaproszono, schował coś brzęczącego na odchodnem do kieszeni i wydał naszemu lubemu Benjaminkowi świadectwo uzdolnienia do pierwszej klasy.

Odtąd miał zawsze wybornych korepetytorów i brał mnóstwo prywatnych lekcyj. Przysposobiano go znamienicie. Acz nie uczęszczał prawie do szkoły, z roku na rok przechodził klasy, na mocy świadectw profesorskich, będących wynikiem egzaminu. Deputacyę egzaminacyjną oczekiwał w tym dniu zawsze obiad wspaniały i sute honorarium, a kuzynek Beni odnosił nieodmienne świadectwo z celującym stopniem. Złożył nawet pono adwokacki egzamin, a jeśli można dać wiarę oszczercom, zdarzyó mu się miało, że kiedy królewska komisya spytała go, co wie o „*Nota Rakocziana*“, odpowiedział: „Tekstu nie umiem dobrze, ale mogę zagwizdać, jeśli panowie pozwolicie“. — „To proszę zagwizdać“. — I otrzymał stopień „dostateczny“.

Matka była z nim podówczas w Peszcie, bo gdyby nie to, pewnie do adwokackiego egzaminu byłby szablę przypasał z prawego boku.

Po otrzymanym dyplomie opakowała zacna matrona synka swego napowrót we flanelę i zawiozła go do domu, pełna obawy, aby jej w drodze nie przemarzł.

Kiedy zaś raz już był dyplom, wyrobiła matka u żupana, by jej Benjaminka zamianowano asesorem. Tym sposobem wyszedł na człowieka. I odtąd nie było nikogo gorliwiej uczęszczającego na posiedzenia i kongregacye, jak kuzynek Beni, którego dziecięca przejmowała radość, gdy przy tej sposobności przypasawszy srebrną szablę swego pradziada, mógł w tym stroju wyjść na ulicę. U zielonego stołu posiedzeń wszakże miał w pamięci zawsze przysłowie o „złotem milczeniu“.

Zacna staruszka przekonała się, do jakich rezultatów doprowadził jej młodszego syna system pieszczochowstwa, ale na to nie było już rady. Czuli, że to jej wina. Przyuczała go tak do tego, że nic nie zrobił, czego nie kazała lub nie pozwoliła zrobić matka, że wygasła w nim wszelka myśl samoistna do tego stopnia, iż najprostszej rzeczy, jak napisanie do kogoś listu, nie umiał dokonać, jeśli mu nie dyktowano.

Błąd ten chciała pani Jenöi naprawić na swoim wnuku. Wychowanie jego pokierowaniem

zostało wedle wprost odwrotnego systemu. Kolan ten w charakterze miał wiele samodzielności, a nawet upor. W nim przeważała krew babki. Nie cierpiał, gdy mu mówiono, co ma robić; wszystko, co do niego należało, robił sam z siebie, nie czekając, aż mu przypomną powinność. Jeśli wszakże do czego nie miał ochoty, tego nie nauczył się pewnie, choćby mu po całych dniach powtarzano, że jest „osłem“. Chłopca tego ohowała babka tak, aby nawykł do życia. Posłała go do Debreczyna do kolegium; tam niech chodzi razem ze wszystkimi biedakami, niech tam pozna, co to życie studenckie. Niech się nauczy, jak trzeba się obchodzić z ludźmi, jak w pocie czoła zarabiać na kawałek chleba. Niech pieszo kraj przejdzie i pozna, jak można się wyrębać z najcięższego nawet położenia. Pieniędzy dawała mu tyle tylko, ile wymagała nieodzowna potrzeba. Powtarzała mu, że nie dostanie nic, póki ona żyje, a ona pożyje długo! Niech więc na śmierć jej nie rachuje i sam stara się wybić w świecie. Dopiero skoro zostanie człowiekiem i zajmie w społeczeństwie stanowisko, odziedziczy majątek babki i wówczas naprawdę zostanie wielkim panem. Pierwej wszakże niech się sam przez świat przeciska.

A nie był to wcale zły system. Niemało dzielnych ludzi przysporzyła światu ta droga.

Gdyby tylko nieszczęsny przypadek w szkole nie pomieszał był temu wychowaniu szyków!...

Kuzynek Beni palił właśnie na ganku przed domem fajkę, wyciągnięty na drewnianej ławeczce, bo mama nie znosi dymu w pokoju. Kto chce palić, temu „przestroniej na dworze“.

Postać Benjaminka nie należy do wyniosłych, nogi zwłaszcza są dziwnie krótkie. Czego mu wszakże we wzroście odmówiła przyroda, to wynagrodziła szczerze w objętości głowy. Głowa ta była wielka, długa i szeroka. Co się tyczy obszaru, to na moc wiedzy było w niej miejsce. Wielkie wyłysiałe czoło ciągnie się niemal do karku, ale latem i zimą ma schron bezpieczny pod ciepłą watowaną czapką, która mu nigdy nie schodzi z głowy, z tą tylko różnicą, że w pokoju, przez szacunek dla kochanej mamy lub gości, nasadza ją daszkiem w tył zwróconym. Wygląda na daleko starszego niż jest rzeczywistoście; oczy ma małe, wpół zamknięte, nos poczyną mu rosnać, przyrządy słuchowe odstają daleko od głowy, a wieczystemu uśmiechowi ust szerokich dopomagają istnie szczupacze wąsy.

Kiedy więc nasz kuzynek Beni w najlepsze rozkoszował się paleniem, nie mając innego na głowie kłopotu nad ten, że jutro świeżego trzeba będzie naciąć tytoniu, będący w kapciuchu bowiem jest już na schyłku, nagle spostrzegł zbli-

żającą się ku niemu postać, postać, która jakoś dziwnie wydawała mu się znajomą.

Synowiec jego Koloman zbliżył się ku niemu.

Prawda, że z powodu długiej, nużącej pieszej wędrówki był zdrożony, zmizerowany nieco, a przytem i twarz jego uległa niejakiej zmianie; mimo to przecież poznał go Beni i uśmiechnął się z upodobaniem; podniósł się nawet z ławeczki i podążył naprzód kilka kroków, wyjął z ust fajkę i uszczęśliwił go wonnym tytuniowym pocałunkiem z dubeltówki.

— Jak się miewasz? witaj, — kochany synowcze! Więc to znów święta?

Kuzynek Beni wyobraził sobie, że papież, gwoli dogodzenia jemu, wstawił w kalendarz jakie nowe, wielkie święto. A domysł ten radował go z tego powodu, że matka niedawno kazała mu zrobić nowy tużurek, z przyrzeczeniem, że go przywdzieje w najbliższe święto.

— Ani myśleć o żadnych świętach, kochany stryju — odezwał się Koloman, — przyszedłem do domu, bo mnie wypędzono z kolegium.

Kuzynek Beni przeląkł się okropnie, twarz jego wykrzywiała się naprzemian to śmiechem, to powagą.

— A! Nie strójże żartów! Słuchaj, to przecie nie prawda?

— Ale najprawdziwsza prawda, kochany kuzynku Beni, boć inaczej teraz nie byłbym w domu.

— No, w takim razie to rzecz okropna! Jakże to jednak się stało?

— To ci innym razem już opowiem. Teraz proszę tylko o to, kochany kuzynku Beni, żebyś poszedł do babki i przysposobił ją na to fatum, które mnie dotknęło, tak, abym mógł stanąć przed nią...

Beniemu rozwarły się usta tak szeroko, że podbródek leżał aż na piersi.

— Ja — ja mam iść do babki i mam ją zawiadomić o tym przypadku? Zaraz, zaraz, kochany synowcze, tylko na chwilę zejść muszę jeszcze.

Ale zszedł tak dobrze, że upłynęła godzina, a jego widać nie było; ukrył się w szopie, gdzie dziewczki len czesały, i oddał się gruntownym studjom nad przyczyną tego zjawiska, że Magda, owinąwszy sobie len koło ręki, ani razu nie zadraśnie jej sobie ostrymi zębami grzebienia.

Wtem otwarły się nagle drzwi kuchni i Kolomanowi rzucił się ktoś na szyję, wyściskał go i wycałował. Była to szesnastoletnia dziewczeczka, świeżutkie, wesoluchne stworzenie, z płomieniami oczyma i czarnymi włosami — samo życie.

— A więc ty tu jesteś? — spytał szalony dzieciak, biorąc w obie ręce twarz Kolomana, aby jej lepiej módz się przypatrzeć.

Koloman odwzajemnił pocałunki dziewczęcia. W poufałości ich było coś braterskiego.

— Ja tu nie przybyłem z kaprysu — szeptał. — Wydalono mnie z kolegium.

Dzieweczka obejrzała się błękitnymi swemi oczyma dokoła, czy ich kto nie podsłuchuje.

— Pst! — położyła paluszek na ustach i wciągnęła Kolomana do kuchni. Tam prócz nich nie było nikogo. Stamtąd wepchnęła go do małego bocznego pokoiku, a i tu zamknęła drzwi starannie i wciąż szeptała tylko:

— Ja to pierwaj powiem babce, a tymczasem musisz tu pozostać.

Babka młodzieńca jest babką cioteczną dziewczyny. Cilli (Cecylia) jest sierotą; pani Jenöi wzięła ją od dalekich krewnych do siebie. Jest ona ulubienicą staruszki.

— Ja z nią pierwaj pomówię.

— Ale cóż jej powiesz?

— Niezawodnie spotkało cię to za błędy innych. Ja to wiem dobrze.

— W takim razie nie powiesz prawdy. Pokutuję za własną winę.

— Gdzież jest świadectwo, w którym napisano, za co cię wypędzono. Tam przecież musi być przytoczonym powód.

— Masz je, czytaj.

Dziewczę odczytało z rozumną minką dokument wykluczający z kolegium jej kuzyna. Na

chwilę nawet przyłożyła z wielkiego namysłu paluszek do czoła.

— A więc widzisz, już wiem, co jej powiem. Nic innego jak prawdę; to, co tu jest napisane. Zobacysz, że wszystko pójdzie jak najlepiej. Teraz jednak czekaj tu, póki nie powrócę.

— Jaka też z ciebie dobra, kochana dziewczyna, Cilli.

— To mnie ucałuj pięknie.

I dziewczeczka wybiegła z pokoiku i pocichutku, ostrożnie otworzyła drzwi, które z kuchni prowadziły do pokoju babki.

Pani Jenöi robiła właśnie przegląd swej garderoby.

O, tylko nie sądzicie, że obmyślała jaką toaletę; miała tylko upodobanie w tem przez ciąg całego życia nagromadzonem muzeum.

Bo garderoba jej istnem jest muzeum. Są tam mody stare, które panowały przed pięćdziesięciu laty; potem wszystkie te, co po nich nastąpiły; począwszy od pierwszego przebudzenia się życia narodowego, aż do ostatecznego jego uspienia. Bo w życiu ludów są epoki, o których mówią coś stroje, a te na jedwabiu spisane kroniki u niej są wszystkie rozklasyfikowane. Tych złotych niemi haftowanych w kwiaty, zdobnych w szlaki sukien wszelkiego rodzaju, tych spódnic ze złotogłowiu, koronek, staników zbrojnych w cały arsenał fiszbinów — nikt dziś już nie nosi.

Dalej są tam pełne szuflady najdroższej, cieniutkiej bielizny, z własnego lnu w domu tkanej; wspaniałe adamaszkowe obrusy, grube jak skóra, niespożyte, a przecież jak jedwab gładkie; delikatne tkaniny, jakich nigdy nie dostaniesz w składach. A zbiór ten wzrasta rokrocznie i nie zmniejsza się nigdy. Sześć panien miałoby tego dosyć na wyprawę! Połowę tego wszystkiego ma z czasem Cilli otrzymać, drugą żona Kolumana, skoro się kiedy ożeni.

Staruszka w tem się lubuje. Wyciąga, układa w stosy, przekłada coraz inaczej. Ileż to razy porządkując swoje muzeum, tłómaczyła Cecylce, jakim to wówczas był świat, kiedy te suknie noszono. To nie takie strzępy, jak te dzisiejsze.

— Bo jeśli suknia ma być, to niechże będzie suknią. Toć ona nie na to jest, aby ciało ukazywać, ale na to, aby je okrywać. Dawne sznurówki przystawały do ciała jak pancerze. A każda fałda spódnicy odstawała od niego, jakby mówiła: nie dotykaj mnie! Bez fartucha nie nosiło się żadnej sukni. Nawet królowa przywdziewa fartuch, gdy się ubiera po węgiersku. Tak przystoi. A cóż to za stroje te obecne! Wszystko tam opięte, wszystko otwarte, a same strzępy. Pstrocizna nędzna! Na jeden bal się to bierze, a nazajutrz rano wędruje wszystko do tandeciarza.

— Poczęści mężczyźni są tego przyczyną —

zauważyła Cilli z głęboką mądrością. — Widzisz, cioteczko, oni przodują w każdej modzie złym przykładem.

— Masz rację — potwierdziła pani Jenöi. — Oni wprowadzają najzgubniejsze mody. Jakież obrzydliwe te nowe ubrania, co to je nazwano *redingote*. Kołnierz włazi na uszy, a obie poły biją człowiekowi o kostki. I patrz, moje dziecko, Beni póty mi nie dał spokoju, póty wieszał mi się na szyi, póki mu nie kazałam zrobić takiego. Wygląda w tem, jakby szedł na maskaradę.

— Ale skoro takie noszą inni — tłumaczyła Cilli i podała babce stos bielizny porozkładanej na stole. — Albo co to naprzykład był za pomysł profesorów, ż by studenci nawet musieli zrzucić dolmany i nosić jakiś strój cudzoziemski: długie, kobiece, fałdzone suknie, a na głowie trójgraniaste kapelusze. Kiedy u nas niedawno był legat, Boże odpuść, mnie zaraz na myśl przyszedł biedny nasz Koloman i doprawdy omal się głośno nie rozplakałam...

— Istotnie był obrzydliwy. Ja też zaraz napisałam Kolomanowi: żebyś mi tego worka nie przywoził z sobą do domu, w którym tak wyglądacie, jakbyście wyszli z jezuickiego nowicyatu. A jego profesorom napisałam, żeby memu Kolomanowi pozwolili wówczas przynajmniej, skoro do miasta wychodzi, nosić ubiór ludzki.

Tu Cilli westchnęła ciężko.

— Ah, mój Boże, kochana cioteczko, jaka to z tego wynikła okropna historia! Teraz właśnie dowiedziałam się, że wielu studentów wydalono z Debreczyna za to, że pozrzucali togi.

— No, czego też to ludzie nie plotą! Zarazby też tam kogo dlatego wypędzano. Z pewnością popełnili jakieś inne przestępstwo.

Ta staruszka jest jednak niebezpiecznym psychologiem.

— Nie, nie, cioteczko! Z pewnością nie wypędzili ich za żaden zły postępek, kiedy pomiędzy nimi jest i nasz Koloman.

— Co? — krzyknęła pani Jenöi i upuściła nagle na ziemię cały stos serwet, który niosła do szafy. — Koloman! Mój wnuk?

— Jest między nimi — mówiła Cilli.

— Kto ci to powiedział?

— Czytałam ich wyrok. Mam go tu nawet przy sobie...

I podała babce wzięty od Kolomana arkusz.

Staruszka, która mimo lat sześćdziesięciu czytała jeszcze bez okularów, przebiegła pismo i twarz jej poszarzała.

— Kto ci to przyniósł?

— Koloman sam.

— Więc on tu jest? A więc to istotnie prawda? Gdzie on, żebyśmy go rozszarpała, rozdarła! Koloman stanął we drzwiach.

— Tu jestem, kochana babko, rozszarp mnie!

Babka rzuciła się namiętnie ku niemu, ale dopadłszy, przyciągnęła konwulsyjnie do piersi, okryła głowę jego, twarz, czoło pocałunkami, łkała, płakała, rzucała niezrozumiałe, bez związku wyrazy.

— Ale cicho! Ktoś puka do drzwi!

Cilli pobiegła zabiedz nadchodzącemu drogę. Ale to był tylko listonosz-Francuz. Przemówił swoim: „*très humble serviteur*“, zażądał dziewięciu krajcarów za przyniesiony list i poszedł dalej, z pożegnaniem: „*je vous souhaite bien le bon jour*“.

— To list do cioci, a przychodzi z Pesztu — odezwiała się Cilli. — Pismo znam. To od adwokata Korczy.

— Dawaj go! — wymówiła pani Jenöi i zerwała list. Oczy jej płonęły jeszcze więcej, gdy go czytała.

— I ten mówi to samo. I on przyznaje ci słusność. Ależ to jest okropne! Toć lepiej ich było odrazu zaszyć w zgrzebne worki, skoro spódnica tak wielkiem jest świadectwem moralności i dobrych obyczajów. Można ich było zamknąć, głodzić, ale nie gubić na całe życie, za takie głupstwo! O! ja im to zapłacę!

— Najukochańsza matko — przerwał Kolcman. — Nie chowaj do naszych sędziów niechęci. Myśmy zawinili bardzo.

— Bądź kontent, żeś wyszedł cało. Ja cię nie pytam, co mam robić...

Cilli wyciągnęła Kolomana co prędzej z pokoju babki i wepchnęła napowrót do bocznego pokoiku; obawiała się, że młodzieniec powodowany wrodzoną sobie prawością, gotów wygadać się niepotrzebnie. Teraz nie powinien się pokazywać, póki pierwsza burza nie przeminie.

Ale też podniosła się burza.

Staruszka wybiegła na ganek i poczęła wołać Benjamina.

— Hej, Beni! Beni! Zaraz mi chodź do domu!

Beni słyszał to wybornie; ale ukrył się tak doskonale w pasiece, że żywego niktby go chyba stamtąd nie zdołał wydostać. Dziewki zaś zaparły się, by go dziś widziały na oczy. Czeladź trzymała zawsze stronę biedaka przeciw pani, w razie jakiejś burzy.

I Beni ani się pokazał. Nasłuchiwał tylko ze swej kryjówki, póki nie ucichło wołanie.

Dopiero gdy zadzwoniono na obiad, wypelznął cichaczem, miał bowiem mocne przekonanie, że skoro nie stawi się do stołu, rzeczywiście bez obiadu pozostać będzie zmuszony.

Kiedy się wsunął do stołowego pokoju, zastał tam już matkę, Kolomana i Cilli. Zupa była rozlana.

Kuzynek Beni, wchodząc, przybrał tak nie-

winną minę, jakby o niczem nie wiedział, jakby przybywał ze wsi sąsiedniej.

— Gdzie ty, u licha, siedzisz, kiedy cię tak szukają?

— Czy to kochana mama mnie szukała? Ja byłem w pasiece.

— Tak, więcś ty nie słyszał, kiedym cię wołała?

— Pszczoły brzęczały bardzo głośno.

— Co? Tyś przez brzęczenie pszczół nie mógł słyszeć mego głosu? Szczególniejsze uszy, warte żeby je w złoto oprawić! Ale niech i tak będzie, siadaj i jedz!

Kuzynek Beni, wedle zwyczaju, zabrał się do odmówienia pacierza przed obiadem. Obie ręce złożywszy i oparłszy na poręczy krzesła, chciał już mówić: „Przybądź, Chryste, bądź naszym gościem, pobłogosław to, czego udzieliła nam Twa łaska!“ Zaledwie jednak spróbował głos podnieść, babka uderzyła ręką w stół gniewnie i krzyknęła:

— Módl się po cichu!

Ależ to rzecz pogańska przerywać człowiekowi modlitwę!

Kuzynek Beni zamknął oczy, bo to konieczne akcesoryum do cichej modlitwy, i tak zadość uczynił pobożnemu zwyczajowi.

Następnie każdy zajął miejsce i pośród ementarnej ciszy poczęli jeść we troje. Babka nie

tknęła żadnej potrawy, skutkiem czego Beni spytał ze skromną miną dziecięcą:

— Mateczka nie je?

— Jestem syta.

Po chwili nie mógł powstrzymać się znów od zapytania:

— Czy mamie co dolega?

— Tak.

Podczas jarzyny usiłował raz jeszcze naprężoną sytuację wyjaśnić.

— Czy mama gniewa się?

— Z pewnością!

— A na kogo mateczka się gniewa?

— Na świat cały.

No, to przynajmniej pociecha niejaka. Tym sposobem na niego spadnie niewielka tylko tego gniewu cząsteczka.

Rzecz to okropna siedzieć u stołu przy kobiecie, która nic nie je i nic nie mówi...

Kuzynek Beni przybrał minę tak zasmuconą.

Ale bo też sytuacja była mocno problematyczną...

Główny winowajca, Koloman, siedzi tam obok niej. Z twarzy jego nie sposób wyczytać jakiegokolwiek zgnębienia. Co więcej, rzecz dziwna, na ostatnie danie wnoszą andruty, ulubioną leguminę Kolomana — dowód, że miłym musi tu być gościem. I Beni ją lubi, a kiedy nałożył sobie czubaty talerz i zjadł je do szczętu, co-

prędzej otarł usta, podziękował wszystkim po kolei, przysunął do stołu krzesło i zamierzał wymknąć się cichaczem.

Nagle przecież odcięto mu linię odwrotową.

— Wy reszta idźcie! — rozkazała babka. — Ty, Beni, pójdź ze mną do kancelaryi.

A! jak też nieprzyjemnie zabrzmiały biedakowi te wyrazy!

Od dzieciństwa nie mógł znosić wstrętnego wyrazu „kancelarya“.

Bo też to coś niepojętego doprawdy, żeby istnieli ludzie, którzy i wówczas jeszcze, kiedy już nie chodzą do szkoły, kiedy dla nich nie jest przeklętym obowiązkiem walenie sobie palców atramentem, mają jeszcze w domu pióra i kałamarze, a ilekroć im co przyjdzie na myśl, zaraz to spisują!

Skoro weszli do tak zwanej „kancelaryi“, przysunęła matka dla swego syna krzesło do stołu, na którym stały przybory do pisania.

— Siadaj i pisz!

Bóg świadkiem, że to zajęcie sprawiało Beniemu bajecznie mało przyjemności.

— Cóż mam pisać, kochana mateczko?

Mówiąc z matką, Beni zwykle szeplenił piieszczotliwie.

— List do wielbnego a wielce uczonego pana Izajasza Jaray w Debreczynie.

— List? — westchnął Beni gorzko; — czy długi?

— Będzie on krótki. Napiszesz wielebnemu tak: skoro wnuka mego Kolomana bez wszelkiego miłosierdzia wygnano z kolegium, w takim razie uważam za słuszne cofnąć moją fundację sześćdziesięciu tysięcy guldenów i zapis ten przenieść na kolegium w Patak.

Na samą myśl o tak śmiałym czynie, dreszcze przeszły po skórze Benjamina.

To też ośmielił się wtrącić najpokorniej:

— Czyby tego nie mógł może napisać mój synowiec Kolomanek?

— Ale bądźże rozsądnym! On tego pisać nie może. On nawet dowiedzieć się o tem nie powinien. No, rozumieszże teraz?

— O, tak, już rozumiem!

W rzeczywistości wszakże nic a nic nie rozumiał.

— A więc nieprawdaż, że każesz panu Jeremiaszowi Jaray...

— Izajaszowi Jaray!

— Napisać, że mają albo naszemu Kolomanowi dać dobre świadectwo, albo też w przeciwnym razie mateczka cofnie im swoją fundację!

— Co u licha chcesz tam pisać znowu! Ja ci nie powiedziałam, że masz z nimi wchodzić w targi. Cofam fundację i basta!

— Jeżeli jednak panowie profesorowie błąd swój naprawią?

— To ja mojego poprawiać nie myślę. *Deliberatum est!* Kto nie potrzebuje mojej przyjaźni, ten jej nie potrzebuje. Ja nigdy niczego nie żebrałam u ludzi...

„To wielki błąd!” — pomyślał w duchu kuzynek Beni.

Bądźcobądź wszakże pragnął on ujść męczeństwa pisania tego listu. Wpadł więc na pomysł przejednania matki.

— Nie gniewaj się kochana, dobra mateczko. Wszakże mamunia wie, co to napisane jest w Małym katechizmie: „Słońce nie powinno zachodzić nad gniewem twoim”.

— Tego niema w Małym katechizmie... Zresztą i ja też gniewać się przestanę, skoro ten list będzie w rękach poczty. Starajże się skończyć przed zachodem słońca.

— Ale nie bądź mateczko tak zaciętą; panowie profesorowie to przecież dobrzy ludzie. Koń ma cztery nogi, a jednak czasem się potknie.

— Koń, tak, ale nie cała stajnia! — zawołała już wielce niecierpliwie babka. — Nie nudź mnie twemi przysłowiami i nie zatrzymuj darmo, tylko siadaj i pisz...

Kuzynek Beni przykucnął onieśmielony na krześle i zanurzył pióro w kałamarzu, czem so-

bie odrazu powalał palce; otarł je o żółte nan-kinowe spodnie, potem spodnie począł wycierać chustką, od poplamionej zaś chustki niebawem poczerniał mu nos cały.

— Cóż więc mam pisać, kochana mamuniu?

— Weź naprzód nożyozki i przytnij papier. Tak być powinno, kiedy się człowiek zabiera do pisania listu.

Była to wszakże ciężka praca; nożyczki wciąż szły na bok.

— A więc co mam pisać teraz?

— Już ja ci podyktuję. „Wielebny, uczony panie rektorze!”

Pierwszą czynnością Beniego było umieszczenie wielkiego kleksa na papierze.

— Dobrze i to... Obwiedź to kółkiem, a pod spodem napisz: „L. S.“ *Locus Sigilli*.

Cóż miał robić biedny Beniaminek? Zlizął kleks, a potem zaczął pisać pod dyktandem tak, iż koniec pierwszego wiersza biegł wprost ku dolnemu rogowi papieru.

— Ależ nie zejdz z tym wierszem przecie na podłogę!

Kuzynek Beni nasunął teraz papier inaczej i dla zachowania równowagi, drugi wiersz piał się już całkiem do góry. Matka dyktowała mu po wyrazie.

— Nie przylepiajże do siebie dwóch wyrazów! Nie rozdzielaj znów tego słowa w środku. Zrób

u *g* ogonek dłuższy, bo nikt nie pozna co to ma być za zwierzę! Izajasz pisz wielką literą! Dość tego teraz! Po ostatnim wyrazie połówz wykrzyknik. Poniżej datę. A teraz podaj mi tu pióro, żebym podpisała.

Babka tedy podpisała swe nazwisko. Wprawdzie i ona malowała koszlawe litery, ale ona to co innego, ona jest tylko kobieta; więc nie obowiązana pisać ładnie. Ona zato celuje w innych rzeczach...

Wreszcie trzeba było jeszcze zrobić kopertę, a to sztuka nie na żarty. Wówczas nie kupowało się jeszcze kopert na setki; trzeba było naprzód na krzyż poliniować papier, potem tam, gdzie się z sobą krzyżowały linie przekłuć nożyczkami, potem wzdłuż linii przecinać, znowu składać, rozkładać, przecinać. To robota nie dla byle kogo.

Nakoniec mozolna ta praca została doprowadzoną tak daleko, że pozostawało tylko przyłożenie pieczęci.

Kuzynek Beni wziął lak, przygrzał go przy lojowej świeczce, naprzód okapał nim świecę, potem lewą rękę, a w końcu dopiero kopertę, na której ogromną umieścił pieczęć. Potem przewrócił list na drugą stronę i za dyktandem wypisał adres. Gotowy wreszcie! Chwycił pióro i rzucił je na stół, opryskując atramentem biały fartuch matki. Niech i on opowiada światu, że był tutaj!

— No, obrzydliwsze chyba smarowidło od tego nie zostało nigdy jeszcze wysłane z K. do Debreczyna — rzekła matka.

Ale staruszka nie była już teraz ani trochę zagniewaną, skoro list wysłany został na pocztę.

A jak uniała okazać każdemu swą miłość, skoro była w dobrym humorze! Czeladź i rodzina ogrzewali się w słonecznym promieniu wesołego jej oblicza. Nawet zwierzęta domowe czuły, że była dobrze usposobioną: pies kładł się u nóg jej, kot siadał na kolanach.

W takich chwilach i kuzynek Beni czuł się szczęśliwym dzieckiem. Nie słyszał z ust mamy ani słóweczka przygany; mógł sobie spać ile chciał, choćby do wieczora, a odkąd Koloman jest w domu, ma on do tego podwójny powód.

— Mój pan synowiec uczy się tyle! Do północy siedzi zawsze i czyta!

Sypiali w jednym pokoju i kuzynek Beni utrzymywał, że nie może spać, póki się świeca pali, choć to nie było zupełną prawdą.

— Niech się uczy! — mówiła babka. — Musi się przygotować do prywatnego egzaminu. A im go zda prędzej, tem lepiej dla niego. Zresztą on uczy się po cichu, a jeśliś dotąd mógł sypiać mimo naszego hałasu, który trwa do północy zawsze, to i teraz możesz spać sobie spokojnie.

Tak, ale to był hałas całkiem innego rodzaju. Ten nie mógł przeszkadzać do snu Beniemu...

Wieczorem po kolacyi, kiedy już w kuchni nie ma do roboty, zgromadza się cała służba żeńska u babki, kucharka, dziewczka od krów, żona stróża i obie kuchenne dziewczki; szóstą jest Cilli, siódmą sama pani domu. Każda przynosi z sobą kołowrotek i rozpoczyna się wtedy koncert przedzenia. Role rozdzielone są każdemu, wedle jego uzdolnienia. Najcieńsze nici przedzą babka i Cilli z lnu mięciutkiego i gładkiego jak jedwab. I kiedy tak siedem kołowroteków furczy wesoło, poczyną która z dziewcząt, jeśli opowiadać dobrze umie, jaką ludową klechdę, baśń lub legendy. Czasami sama pani prawi jakąś bajkę, a jeśli opowieść wesoło się kończy, dziewczyny przyjmują ją figlarnym śmiechem. Człowiek czystego sumienia mógł sobie wybornie w przyległym pokoju spać przy turkocie kołowroteków i opowiadaniu starych baśni. Niekiedy zaśpiewa Cilli, na żądanie babki, jakąś piosenkę srebrzystym swym głosem.

A pieśni usypiają jeszcze tem lepiej drzemiącego, niby dźwięki z krainy wieszczek.

Bywają i takie wieczory, w których pani domu sama intonuje pieśń jaką — dawną pieśń, o dawnej powszechnie znanej melodyi.

Przy dźwiękach takiej pieśni śpiącemu zda się, że jest dzieckiem znowu, a matka go kołysze i do snu usypia tą znaną zdawna nutą...

A kiedy już zwolna wszystko przycicha, kiedy dziewczętom kleją się oczy, wtedy nikt już do pracy nie zmusza, każda bierze swój kołowrotek, całuje w rękę gospodynię, życzy panience dobrej nocy i idzie na spoczynek, zajrzawszy pierwiej jeszcze do kuchni i do komory, czy się nie żarzą na kominie węgle, boć niedarmo stróż na ulicy woła: „Gaście ogień i światła!“

Rano o piątej są znowu wszystkie napowrót przy kołowrotkach, a pani i dziewczęta przędą, dopóki się nie rozwidni zupełnie. Tylko że rano niema już opowiadań żadnych, a natomiast panienka czyta z nabożnej książki.

We dwa tygodnie po wysłaniu przez panią Jenöi pamiętnego owego listu do wielebnego rektora kolegium, nadeszła nań odpowiedź. Pocztą spóźniła się jakoś dnia tego, mimo zmroku jednak babka mogła list odczytać.

Od tego listu wzrok jej zachmurzył się dziwnie.

Pan Jaray odpowiadał, iż nie dziwi się bynajmniej, że pani Jenöi, skutkiem wydalenia Kolomana, cofa swoją fundacją; w zupełności pochwała również, że ją zamierza przelać na kolegium patackie. Nie brakło nawet rady, jak młodemu panu Kolomanowi należy tam zdawać egzamin. Wyrażał swe ubolewanie z powodu wypadku, który spotkał młodzieńca. Równo-

czesnie wszakże powiadał babkę o istotnej przyczynie wydalenia i prosił ją bardzo, aby nad wnukiem rozciągnęła baczną opiekę, by się ponownie nie zbląkał.

List ten przejął niezmiernie panią Jenöi...

Postanowiła wszakże nikomu dziś nic o tem nie mówić. Pierwej chciała sprawę całą przespać.

Wczorajszego wieczora rozpoczęła opowiadać prządkom baśń jakąś; trzeba im było ją dokończyć. Niechaj nikt nie domysli się, jak w złym jest humorze. Tamto przyjdzie na stół jutro.

Wieczór więc zeszedł jak najswobodniej, jak każdy inny. Ilekroć w toku baśni zachodzić poczynąła miłosna sprawa, pani domu mówiła zawsze: „Cilli, Julisiu, ktoś tam gdzieś stuka, idźcie zobaczyć do kuchni co to być może?” Reszta to już doświadczone kobiety, te mogą słuchać.

W nagrodę za to wyuczyła jeszcze potem sama Cilli humorystycznej miłosnej piosenki:

Żem za mała do kochania
Mówią mi czasami,
Lecz płytkości tego zdania
Nie pojmują sami.
Głupcy! O tem wszakże wiecie,
Że i woda łatwo przecie
W małym wre garnuszku;
Więc niech w podziw was nie wprawia,
Że się miłość łatwo zjawia
W małym serduszku!

Ale to był sobie tylko żarcik, ot tak dla śmiechu!

Następnie poszli spać wszyscy, jak zazwyczaj. Babka wszakże nie zamknęła tej nocy ani na chwilę oka. Ten list fatalny leżał pod jej poduszką.

I ranna praca zwykłym poszła porządkiem; po śniadaniu jednak zatrzymała babka wnuka w swoim pokoju.

— Posłuchaj mnie, kochane dziecko, mam ci coś powiedzieć. Wczoraj otrzymałam od pana Jaray odpowiedź na list mój, w którym wymówiłam kolegium moją fundacją. Stało się to z twego powodu. Sądziłam, że ci wyrządzono niesprawiedliwość. Wielebny rektor dopiero oświecił mnie co do prawdziwych przyczyn, dla których ciebie i kolegów twoich ze szkoły wydalono. Nie przerywaj mi! Ja wiem żeś ty ani jednym wyrazem nie skłamał przedemną... W wyroku kolegium była inna przyczyna podana, a Cilli przeszkodziła ci, kiedyś mi chciał prawdziwy powód wyznać; powinienes dla tej dziewczyny mieć widoczną wdzięczność, bo co ona uczyniła dla ciebie, odkąd jesteś w domu, jak umiała zawsze stanąć między mną a tobą, tegoby chyba własny twój anioł stróż dla ciebie nie uczynił. Nie zapominaj, że ta dziewczyna kłamała co dnia przedemną; skłamała poraz pierwszy w życiu, a uczyniła to dla ciebie! Gdy-

bym była wiedziała co wiem dzisiaj, nie byłabym cię przyjęła. Znam teraz twoje przestępstwo... Dziadek twój, mój biedny, zmarły mąż, był takim samym dumnym, krnąbrnym młodzieńcem jak ty, kiedyśmy się poznali. Marzycielstwo wrodzone wplątało go w taką samą historią, w jaką ty wpadłeś teraz. W owej przeklętej książce byłbyś mógł poznać i jego pismo, gdyby go później nie odmienił; pisał litery krzywo, by nie poznano jego ręki. Bo nadeszły dni przesładowania i długie lata męczarni. Z twego dziadka, śmiałego rycerskiego mężczyzny, zrobił się trwożliwy, wiecznie drżący kaleka, nieszczęśliwy człowiek, uciekający od świata i ludzi. Przypatrz się twemu stryjowi Benjaminowi, on jest dzieckiem tych nieszczęśliwych czasów. Takim staniesz się i ty, jeśli pójdziesz dalej tą drogą! Dziś jeszcze jesteś sam, ale skoro znajdziesz kogoś, którego ukochasz, staniesz się niedołężnym kaleką pod wpływem tego dzień i noc dręczącego cię przeświadczenia, żeś przesładowany, ścigany, że głowa twoja, twój majątek na jednym tylko wiszą włosku, że dość aby ktoś dostał w rękę jeden wiersz twego pisma, abyś został zgubionym. Kobieta tylko może przejść przez taką mękę i nie złamać się duchowo — mężczyzna nigdy! Nie daję ci żadnej rady co do tego, jak ci postąpić należy. Ty to sam wiesz najlepiej. Świetna przyszłość

stoi jeszcze przed tobą otworem; możesz zostać czem zechcesz; po mnie oddziedzicysz znaczny majątek, będziesz bogatym. Ja bowiem rodowy swój majątek pomnożyłam w dziesięcioro. Jednakże jak pewną jestem, że nie poddasz się żadnemu przymusowi i nie dasz sobie narzucić niczyjej woli — tak ty bądź pewien, że nie pozwolę nigdy zawładnąć nad sobą słabości, jeżeli zechcesz zejść z przeznaczony dla ciebie drogi. Ja nie chcę żebyś ty został błaznem, pośmiewiskiem kraju, jakimś wagabundą wzgardzonym, wyszydzone. Chcę abyś został rozumnym, poważanym człowiekiem, który rodzinie swej zaszczyt przynosi. Im wyżej zajdziesz, tem więcej dopomagać ci będę. Mam ku temu dość siły, zdolności i majątku. Jeśli wszakże w proch zejdziesz, to cię tam pozostawię i niewyciągnę nawet palca, by cię zeń podjąć. A teraz czyń o co chcesz, ale pamiętaj o tem, com ci powiedziała.

.....

Kolomanowi po tej nauce zdało się, jakby był do ziemi przygwożdżony; do tej ziemi, stojącej na jednym miejscu nieporuszenie.

„*E pur si mouve!*“

A jednak ona się porusza!...

Napływa szlachta w jesieni na kongregacyą do stolicy komitatu i ulice miasteczka ożywiają się od tego ruchu. I kuzynek Beni przypasał

sobie w srebro oprawną szablę do boku, nawoskował wąsy i cieszył się, że go całują w ręce dziewczki, kiedy przechodzi przez kuchnię. Ale bo też w takie czasy wielki pan z niego, ponieważ bowiem posiedzenia trwały zazwyczaj do drugiej lub trzeciej, a bez niego przecież obejść by się nie mogło — wtedy więc dopiero mógł zasiąść do obiadu, który umyślnie dla niego chowano, a to właśnie wydawało się Beniemu szczytem dostojęstwa.

— Jeśli kiedy zostanę wielkim panem, zawsze sam będę jadał obiad!

Pewnego jednak razu przybył kuzynek Beni z strasliwym szczękiem do domu, kiedy jeszcze wszyscy siedzieli przy stole. Omal nie potknął się o szablę, która plątała mu się wciąż między nogami. Cóż mu się stać mogło? Rzadko trafiało się, by go kto widział spieszącego. Skoro więc zwykły swój krok kołyszący zmuszał do biegu, musiało chyba zdarzyć się coś niezmiernie ważnego.

— Są tu już! Przybyli! — krzyknął, a twarz mu błyszczała od potu.

— Kto jest tutaj? — spytała pani domu.

— Komedycanci! Komedycanci przyjechali! Przed chwilą właśnie rozdawano w generalnej kongregacyi afisze. A ten dyrektor! Co to za piękny mężczyzna! Wiceżupan nie może być piękniejszym. Przy szabli wszedł na posiedzenie

i przedstawił swój dyplom szlachecki. Najprawdziwszy szlachcic! Sam czytałem jego pergamin. I afisz dostałem także. „Dziś, za pozwoleniem zwierzchności, odegraną zostanie Ucieczka Beli, bohaterskie widowisko w pięciu aktach“.

I niecierwiej odjął szablę, póki nie przeczytał całego afisza od deski do deski, wraz z całym personelem, aż po wyrazy: „Koniec o godzinie 10-tej“.

Koloman słuchał uważnie, póki stryj czytał nazwiska personalu: skoro wszakże pośród tych wielu „panów“, „pań“ i „panien“ nie usłyszał nazwiska, które go zajmowało, nie zwracał już na resztę uwagi. Chciał posłyszeć tylko nazwisko „Borcsay'a“, a tego tam nie było.

Kuzynek Beni położył afisz przed panią domu i zaczął prośby.

— Nie prawda, kochana, dobra, złota mamuniu, że pójdziemy do teatru? Co, czy pójdziemy?

— Dobrze, dobrze, pójdziemy, skoro jest i tragedia; o! ja to sama lubię.

Kuzynek Beni skakał z radości.

— Wszak i Cilli pójdzie?

— Toć jej samej przecież nie zostawimy w domu.

— Wszak nasz Koloman pójdzie także?

— Ja nie pójdę, ja muszę się uczyć — odpowiedział Koloman.

— A jaka szkoda! A przecież to taka śliczna sztuka. W niej jest również jakiś Kolo-man i w dodatku książkę. Toć to twój imiennik!

— No, no, niech cię to nie martwi — przemówiła matka. — Będą oni, dla dogodzenia tobie, grali kiedy i twego imiennika...

— O, kochana mamuniu, nieprawdaż, że i na to pójdziemy?

— Pójdziemy na każdą sztukę, póki tylko tu będą! na cały ten czas zaabonuję trzy krzesła.

— Dlaczego nie cztery, dla mego synowca Kolomanka?

— On młody jeszcze, jemu nie potrzeba krzesła. Skoro zechce, może pójść z nami.

— Wątpię bardzo abym mógł tego roku znaleźć czas na to — mówił Koloman.

Potem wstał od stołu i poszedł do swego pokoju aby się uczyć, pozostawiając Beniego samego u stołu. Beni z radości nie jeść nie mógł, choć mu pokolei przynoszono półmiski. Nie wiedział co je nawet!

Aby zaś radość starego dziecka była zupełną, pozwoliła mu mama przywdziać ów nowy surdut, gdy będzie towarzyszył jej do teatru.

To też do siódmej nie mógł doczekać...

Jakże mu pysznie leżał długi tabaczkowy surdut, z błyszczącymi mosiężnymi guzikami!

W ostatniej chwili gwałtem jeszcze namawiał Kolomana, aby szedł z nimi; ale ten pozostał w domu.

Było już późno, wpół do jedenastej przeszło, kiedy powrócono z teatru.

Z jakimż wracano gwarem! Z jakim tryumfem wpadł kuzynek Beni! To mi to przedstawienie! To mi aktorzy! Miasto K. nigdy jeszcze czegoś takiego nie widziało. Co za wspaniałe kostiumy! Co za królowie, jacy książęta!

Kuzynek Beni był rozegzaltowany. Nie miał ochoty zupełnie zdjąć z siebie tabaczkowego stroju.

Ale i sama pani domu nawet była zadowolona.

— Porządna, uczciwa, dali sztukę. Takie sztuki lubię; człowiek na chwilę tem się buduje. Boć nie po to tam się chodzi tylko, aby się pośmiać. A mają doskonałych aktorów, to im trzeba przyznać.

— Szczególniej ten Banyavary, który grał księcia Kolomana! Ten mi się najwięcej podobał — wygłaszał z zapalem kuzynek Beni.

— Jednak dyrektor jest najlepszym z nich wszystkich — zdecydowała pani domu.

— Mnie najwięcej podobała się primadonna — wtrąciła Cilli.

Ta, coprawda, i Beniemu podobała się najwięcej, ale bał się z tem wydać.

Teatr oczywiście był natłoczony publicznością. Zrobiono go naprędce z wielkiej balowej sali pod „złotym orłem“.

— Jeśli im tak zawsze pójdzie, to będą mieli ogromne dochody — obliczał kuzynek Beni. — Jaka to szkoda, że Kolomam nie był z nami!

Dopóżna miał Koloman bezustannie coś do słuchania; Beni opowiedział mu kolejno treść sztuki, pojedyncze ustępy, pieśni, które w niej śpiewano, opowiadał jak płakała publiczność, kiedy całe towarzystwo zaintonowało tę pieśń smutną:

„Hunia jęczy w prochu podeptana
Węgier syny płaczą uciśnione!“

Beni usiłował nawet kapłonim swym głosem zaśpiewać tę pieśń ulubioną, która w istocie ma przepiękną melodię, a tę tylko wadę, że przechodzi przez całe półtrzeciej oktawy w dół i w górę; dlatego też, kiedy kuzynek Beni wyciągnąć próbował wysoko: „Nasz kielich boleści przepelnion po brzegi,“ mógł już tylko drganiem brwi okazać, że i tam jeszcze są nuty; w dalszym ciągu zaś, gdy doszedł do wyrazów „Opustoszały, samotny dwór Beli,“ musiał ze schyloną w dół szyją szukać niedościgle głębokich tonów. Od początku zaś do końca każdy ton był nieznośnie fałszywym.

Koloman nie mógł go żadną miarą przywieść do spokoju; a jego głowa była właśnie pełną różnorodnych „subhastacyjnych procesów,” które ze sztuką dramatyczną, nic a nic nie miały wspólnego.

Na szczęście kuzynek Beni przy rozbieraniu się zrobił bolesne odkrycie, że łożowa świeca poplamiała mu na plecach surdut; wyszukał sobie bowiem miejsce, w którym nikt stać nie chciał. To mu całkowicie zepsuło odrazu humor. No-wiutenieczki surdut!

Wprawdzie Koloman pocieszał go, że jutro rano wszystkie te plamy różnorodnymi chemikaliami wywabi, tak że ich całkiem znać nie będzie, jednakże wypadek ten zerwał zupełnie strunę wesołości Beniego. Wielce przygnębiony, rzucił się na poduszki i długo nie mógł zasnąć. To że „Hunia jęczy w prochu podeptaną,” jest rzeczą samą z siebie piękną, ale by jego nowy surdut łożowemi ozdobił się plamami, tego nieszczęścia mógł przecież los Hunii oszczędzić.

Przynajmniej pozostawił Kolomana w spokoju, aż do rana; raniutko zaś skoro świt wstał synowiec i gdy kuzynek Beni spał jeszcze, wyczyścił na kołnierzu wszystkie plamy, tak że gdy przebudzony zaraz z łóżka jeszcze sięgnął po surdut, pewnym był, że śniła mu się tylko cała ta nieprzyjemna historia o plamie łożowej na plecach.

Aktorzy pierwszym swoim występem zdobyli sobie odrazu całą publiczność. W kongregacyi komitatowej nietyle mówiono o złych drogach, nieuprawnionych nadużyciach żołnierstwa i tym podobnych sprawach, ile o trupie Varsay'a. Znakomitsze domy miasteczka wydierały sobie wzajem wybitniejszych członków towarzystwa na obiady, na wieczorki, a przy każdej takiej okoliczności okazywało się, że aktorzy nie byli, jak to się zdarza, zbieraniną, rekrutowaną z szumowin społecznych, ale ludźmi ukształconymi i dobrze wychowanymi. Z dyrektorem nie można było mówić o czem innem, jak o astronomii lub historyi. W tych naukach tak on był biegłym, jak profesor jaki. Jego żona, pierwsza amantka, była osobą zasługującą w zupełności na poważanie, a biegłą w literaturze poetyckiej; artystka naiwna była samą skromnością, a miała jedną tylko wadę, że w rozmowie lubiła mieszać cudzoziemskie wyrazy, z których znaczenia nie umiała sobie dość jasno zdać sprawy; przedstawiciel komicznych postaci był najpoważniejszym w świecie człowiekiem; trzeba się było zdumiewać jakim sposobem na scenie tak się odmienić potrafi, że każdego doprowadza do śmiechu. Nikczemny intrygant był najuczciwszym, najlepszym chłopcem; nawet afisz, karłowaty, o wielkiej głowie i szerokiej gębie kum Rak, był woale poczesną,

szanowną osobistością i posiadał w Miskolcz dom własny, a tylko z miłości dla sztuki wędrował z trupą. Na drugi dzień po przybyciu znał on już wszystkich w miasteczku, do każdego na ulicy przemawiał po nazwisku i opowiadał naprzód, co będzie w dzisiejszej sztuce.

Co do pierwszego kochanka wreszcie, to gentleman skończony, a chociażby niewiedzieć jak zmienił nazwisko, to przecież wiedzą o nim wszyscy i opowiadają to sobie, że jest synem wiceżupana z Sáros, czy Zipps, ale z wszelką pewnością synem wiceżupana!

I repertuar ich jest znakomity. Grają „Zbójców“ Schillera, „Skapca“ i „Lekarza mimo swej woli“ Molière'a, „Romea i Julię“ Shakespeara, „Maurycego Beniowskiego,“ „Zriny'ego,“ Körnera, „Fausta,“ Göttego. Z oper: „Ucieczkę Beli,“ „Zamę,“ „Złote czasy“ i inne jeszoze. Czasami zapal ich zachodzi tak daleko, że dają oryginalne sztuki węgierskie. Suflera zaś ani posłyszysz na przedstawieniu!

Publiczności zawsze ciżba. Podczas posiedzeń komitatowych pełno-bo też bywa okolicznej szlachty w mieście, której aż do późnego wieczora trwające debaty nie odstraszą od wieczornej w teatrze rozrywki.

Było to zdobycie szturmem. Publiczność czuła się pociągniętą za kołnierz, nie przy po-

mocy „patryotyzmu i narodowości,“ ale tem, że znajdowała w samej sztuce upodobanie.

Kolomana tylko nie porwał z sobą, ogólny zapał, a przecież babka, i Cilli codziennie szły do teatru i pani domu wychwalała zawsze przy kolacyi wszystko co było dobrego. Czasem znowu surowe wydawała sądy o tem, co zachwycało Beniego, zwolennika płaskiej komiki, której babka znieść nie mogła.

— To już należy do stajni! takim był sąd babki.

Kolomana przecież wszystko to nie obchodziło ani trochę.

On zajęty był cały swemi prawniczemi studjami i oddawał im się z taką pilnością, że w piątym już miesiącu przygotowany był do zdania egzaminu i tym sposobem zyskał pół roku czasu w swojej karyerze. To zaprzętało teraz całkowicie jego umysł; pragnął jaknajprędzej wydostać się z domu i móż rozpocząć walkę z wielkim wrogiem, światem!

Dlatego też i we śnie nawet myślał o czemś lepszem, niż o pójściu do teatru.

Pewnego wieczora, a było to już po siódmej, przybiegł kuzynek Beni śpiesznie do domu; za ledwie teraz puszczono go z sądowego posiedzenia, gdzie przy rozsądzaniu jakiejś kryminalnej sprawy głos jego był potrzebnym. Skoro tylko zdołał się uwolnić, wzięwszy szablę pod pachę, przybiegł do domu.

Ale to rzecz okropna, że do teatru już się spóźni... Przebierając się z narodowego w strój cywilny, ciągle kłopotał się tem tylko, co też zrobi, jeśli nikogo nie zostanie przy kasie i nie będzie mógł kupić biletu — a jak znów wejść bez biletu na salę?

— Czy nie pójdziesz dziś do teatru, mój drogi Kolomanie?

Miał nadzieję, że Koloman i jego jakoś wprowadzi.

— Nie, stryju, muszę się uczyć.

— Aj, aj, poco też uczysz się tyle? Zobaczysz, że od tego mocołu wyrosnie ci jeszcze kość w głowie. Ja znałem jednego takiego pana, któremu od zbytniego uczenia się wyrosła kość w mózgu.

Ale nawet ta groźba nie zdołała nakłonić Kolomana do pójścia wraz z nim do teatru. Rad nierad musiał sam podjąć się niebezpiecznego eksperymentu.

I rzeczywiście przy kasie nie było już nikogo. Daremnie przechadzał się Beni tam i napowrót po korytarzu, by złapać kogokolwiek, od którego nabyłby bilet; w końcu zdecydował się wreszcie bez opłaty wejść między rzędy widzów, bo z sali dobiegały go głośne śmiechy. Dawano „Spanarellę“.

I wślizgnął się też, zamierzając kasyerce wyłuszczyć przyczynę tego bezprawnego wtar-

gnięcia; ale i tej u drzwi nie było, i ona poszła gdzieś na galeryą, przypatrywać się przedstawieniu.

Kuzynek Beni stanął w cieniu jakiegoś filara, trawiony wyrzutami sumienia. Co chwila drżał na myśl, że może go ktoś pochwycić za ramię i spytać: „Jak się pan tu dostałeś?” Ilekroć kto na niego spojrział, zdawało mu się, że żąda pokazania biletu. Jeśli Spanarella na scenie zwróciła się przypadkiem w jego stronę, pewien był, że zawoła: „Patrzajcie, tam stoi człowiek, który nie zapłacił za wejście!”

Ale postanowił sobie wyjść z tego krytycznego położenia, i kiedy po pierwszym akcie zapadła kurtyna, przecisnął się, śmiało stawiawszy na kartę poły swego surduta, przez tłok widzów aż do kinkietów proscenium i gdy cyganie smarowali smyczki kalafonią, wyciągnął złotówkę z kieszeni i począł pukać nią w budkę suflera.

— Panie suflerze! panie suflerze! proszę! każ pan podnieść kurtynę cokolwieczek.

Sufler sądził, że gotuje się jakaś dla kogoś owacya i dał znak podniesienia kurtyny.

Beni nie zobaczył na scenie nikogo, prócz przypadkowo tam stojącej primadonny i wprost też do niej skierował swą przemowę:

— Pani dyrektorowo, proszę, pani dyrektorowo! Przyjdź pani tu trochę bliżej, bardzo

proszę. Widzi pani ja w kasie nie zastałem nikogo, więc pani płacę teraz za bilet.

I składa u nóg dyrektorowej srebrnego cwanoygiera, który dyrektorowa podnosi z wdzięcznym dygiem.

Ależ co za śmiech za to szalony, rozgłośny zatrzęsł całą salą!

Kuzynek Beni odwrócił się i nie mógł pojąć z czego się tak śmieją wszyscy? Toż on postąpił wielce rycersko...

— A! to wspaniałe, niezrównane! *C'est magnifique!* — wołał głos jeden męski, górujący ponad innemi. Posiadaczem tego głosu był człowiek znany pod nazwiskiem barona Balvandy. — *Magnifique!* Rzecz niebywała jeszcze! To przechodzi Spanarellę! Prosilibyśmy powtórzyć raz jeszcze!

Jednakże dobrze będzie, byśmy pierwiej osobie tego barona Balvandy oddzielny poświęcili rozdział.

Droga M. PODSOŃSKA
Zakopane

BALVANDY.

Godna to była bliższej znajomości osobistość ów człowiek, do którego Berti Csollan wygnanemu ze szkół studentowi dał list polecający; adres owego listu brzmiał: do dyrektora wędrownych komedyantów“.

Opłaci nam się przyjrzeć mu się nieco uważniej.

Jest-to najdoskonalsze przeciwieństwo znanego nam już Berti Csollana, a przecież równocześnie jego dopełnienie.

Są do dwaj nierozdzielni!

Zawsze jeden z nich ma plan jakiś, którym pragnie odplacić poprzedniego spletanego mu figla; a figle to są niemilosierne. Plan taki knuje się nieraz lata całe i dojrzewa, póki nie dojdzie do wykonania, ale wtedy jest też to figiel nielada.

Ta tylko zachodzi różnica, że kiedy Berti Csollan bawi się w ordynarne, grubiańskie żarty, Balvandy urządza mu eleganckie, wyrafinowane,

ale niemniej bolesne. Wesole towarzystwa czterech komitatów wciągnięte są w tę komiczną walkę Gwelfów i Gibelinów i dopomagają to jednemu, to znów drugiemu, a śmieją się na koszt obu.

Balvandy jest człowiekiem lat przeszło trzydziestu, o rysach tak szczęśliwych, że nie starzeją się nigdy: cera ciemna z gorącym kolorytem, nos rzymski, wybitny, kruczo czarne pukle gęstych włosów, wąs, bokobrody i brwi także; pełne ognia oczy i usta zawsze okrażone uśmiechem. Wzrost średniej miary, postać muskularna, rozwinięta.

Jestto mieszanina naszych zdumiewających złych i dobrych właściwości; w tym człowieku łączy się: świetny magnat węgierski i betyar włóczęga, mecenas sztuki i rozpustnik, dziedziczny wielki pan i awanturnik, bohater i błazen.

Jeśliś ubogi i przyjdiesz go prosić o co, poda ci bez namysłu swój worek, sięgnie do niego i wyjmie zeń tyle, ile ci potrzeba; ale jeśli ci co winien i chcesz to od niego odebrać, dopuści do procesu, pozwoli się fantować, a i wtedy jeszcze nie zdołasz często dojść do swej własności.

Objechał zagranicę, wszędzie go znają z słynnych jego przygód i awantur, któremi zapisał węgierską oryginalność; ale nie mów z nim o jakimś poważnem przedsięwzięciu, na

którego czele powinienby stanąć jaki pan wielki.

Jeżeliś jego przyjacielem, pójdzie za ciebie w ogień, rąbać się gotów za ciebie, podpisze ci weksel i zapłaci, jeśli ty zaniedbasz to uczynić; ale z pewnością kochankę, młodą piękną żonę, uwiedzie ci bez namysłu; a jeśli siądziesz z nim grać w karty, gotów wygrać od ciebie i zagrabie najspokojniej ostatniego guldena, przeznaczonego na trzewiki dla twoich dzieci; jeśli zaś poróżnisz się z nim, zastrzeli cię z krwią najmniejszą i zapłaci koszta twego pogrzebu.

Z nurtów spienionych krą płynącej rzeki wyratuje z narażeniem własnego życia dziecko biednej kobiety; ale jeśli to dziecko przypadkowo było jego własnem i nieszczęśliwa kobieta w rozpaczę je tam rzuciła, pozwoli mu utonąć i pójdzie dalej pogwizdując.

Aktorzy — to jego namiętność. Skoro posłyszysz tylko gdzie o jakiej dobrej trupie aktorów, sprowadza ją Bóg wie jak zdaleka do miejsca swego zamieszkania i włóczy się za nią... Do każdej spódniczki się zaleca; mieszka na scenie, popiera utalentowanych młodzieńców, bierze ich z sobą do Wiednia, aby w Burgu przypatrzyli się artystycznym wzorom; spędza i publiczność i z całą namiętnością wyrzuca wielkie sumy na przepych wystawy.

Zato ma też swoje przywileje. Stoi na pewnej wysokości ponad resztą zwykłej publiki. Ma prawo wtrącania się i do sztuki i do widzów.

Zadowolenie swoje objawia głośno: „Brawo! bardzo dobrze! Klasycznie! Przypatrzcie się tej figurze! Co za wspaniały kostyum ma dziś nasza primadonna! Tegoby i w teatrze Drury-Lane lepiej nie dali!”

Jeśli wszakże wprost przeciwnie jest usposobionym, nikt nie potrafi go poskromić.

Poprawia najswobodniej „pierwszą naiwną,” jeśli przekręci jakie nazwisko: „Ależ na miłość Boską, pani, któż tak wymawia!”

Napomina też pierwszy raz występującego debiutanta: „Z ogniem, mój chłopcze, z większym ogniem! Potrzeba ci trochę energii! Uważaj, żebyś nie usnął!”

To znowu zwraca uwagę publiczności: „Słuchajcie teraz państwo, bo tu następuje przepyszna scena”.

Łaje reżysera, że to lub owo wyrzucił ze sztuki. Skoro dają operę, on ulubione swe arye śpiewa razem ze śpiewakiem i z solą robi duet, z kwartetu kwintet.

W antraktach odbiera z rąk kapelmistrza skrzypce i gra, ku rozweseleniu publiczności, z prawdziwem mistrzostwem precudne fantazyje na narodowe temata.

Przytem wciąż zaleca się do każdego pięknego buziaka w parterze.

A jednak z tem wszystkiem tak mu jakoś do twarzy...

Tego rodzaju zachowanie się jest samo w sobie wielką impertynencyą; ale u Balvandy'ego i jego impertynencya nawet piękne ma formy.

Pewnego wieczora zauważył nasz Koloman, że zegary w całym domu wybiły już pół do dwunastej, a z teatru nikt jeszcze nie powrócił. Wysłał więc jedną z dziewczek, aby się dowiedziała co się z państwem dzieje.

Dziewczyna powróciła z wiadomością, że w teatrze wciąż jeszcze grają.

Przeszła i północ; ogień tymczasem wygasł, kucharka w kuchni usnęła, wieczerza spaliła się na węgiel i o pierwszej zaledwie powrócili wszyscy z teatru.

Rzecz się tak miała. Dawano nową sztukę której i Balvandy nawet z prób nie znał; i jemu więc sprawiono nią niespodziankę. Publiczność bawiła się wybornie do samego końca.

Kiedy już przedstawienie było ukończone i dyrektor, jak zazwyczaj, wystąpił, dziękując za życzliwe poparcie publiczności, odpowiedział mu na to Balvandy w imieniu widzów:

— No, panie dyrektorze, rzeczywiście była to sztuka wyborna. Musicie nam ją koniecznie raz jeszcze dziś zagrać...

Nigdy prawdopodobnie nie zdarzyło się, odkąd istnieje na świecie teatr, ażeby publiczność kazała sobie powtórzyć całą sztukę od początku do końca. Dyrektor też próbował się tłumaczyć, że towarzystwo jest zmęczone, że publiczność już otrzymała co się jej należało na wieczór dzisiejszy; lecz Balvandy przeciął mu możliwość odwrotu oświadczeniem: „Ależ my się nie sprzeczymy, zapłacimy raz jeszcze, a wy zagracie nam drugi raz sztukę!”

I natychmiast, powstawszy ze swego miejsca, począł obchodzić dookoła salę; zbierając w kapeluszu od szanownej publiczności powtórna opłatę, a nikt nie śmiał mu się oprzeć. Każdy zapłacił zdublowaną cenę wstępu; jeden z przyjemnością, drugi rad nie rad, a aktorzy wtedy nie mieli już wyboru i musieli powtórzyć dopiero co odegraną sztukę. Zabawa ta pociągnęła się oczywiście do pierwszej po północy.

Jakże za to potem w domu wymyślały gospodynie na barona!

Taki żart nie uszedłby z pewnością nikomu, tylko Balvandy'emu.

Nazajutrz dawano „Hamleta”.

Sztuka była oddawna zapowiedziana, czyniono do niej wielkie przygotowania. Banyavary wystąpić miał w tytułowej roli, a zarazem był to jego benefis.

Przy obiedzie wyraził Koloman życzenie pójścia ze wszystkimi do teatru.

Babka i Cilly ucieszyły się z tego niezmiernie. Zanadto-bo też się męczy temi naukami. Tylko kuzynka Beni, który nieraz słyszał od synowca, iż nienawidzi Balvandy'ego, niepokoili jakieś niejasne a groźne przeczucia, że z tej nagłej decyzji coś niedobrego wypaść może.

Po obiedzie usłyszał w pokoju, gdzie zostawił kochanego swego synowca nad kodeksem, niezwyčajny jakiś hałas. Z takim hałasem uczyć się paragrafów, to rzecz niebywała.

Podkradł się pod okno wychodzące na dziedziniec i przez szczelinę spuszczonej rolety począł się przyglądać, co też to kochany synowiec jego Koloman tam wyrabia?

Ależ wyrabiał okropne rzeczy!

W pokoju stał piec żelazny niewyższy nad zwykłą miarę rosnącego mężczyzny; u wierzchu zakończony żelazną urną, niby ludzką głową. Koloman na tę urnę włożył watowaną czapkę kuzynka Beni (posiadał on ich osiem) ujął w rękę obnażoną szablę w srebro oprawną i próbował na mniemanym przeciwniku po kolei wszystkich cięć wyuczonych na lekcyach fechtunku. Obra-
biał z takim zapalem piec, że aż zimno się robiło patrzeć. Teraz nos! teraz ucho! teraz szyję! Biedna watowana czapka niemało miała do zniszczenia. Prawda, że piec się nie bronił...

— Tu się widocznie gotuje jakieś nieszczęście — pomyślał kuzynek Beni. Nie pisał przecież nikomu ani słowa; tylko kiedy wybiła siódma, wprawił wszystkich wybierających się do teatru w zdumienie oznajmieniem: „Ja dziś nie idę!”

— A czemuż to nie idziesz? — spytała matka.

— Głowa mnie boli.

— Głowa? Gdzie?

— Tu z tyłu.

— To może nie będziesz też jadł wieszki?

— O, nie, do tej pory może już ból minie. Za żadne skarby świata nie byłby dziś poszedł do teatru!

Był to fakt, że Koloman czuł zdawną nienawiść do Balvandy'ego, a podwaliną tej nienawiści była zazdrość, lub słuszniej mówiąc zawiść dziecka wobec mężczyzny.

— Czemuż to tak być musi, że tamten jest już mężczyzną, a ja dopiero chłopcem? Tamten jest wszędzie pierwszym, mnie nikt nie bierze w rachunek. On sypie garściami pieniędze, kiedy ja muszę czekać na każdy grosz z ręki babki. On jest dumny, wysmukły, muskularną postacią, ja malcem, tyką, gołowasem. On cały świat zwiedził w podróżach, ja nie poznałem z niego nic jeszcze. On jest przewodcą w sali posiedzeń, wie dzie taniec na balowej sali w pierwszą parę — mnie tam nie dopuszczają nawet. Ja piszę wiersze do pięknej dziewczyny, a kiedy jeszcze ła-

mię sobie nad rymami głowę, on ją od dawna już zbałamucił!

Do tego łączy się jeszcze nienawiść blondyna względem bruneta. O, stara to, strasznie stara nienawiść! Kto wie, czy zaciętość francusko-pruskiej wojny nie w tej nienawiści miała swe źródło.

Koloman babkę i kuzynkę prowadził do teatru z silnem postanowieniem, że temu człowiekowi dziś — w jaki sposób nie wiedział sam jeszcze, ale w jakikolwiek, — pokaże, że jest jeszcze na ziemi człowiek, co więcej wart od niego.

Z tem postanowieniem kupował sobie bilet przy kasie, gdy tymczasem panie na niego czekały, ażeby je przez tłum gapiącej się publiczności przeprowadził do ich miejsc na parterze.

Jednakże na samym zaraz wstępie to postanowienie jego oparło się na mieliźnie, bo gdy kupował bilet, Balvandy, który wciąż krążył u wejścia, spostrzegł obie panie i zawołał z wielkim hałasem: „Panowie, zrobić miejsce damom!“ I jako Czerwone Morze dla Mojżesza, tak na to hasło rozstąpił się tłum falujący. Zanim Koloman powrócić zdołał, Balvandy już od dawna zaprowadził obie panie na miejsce, przyczem skłonił się im głęboko, z uprzejmością skończonego światowca; potem, jak się zdało, szepnął coś jakiegoś podżyłemu panu, który siedział właśnie tuż

obok pani Jenöi. Koloman w tym panu poznał nadżupana.

Nadżupan był to człowiek niemłody, z twarzą gładko wygoloną, bez wszelkiego zarostu; istny model wiedeńskiego dygnitarza z białemi, ale ufryzowanymi włosami.

Kolomanowi wydało się, że babka, Balvandy i nadżupan zamienili z sobą słów kilka, a następnie wszystko troje zwrócili głowy w jego stronę.

Balvandy podążył wprost ku Kolomanowi, skoro go spostrzegł tylko:

— Dzień dobry, Kolomanie, — ozwał się do niego, jak gdyby od niepamiętnych czasów byli z sobą najlepszymi przyjaciółmi, — jak mnie to cieszy, że się spotykamy wreszcie! Chodźże zemną, jego ekszelleneya pan nadżupan chce cię zobaczyć.

I Koloman przyszedł odrazu do przeświadczenia, że ten wróg ogromny wziął go szturmem, rozbroił i prowadził z sobą wedle swej woli.

Bądźcobądź wszakże, było to zaszczytem nie małym dla młodego jurysty, którego wypędzono z kolegium, że pan nadżupan chce go widzieć.

Balvandy podprowadził go do owego podeśzłego pana; ten założył w złoto oprawny binokl i począł stojącego przed nim młodzieńca mierzyć od stóp do głowy. Młody chłopak przekonany był, że w tej chwili nietylko nadżupan, ale cała pu-

bliczność tak samo mu się przygląda i poczerwieniał jak wiśnia.

Ale nadżupan przypatrywał mu się ciągle przez szkła, nie mówiąc przy tem ani słowa; twarz jego wszakże ułożyła się do wymuszonego uśmiechu.

Nakoniec jego ekscellencya otwarł usta. I teraz wszakże nie mówił do niego, ale łamanym węgierskim językiem rzekł do swej sąsiadki:

— To jest więc słynny ów pisarz kroniki?

Staruszka zawołała w przerażeniu:

— O, proszę bardzo...

Ale na te słowa Kolomanowi poczęło gwałtownie bić serce. *E' pur si muove!*

— Tak, ja nim jestem! — odpowiedział śmiało i podniósł w górę twarz oblaną purpurowym rumieńcem.

— A! — rzucił nadżupan z godnością, potem zdjął szkło i raz jeszcze zmierzył oczyma młodzieńca.

Następnie zwrócił się znowu do babki i przemówił do niej:

— Skoro chłopiec przejdzie lata praktyki u adwokata, wezmę go do siebie jako jurata, a wtedy z pewnością pójdzie już dalej.

Poczem skinął głową i chłopcu wolno już było odejść.

Balvandy ujął znów Kolomana pod ramię i poprowadził go z sobą w narożnik sali.

Koloman już oprzytomniał.

— Skądże nadzupan może wiedzieć o tej całej sprawie? — spytał Balvandy'ego.

— Od namiestnika.

— A skąd wie o tem namiestnik?

— W peszteńskiej komitetowej kongregacji przyszła ta sprawa na stół i ktoś z tego powodu natarł porządnie uszu rządowym figurom, które wywarły nacisk na tych filistrów w Debreczynie.

— Kto też tę rzecz mógł wytoczyć?

— To ja sobie tego pozwoiliem.

— A pan skądże wiesz o tem?...

— Ha, ja wiem wszystko. Ale teraz bądźmy oicho, bo sztuka się rozpoczyna, a Hamletowi przeszkadzać nie należy.

Koloman znajdował się pod władzą dziwnych uczuć. Czuł się poniżonym i podniesionym wysoko zarazem; postawiono go przed publicznością równocześnie w złem i dobrem świetle; pogrożono mu i rzucono zachętę; szukał tu wroga a znalazł protektora, lecz przez to czuł tem żywiej jeszcze, że muszą obadwaj pozostać sobie wzajem nieprzyjaciółmi.

To też nie zwracał zupełnie uwagi na sztukę; zbyt go zajmowała własna jego komedia. Owo „*to be or not to be*“ było w tej chwili dla niego daleko ważniejszym pytaniem, niż dla Hamleta.

Publiczność oklaskiwała występującego Hamleta, ale on ani spojrział na niego. Król, królowa mówili coś kolejno, nie słuchał ich wcale. Dopiero

kiedy Hamlet rozpoczął swój monolog, w którym powiada: „Słabości, imię twe: kobieta!“ doznał zdziwienia i począł uważać. Im dłużej mówił Hamlet, tem on uporczywiej mu się przypatrywał. Twarz jego poczęła uśmiechać się mimowoli, a kiedy w końcu sceny publiczność grzmiącymi zabuczała oklaski i ozwało się wołanie: „Banyavary!“ — Koloman zaryzykował nieśmiało zwrócony do Balvandy'ego, uwagę:

— Toż to Borcsay!

— Jakto, toś jeszcze dotąd o tem nie wiedział? — spytał go Balvandy. A może nawet nie rozmawiałeś ze swoim przyjacielem odkąd został aktorem? Czyś się jeszcze nie widział z nim nigdzie?

— Gdybym był wiedział, że to on się pod tym pseudonimem ukrywa...

— Kiedy tak, to cię do niego zaprowadzę, skoro się pierwszy akt skończy, jakkolwiek taka chwila najmniej jest do przyjacielskich spotkań sposobną. Skoro aktor gra jakąś trudną rolę, jest zawsze wzruszony ogromnie i nikogo nie przyjmie serdecznie; przedewszystkiem zaś młody, pełen zapału artysta, który po raz pierwszy mierzy się z wielką rolą. Król w chwili udzielania audyencyi nie jest dumniejszym, a kapryśniejszą od niego nie jest chorująca na migrenę dama.

Skoro się pierwszy akt skończył, ujął Balvandy Kolomana pod rękę, by go poprowadzić

na scenę. Bo tam nie zapuszczaj się bez przewodnika...

Kiedy się przeciskali przez tłok zgromadzonych, musieli mijać krzesło babki, która naturalnie spytała barona, dokąd jej chłopca uprowadza z sobą?

Koloman oświadczył jej, że w Hamlecie poznał dawnego, dobrego kolegę i że do niego idzie na scenę.

— A nie zakochaj mi się tam czasem w jabbiej ładnej aktorce!

Z tem zastrzeżeniem puściła pani Jenöi swego wnuka.

Balvandy'emu znane były ciasne drzwiczki, przez które z krzesel wchodziło się na scenę, i poprowadził tam bez wahania Kolomana. On na scenie był jak u siebie.

Tu przedstawił go pośpiesznie królowi i królowej, to jest dyrektorowi i jego żonie, którzy gościa przybywającego do ich kraju z wysokiem namaszczeniem na duńskim przyjęli gruncie. Potem poszukali Hamleta, którego nietrudno było znaleźć, ponieważ w tej chwili kłął jak poganin.

Kłął ducha!

I to ducha swego ojca! Ducha ojca Hamleta.

— To bydlę! rozpoczyna mi o trzy zdania wcześniej niż potrzeba swoje „przysięgajcie!“ Proszę ja kogo! Całą scenę mi popsuł...

Duch, który przez ten czas usiłował z całą

krwią zimną podartym ręcznikiem ocierał sobie twarz z białego tynku, ze spokojem, przystającym rzeczywistemu duchowi, powracającemu z tamtego świata, zwrócił uwagę rozwścieklonego na tę okoliczność, że przez podłogę przejrzeć przecież nie mógł. Krzyknął on pod sceną, kiedy sufler dał mu znak. Sufler więc jest tu winien; czemuż dał nogą znak pierwiej niż należało.

— W takim razie zamorduję tego suflera! Zamorduję go! — ryknął Hamlet i prawdopodobnie byłby to uczynił co zapowiadał i tym sposobem sztuce Shakespeara całkiem nowy nadał obrót, gdyby nie to, że naprzód miecz jego był nie na ten cel zrobiony, owszem wprost niemożliwy do wszelkiej rąbaniny lub przebicia, a powtóre, że sufler miał tyle rozumu, iż pozostał pod ziemią.

Mimo to Hamlet wciąż jeszcze się rzucał gdy przed nim stanął Koloman, z przyjacielskiem powitaniem.

Oczywiście, trudno witać się czule i rozrzewniać, skoro się jest Hamletem. Okrągła kreza nie dopuszcza wzajemnego uścisku, przyklejone wąsy czynią niemożliwym pocałunek, a rękawiczka stoi na przeszkodzie uściskowi dłoni.

A potem, do pioruna! przecież się jest królewiczem i artystą! Niewiadomo czy smucić się więcej z okropnej śmierci duńskiego króla, czy cieszyć z oklasków publiczności.

Ale Koloman radował się wielce, że odnalazł przyjaciela.

— Sługa! sługa! — przyjął go Hamlet wyniośle, acz w tem powitaniu brzmi spora doza życzliwości. Sługa, Kolomanie. Nakoniec więc i ty przyszedłeś!

— Nie wiedziałem, że to ty ukrywasz się pod tym pseudonimem — tłumaczył się Koloman.

— Tyś tego nie wiedział? Jest to drobne ubliżenie właściwie, bo jakże można czegoś podobnego nie wiedzieć?... Rak! Gdzie jest Rak? Popraw mi płaszcz! Czy nie widzisz, że się wstążka przekręciła? Gdzież znów pudełko z pudrem?

Kum Rak przybiegł coprędzej z pudrem. Banyavary porzucił w tej chwili swych gości, podszedł do zwierciadła zawieszzonego na ścianie i począł twarz pudrować.

Balvandy ośmielił się zwrócić mu uwagę, żeby się tak nie bielił, bo będzie wyglądał jak gipsowa figura.

— Ah, co się pan znasz na tem!

Tak się rozprawił krótko z Balvandym, który był przecież wielkim jego protektorem; ale bo też w trakcie roli niech się nikt nie waży robić uwagi aktorowi, jeśli mu jest miłym życie.

— A zatem po przedstawieniu, kochany przyjacielu. Teraz muszę się spieszyć. Adieu!

I sięgnął Hamlet śpiesznie po swój biret, porzucił przyjaciół i szybkim krokiem puścił się

w drogę, jeśli sobie dobrze przypominam, do Anglii.

Balvandy śmiał się serdecznie, a rzuciwszy jeszcze w przelocie Ofelii kilka obowiązkowych komplementów, przeprowadził swego młodego Telemaka napowrót do sali.

— Aleście też niedługo tam popasali! — ozwała się staruszka. — Przypuściłoby można, że was wypędzono ze sceny.

— Bo też tak rzecz się ma istotnie, — przemówił Balvandy. — Póki duński królewicz nie upora się z tymi wszystkimi ludźmi, którzy są tam na scenie i niepozabija ich wszystkich po kolei, nie przyjmuje on nikogo. Szczęście jeszcze, że od nas nie rozpoczął swej rzezi.

— Ah, więc on taki dumny? — wymówiła matrona — ten komedyant!

— Dlatego właśnie, że jest komedyantem, bronił go Balvandy. — O bo to wielki pan taki wędrowny aktor! Sam czyni się tem, czem być pragnie. Szturmem zdobywa sobie kraj swój i kraj ten stanie się jego własnością, dopóki sobie w jego miejsce nie podbije innego. On się nie prosi uniwersyteckich doktorów o dyplomy. Dyplom nosi we własnej piersi, w duszy, w głosie. Haracz płaci mu świat cały, a i wtedy jeszcze nawet pozostaje jego dłużnikiem. A on to wie wybornie... On żyje sławą i wieczną nadzieją. Nie przyjmą go życzliwie w jednym miejscu, idzie dalej, szuka sobie

sobie innej areny. Nie dba o to czy zarobi, nie lęka się się strat nigdy. Jest uwielbianym człowiekiem, a tem samem szczęśliwym. Dokonywa on pracy, za którą los płacić zaraz mu winien; bo innej późniejszej zapłaty dać mu nie może. On opuszcza przecież dom rodzinny, utartą życia drogę, po to, by tułać się od miasta do miasta i głosić żywe słowo. A cóż on głosi? Uczucie sprawiedliwości, ideał, poezją szlachetne porywy. Arystokracją uczy kochać język ojczysty, lud, ciemne pospólstwo, obeznaje z historią narodu. O, ten wędrowny komedyant sam jeden czyni więcej, niż ksiądz, nauczyciel sędzia, władze komitatu i akademie uczonych razem wzięci... Dlatego to ja tak przepadam za wędrownymi komedyantami i szczerze ich wielbię, gdziekolwiek ich napotkam.

Temat ten zazwyczaj porywał barona. W zapale swoim nie spostrzegł bynajmniej, jak dwojgu z pomiędzy jego słuchaczy zamigotały oczy iskrami pod tych słów jego wrażeniem: jednym z nich był Koloman, drugą Cilli.

Babka pośpieszyła wrażenie to ochłodzić uwagą:

— To prawda, że taki wędrowny komedyant jest wielkim panem, póki młody, póki go lubią; ale co wówczas, gdy się zestarzeje?

— Prawda, tylko że on nie starzeje się nigdy.

— Cóż więc robi, aby nie zostać starym?

— Pomaga sobie. Skoro spostrzeże, że siły jego słabną, przyzywa do pomocy kogoś, co go podeprze w dźwiganiu brzemienia; a tym kimś jest wino. Pije, kiedy mu źle się powodzi; gorzej mu idzie, pije więcej; aż w końcu pije tyle że topi w winie całe swe życie i umiera. Ale nie dopuści, by się miał zestarzeć...

I z temi słowy Balvandy napowrót już przeszedł w błazeński swój humor, w którym trudno odróżnić u niego poważne słowo od ironii. Pośpiewując odwrócił się do cygana, co stał po za nim, by mu odebrać z rąk skrzypce, na których na intencją nadzupana począł wygrywać waryacje na temat „*O, du lieber Augustin,*“ nie troszcząc się ani trochę o to, że tylko pomalowana płachta odzierała go od kraju, kędy Hamlet ostrzy miecz, którym ma zamordować Poloniusza i klnie na czem świat stoi — teraz już nie ducha duńskiego króla, ale Balvandy'ego za to, że w międyakcie może grać takie głupie piosenki, kiedy tu daleko właściwszą byłaby jakaś ponura symfonia.

Dwie pary oczu wszakże poglądają przed siebie nieruchomie, wpatrzone, zda się, w przestrzeń gdzieś głęboko — to oczy Kolomana i Cilli... O czem też oni myślą?

Od tego dnia Banyavary codziennym stał się gościem w domu pani Jenöi. Pozostawmyż mu ten pseudonim, skoro go sam sobie obrał.

Staruszka dawnego kolegę swego wnuka przyjmowała z szczerą serdecznością. Bo też Banyavary umiał być przyjemnym gościem. Ilekroć zaproszono go na obiad lub wieczerzę, miał zawsze tyle wesołych anegdotek na zawołanie, że kuzynek Beni ani na chwilę nie mógł przerwać śmiechu. Samą gospodynię rozśmieszał nieraz. A ileż to pięknych poezyj umiał deklamować! Serce rosło, słuchając tych deklamacyj. A dopieroż kiedy począł mówić i opisywać ciężkie walki, które mu staczać przyszło na początku karyery, a po nich to nagłe, oślepiające powodzenie! Jak odrazu stał się ulubieńcem publiczności, jak koledzy w zawodzie w jednej chwili przy nim skarleli, jak w Vasarhely na cześć jego bito we dzwony, a w Szegiedynie na przybycie jego strzelano z moździerzy, jak go przyjmowały całe banderye, kiedy przyjechał do Miskolcz, jak w przeciągu jednego dnia stanął na najpoufalszej stopie z dwunastu magnatami, którzy żądali, by im mówił po imieniu... Jeśli z tego wszystkiego choć połowa jest prawdą, to i tak już wiele.

Staruszka kilkakrotnie na cześć tak miłego gościa zaprosiła całe towarzystwo aktorów do siebie na obiad; raz nawet wniósł kuzynek Beni, by i barona Balvandy zaprosić wraz z nimi, skoro tak się kocha w aktorach; ale wniosek ten odrzuciła pani Jenői, wierna swej zasadzie.

W domu swoim nie przyjmowała ona nigdy

nikogo, co należał do tych trzech stanów: oficerów, księży i magnatów.

Była tego zdania, że w prostym szlacheckim domu, gdzie jest panna na wydaniu, powinien mieć dostęp taki tylko mężczyzna, o którym przypuszczać można, że mógłby się ożenić.

Ależ aktor?!

To znów rzecz inna! to plemię ledwie cierpiane tylko. O nim wie każdy, że z łaski tylko jest przyjmowanym i on sam czuje, na jak nie-dościgłej stoją tu nad nim wyżynie. To coś w rodzaju nauczyciela muzyki. Któżby go wliczał do mężczyzn?

Dla Cilli wszakże opłaciłoby się istotnie wprowadzić w dom jakiego nauczyciela śpiewu, bo ma głos, jakiego znaleźć nie łatwo. Ale po co jej to? Jej mąż nie będzie przecież organistą.

Raz, kiedy właśnie towarzystwo aktorów było na obiedzie, kuzynek Beni wygadał się z tem, że Cilli śpiewa ładnie. Panie poczęły prosić, błagać dopóty, dopóki nie zniewoliły jej do zaśpiewania jednej z piosnek swego repertuaru.

Długo opierała się, zarumieniona, pomieszana, aż wreszcie uległa.

— Pan Banyavary ci zaakompaniuje; przecieź śpiewaliście niegdyś razem.

Banyavary wziął gitarę i rozpoczął znaną dziewczecze alpejską piosenkę; Cilli nabrała odwagi i wkrótce poczęła wraz z nim już śpiewać; a śpiewała tak pięknie, z takim uczuciem, z takim wdziękiem, że po skończonej pieśni całe towarzystwo z zapalem uderzyło w dłonie.

— Pani — rzekł dyrektor — nie śmiem mówić, bo powiedziałbym może tak wielką pochwałę, iż ona obraziłaby panią.

Ale babka dumną była z tego powodzenia.

— Nieprawdaż, że i my coś umiemy, czemu i państwo nawet przyklasnąć możecie!

Ależ, piękna Cecylko, to nie powód jeszcze, żebyś była tak smutną, tak strasznie smutną!...

.....

Nakoniec nadeszła chwila, w której trupa aktorów, ukończywszy szereg swoich przedstawień, zamierzała puścić się na przeciwległy kraniec kraju, nowe zdobywać sobie światy.

Zapowiedziano ostatnie już przedstawienie na benefis dyrektorowej.

Najmocniej wzdychał nad tem Beni, który rozpływał się w platonicznych efektach dla tej pięknej pani. I już nie ma jej widywać odtąd! Może już nie ujrzy jej nigdy.

Gdybyż to przynajmniej było lato, żeby można w ogrodzie uwić ładny bukiet i podczas benefisowego a zarazem ostatniego przedstawienia zadokumentować nim w mowie kwiatów to ubó-

stwienie, które spoczywa gdzieś na dnie przedpotopowych pokładów jego serca; ale to zima!...

Babka wszakże posiada słynne z swej piękności żółte fijołki, których jej zawsze zazdrościło całe miasto, przepyszne, pełne fijołki żółte, z różowawą obwódką u brzegów liści, co w tej porze właśnie poczynały rozkwitać; w domu jej na każdym oknie było pełno tych pięknych kwiatów, ku zdumieniu i gniewowi przechodniów. Bo babka nie dawała nigdy nikomu, ani z przyjaciźni, ani na największe prośby bodaj jednego z tych gorliwie strzeżonych fijołków; ona tylko chciała się nimi módz popisywać w całym mieście.

Kuzynek Beni wpadł na myśl szalenie śmiałą zrabowania tego nietykalnego rodzinnego klejnotu, uwicia zeń bukietu i ofiarowania go pani dyrektorowej!

Obmyślił sobie cały plan tej korsarskiej operacyi. Skoro razem pójdą wszyscy do teatru, kuzynek Beni spostrzeże nagle, że zapomniał w domu chustki do nosa, bez której ani sposób mu się obyć; mama przeto wyda mu klucz od pokojów, który zabiera zawsze z sobą; on powróci, odetnie z każdej doniczki po jednym fiołku; potem okaleczoną stroną odwróci doniczkę ku ulicy i matka nie będzie mogła spostrzedz szkody. Wtedy zaś pójdzie wprost już

na scenę, wręczy pani dyrektorowej bukiet i dopiero wróci do matki.

Tak sobie wszystko obmyślił i zdecydował.

W dniu tym wszyscy wybitniejsi członkowie towarzystwa aktorów zaproszeni zostali na pożegnalny obiad do babki.

Dyrektor dziękował wielce patetycznie w imieniu kolegów za serdeczną gościnność jakiej tu doznali, poczem gospodyni zapewniała, że gdyby tu kiedykolwiek mieli przybyć jeszcze, mają dom jej uważać za swój własny.

I Cilli na pożegnanie zaśpiewała im jeszcze piosenkę.

Gdy śpiewać przestała, wszystkim w oczach stały łzy... Ale bo też jak śpiewała Cecylka!

Następnie pożegnali się i wyszli.

Koloman odprowadził swego przyjaciela Banyavary do samego jego mieszkania, a babka i Cilly z ganku poglądały za nimi, póki ich tylko dojrzeć mogły. Kuzynek Beni zaś ustawił sobie w oknie lusterko i patrzył za nimi, póki nie zniknęli na zakręcie ulicy.

A potem poszło wszystko tak, jak sobie z góry wszystko obmyślił.

Chustka została zapomnianą w domu, powrót podstępnie dokonany, kwiaty skrytobójczo poobcinane, ślady zbrodni ukryte, bukiet zaś potajemnie odniesiony i wręczony przedmiotowi uwielbień, który podziękował zań gorącemi sło-

wy i wynagrodził seladona równie gorącym uściśnieniem ręki.

A, gdybyż przynajmniej na tych gorących słowach i na tym gorącym uścisku ręki wszystko się było skończyło!

Ale ona uczyniła więcej, coś, z czego byłby ją z ochotą zwolnił kuzynek Beni.

Kiedy wyszła na scenę, u piersi miała przypięty bukiet z żółtych fijołków.

— Niech wszyscy diabli! — mruknął Beni w rozpaczy. — Kochana dyrektorowo, co też zrobiłaś! Przecież ja nie na to dałem ci ten bukietek fijołków, żebyś go tu wynosiła na scenę. Mama zobaczy go i natychmiast pozna, że to z jej kwiatów, bo w całym mieście nikt nie ma takich. Już mu się poczyna przyglądać. Gdybyż choć tylko dyrektorowa nie podeszła zbyt blisko do kinkietów, żeby mama dokładnie nie mogła przypatrzeć się kwiatom! Ah, żeby też odpięła ten bukiet?

Ale dyrektorowa grała przez cały akt z tym bukietem. To też biedny kuzynek Beni nie rozumiał ani słóweczka z całego aktu, duch jego bowiem zajęty był tylko wielkiem przestępstwem, które popełnił, a które niebawem na jaw wyjdzie. Jak mu się wtedy uda ujść z matni?

Po pierwszym akcie przecisnął się przez tłum do mamy, by z bliska śledzić, czy się czego nie domyśla? A kiedy każdy robił uwagi

nad odegranym aktem i on dorzucił swoją wśród innych:

— Jakie też prześliczne robione kwiaty mają te aktorki, możnaby je wziąć za prawdziwe.

I nie małą ulgę przyniosło sercu jego zdumienie, które wybiło się na twarzy matki, niemogącej pojąć żadną miarą, jakim sposobem ktoś w ten sposób wyrażać może zdanie swe o nowej sztuce!

Mama nie, ale to nie zgola nie spostrzegła.

Tymczasem i akt ostatni się skończył, poczem całe towarzystwo zaśpiewało chórem pieśń publiczności ulubioną: „Okręt ślizga się po falach“. Na zakończenie dyrektor, w narodowym węgierskim stroju, miał do publiczności rozrzucającą mowę, której jedyną wadą była zbyt długa.

W każdym razie jednak zakończył się świetnie cykl przedstawień w miasteczku K., mimo uchylonego abonamentu... Na ulicy powtarzano jeszcze tu i owdzie zwroćkę pożegnalnej pieśni. Kuzynkowi Beni tak jakoś dziwnie było na sercu, taki był szczęśliwy! Bukiet jego w czasie pożegnalnej pieśni figurował ciągle; mama jednak, to było widocznem, nie poznała swoich fijołków. To też we śnie roily mu się same jakieś piękne rzeczy i zbudził się bardzo późno.

A i wtedy jeszcze prawdopodobnie nie byłby się zbudził, gdyby nie był posłyszał głosu babki.

A głos to był nabrzmiały oburzeniem, gniewem.

— Przeklęty, nędzny motłoch komedyancki! Bodajby jasny piorun uderzył w całe lotrowskie gniazdo!

Śliczna historia! Teraz zapewne spostrzeżoną została kradzież fijołków — pomyślał sobie Beni, chowając się po za kołdrą, jak za obronnym szańcem.

Babka jak huragan wpadła do pokoju, drzwi zostawiając za sobą szeroko otworem.

Ku swemu niemałemu zdziwieniu wszakże zauważył Beni, że kroki te hałaśliwe nie zmierzają w kierunku jego łóżka, ale wprost ku biurku Kolomana, który tam od rana już siedzi nad nauką, niepomny tego, że się naraża na wyrośnięcie w mózgu kości.

A kiedy Beni trwożliwie zdecydował się wreszcie popatrzeć przez poręcz łóżka, spostrzegł, że matka nie trzyma w ręku doniczki z kwiatami, ale list jakiś otwarty. Twarz babki, która zazwyczaj była czerwona, teraz w gniewie przybrała fioletową barwę.

— Czytaj! czytaj to! — krzyknęła nad głową Kolomana i rzuciła list przed niego.

Koloman przeczytał go, a potem smutnie opuścił głowę.

Był to list pożegnalny od — Cilly.

Ulubione jej dziecko wyjeżdża z komedyantami — jako teatralna księżniczka, jako narzeczona aktora, jako męczennica dla sztuki i na wieki odtrącona od swej rodziny: — tak pisała sama do babki w tym liście.

Nie powiedziała o tem postanowieniu ani słówka nikomu. Nie zabierała z sobą nic, prócz jednej tej sukienki, którą miała na sobie, i tak uciekła z domu...

Kiedy to wszystko uprzytomniła sobie babka, nie umiała powstrzymać się od łez i z głośnem też łkaniem rzuciła się na kanapę.

--- Zhańbiona jestem, zniesławiona na zawsze! Wystawiona na pośmiewisko, na szyderstwo świata. Zamordowana jestem, pogrzebana na wieki!

Kuzynek Beni przeląkł się tem śmiertelnie; wyskoczył coperędzej z łóżka w długiej swej noonej koszuli i jak duch stanął przed matką.

— Mamo, śliczna, kochana mamó! Na miłość Bożą nie umieraj tylko! Cilly! Przynies prędzej opodeldoku!

— Idź do kata z twoim opodeldokiem! — zawołała babka, którą płacz gwałtowny w tem większą jeszcze wprawił wściekłość. — Nie wrzeszcz darmo, nie wołaj Cilly. Czy nie wiesz jeszcze, że uciekła z komedyantami?

Nowy przestrah dla Beniego, który natychmiast począł się ubierać, zapominając już całkowicie o własnym kłopotcie.

Kolomana przejął smutek głęboki. Coś — sam nie wiedział co właściwie — tak go bolało strasznie. Czy to, że ta dziewczyna, którą tak serdecznie lubił, opuściła tak dom bez jednego słowa pożegnania? Czy to może, że ją uprowadził jego dobry przyjaciel? Czy myśl może o tem burzliwym życiu, co ją czekało?.. A może też bolało go to, że on, poeta, nie miał dość siły w sercu na to, do czego ta słaba istota miała dostateczną odwagę: na rzucenie się w pierwsze szeregi ofiar całopalnej narodowej sztuki... Ona już wybrała i zdecydowała się, gdy on tymczasem wahał się jeszcze i sposobi do tego, by zostać wielkim panem i zrobić świetną karierę.

Babka uderzyła w kodeks praw, rozłożony na stoliku.

— Słuchaj! Czy w tej książce znajduje się paragraf, któryby taką krzywdę mścił i dawał za nią zadośćuczynienie?

— Nie — odpowiedział Koloman.

— Nie! Więc niech w takie prawa uderzy grom z nieba!

A ponieważ, jak na to, grom nie chciał posłuchać wezwania, przeto babka pochwyciła samą książkę i oisnęła nią z całej siły o podłogę.

Koloman schylił się, aby pozbierać z podłogi kartki z książki, które rozleciały się dookoła.

Wtedy babka skoczyła ku Beniemu, który dziś jakoś żadną miarą nie mógł przywdziać na nogę buta.

— Ty! Słuchaj, tyś już przecie *mężczyzną!* Tyś urzędnikiem komitatu; zasiadasz w sądzie komitatu. Ty masz obowiązek dognać ich i tu sprowadzić.

— Ja? — wybąkał kuzynek Beni; a potem chwycił w największym pośpiechu za swą wutowaną czapkę i z butem nawpół włożonym, kulejąc, wyniósł się tylnymi drzwiami z pokoju. Nigdy chyba twarz ludzka dosadniej nie wyrażała przerażenia.

Babka, patrząc za nim, śmiała się, mimo swego gniewu. Obie pięście zacisnąwszy, groziła mu niemi, a równocześnie śmiała się konwulsyjnie.

Potem usiadła na kanapie i milczała. Milczała długo, patrząc nieruchomym wzrokiem przed siebie.

Koloman zajęty był składaniem rozrzuconych kartek kodesku. Babka z pod oka spoglądała na niego.

— Czy tam przeszperałeś już tę twoją książkę? — spytała go naraz.

— Już.

— A czy długo jeszcze musisz się do tego przyspasabić?

— Już jestem całkowicie przygotowany.

— Kiedyż jedziesz składać egzamin?

— Skoro babka chce, choćby jutro.

— Dobrze. To mi jest na rękę. Nie pozostawaj dłużej w domu. Skoro złożysz egzamin, wstąpisz do adwokata Korczy jako patuarysta. A gdy i u niego przejdiesz praktykę, zostaniesz juratem u nadżupana. Potem złożysz adwokacki egzamin i pozostaniesz w Peszcie. Nie powiniś już wracać do domu. Skoro zechcę się z tobą widzieć, będą umiała odszukać cię zawsze. A po złożeniu adwokackiego egzaminu będziesz mógł obrać sobie karierę jaką zechcesz. Możesz być panem lub trutniem. W pierwszym i drugim wypadku zawsze zaopatrzę cię w pieniądze. Dwóch karier tylko nie można sobie obrać zgodnie z moją wolą: nie możesz być komedyantem, ani poetą. O nich zaś odtąd już nie wspomnę — ani o dziewczynie, ani o jej uwodzicielu. Dla mnie oni już nie istnieją, zapominam o nich... Gdybym posłyszała kiedy ich imię, spytam: „Kto to był? Ja o tych ludziach nigdy nie słyszałam.“ Tobie zaś zakazuję z nimi bodaj jedno zamienić słowo, czy z tym rzekomym przyjacielem, czy z tą kobietą. A oni przyjdą kiedyś do ciebie żebrać! Gdybym wszakże miała się dowiedzieć, żeś choćby je-

dnym kawałkiem chleba rzuconego z litości uratował które z nich, gdy się wiło w męczarniach śmierci głodowej, lub żeś się ulitował nad chorym w kołysce ich szczeniakiem, lub żeś ich bronił jednym słowem jakimś, gdy ich lżono — toś na wieki już wygnany z mego domu. Popatrz, rozejrzyj się dobrze... Wszystko co posiadam, w dziewięciu dziesiątych własną zdobyłam pracą; dobra, majątek, wszystko to tobie pozostawiam. Biednemu twemu nieporadnemu stryjowi nie dasz nic z tego, oprócz dożywnego utrzymania. Jeśli zostaniesz poważnym w świecie człowiekiem, jeśli wyjdiesz na drogę dostojęństw, za życia mego jeszcze oddam w twe ręce majątek cały; a jeśli byś stał się rozrutnikiem, trutniem, nie będę stawiała ci w niezem tamy, nie ściągnę na ciebie sądowego sekwestru; gdybyś wszakże kiedykolwiek miał zniżyć się do tych ludzi, odtrącę cię i pozwolę z krwią zimną byś ginał, byś się zmarnował. Nie żądam, byś mi dawał słowo, byś poprzysięgał. Ale wiesz dobrze, że ja dotrzymuję zawsze co przyrzekam... To ci pragnę przypomnieć i wbić w pamięć!

Koloman podszedł do babki, ujął jej rękę, do ust ją przycisnął i wymówił półgłosem te słowa:

— Wyjadę dziś jeszcze!

CZEGO SIĘ UCZĄ „PATUARYŚCI“.

Po upływie tygodnia był już Koloman w prześiąkłej atramentową gorzko-kwaśną wonią kancelaryi pana Korczy.

Pierwszym, który go na wstępie zdusił w serdecznym uścisku był Biroczy. Powiedział mu, że się tu już go spodziewano; pryncypał otrzymał nie tylko jego zgłoszenie się, ale i list polecający od babki, który w dodatku jeszcze był przyzwoicie wywatowanym, zawierał bowiem sto guldenów.

Jeszcze nie mogli nagadać się dowoli, kiedy już wszedł pan Korcza. Tego więcej jeszcze ucieszyło przybycie Kolomana.

— Ha, ha, *domine frater!* — zawołał, klepiąc go po ramionach; — więc się przybyło? Egzamin czy już zdany?

Koloman pospieszył wyjąć z kieszeni uzyskane świadectwo.

— Ale wiem, wiem: *Eminens ex omnibus*. Tak jakbym widział. Świadectwo z Patak?

— Tak jest.

— Czy byłeś tam?

Koloman zrobił okropnie obrażoną minę. Boć to obraza nie na żarty, tak dla niego jak dla Patak.

Korcza wyśmiał go za to, że się czuł obrażonym.

— No, dobrze już, dobrze, *domine frater*, nie ma się o co tak gorącować. Patuarysta nie powinien się o byle co obrażać. Dla mnie to rzecz obojętna jakżeś tam studyował i co umiesz; u mnie nie będziesz miał nic innego do czynienia nad następujące funkcyje: spać rano pokąd ci się zechce, kazać sobie pięknie fryzować włosy, w południe regularnie pojawiać się na obiad, po obiedzie grać w bilard, a wieczorem iść do teatru, lub gdziebądź indziej na jaką zabawę. Będziesz miał pokój oddzielny, osobny klucz od bramy; tylko proszę, byś mi nocą nie śpiewał wracając do domu i nie dał sobie rozbić gdzie głowy w jakiej bijatyce. Pieniądze masz u mnie; rozporządzajże sobie niemi jak zechcesz, a potem zawsze tylko podyktuj mi na co je wydałeś. Babka przysze tyle, ile ci będzie potrzeba. A jeśli będziesz miał ochotę pisać, czy coś takiego robić, to powiedz mi tylko, a ja ci zawsze wyszukam jaką robotę; gdyby

ci się jednak ta historya sprzykrzyć miała, oddaj to poprostu jemu, a on przepisze. Mój hajduk będzie cię obsługiwał; tylko bardzo cię proszę, żebyś mi go codzień nie spałał.

Koloman dopuścił, by mu się cała ta ładna instrukcyja wylała na głowę i nie przerwał jej ani jedną uwagą; znał on już dziwaczne zwyczaje swego pryncypała.

Ale natomiast zapoznał go niebawem ze swemi nawyknięciami...

Naprzód wstawał najpierwszy w całym domu i zanim zbudził się hajduk, on już oczyścił sobie suknie, uprzątnął w pokoju, a kiedy pryncypał pojawił się w biurze, on już od dawna siedział przy swem biurku i pracował. Nie ucęszczał też na żadne zabawy ani hulatyki; przez cały dzień siedział w domu.

Rozkoszował się samotnością.

Bo to pierwszy krok na drodze do samoistności, gdy człowiek dojdzie do posiadania osobnego pokoju.

Drugim dopiero jest własny kawałek chleba.

Nakoniec osiągnął Koloman to szczęście, do którego tęsknił tak dawno, że miał mały własny, cichy kącik z oknami wychodzącymi na ogród, gdzie nań nikt nie zwraca uwagi, nikt nie podpatruje, nie śledzi, gdzie może oddawać się tej rozkoszy, którą samotność darzy bogate umysły.

Gdy ma czas wolny, gdy się upora z biurową pracą, może się schronić do swej małej izdebki, może się zamknąć na klucz i z głębi swej szuflady wydobyć ukryte w niej skarby, te kłatwą obarczone poezye, może je odczytywać głośno, może je deklamować, zapalać się, unosić, płakać — bo nikt go nie widzi. Może pisać nowe poezye, dramata, komedye. Może grzmieć w tonie wysokiego patosu, śmiać się głośno, tworząc humorystyczne sytuacje. Nikt nie szpieguje go i nie zapyta: czyś ty oszalał?

Czasami znów, gdy nim artystyczna owładnie wena, ołówki i farby ukazują się na stole. I maluje wtedy idealne krajobrazy, okropne sceny z własnych dramatów, fantastyczne postacie, którychby się wstydzil, gdyby je kto miał zobaczyć. To też on ukrywa je starannie. Za dnia, gdy pokój jego jest otwarty, niema w nim śladu ołówków, farb, obrazów lub pisma.

Nikt nie przeczuwa, nie domyśla się tajonych jego radości!

W kancelaryi kopiuje akta z tak prozaiczną pilnością, jak maszyna. Udaje, że te procesa zajmują go niezmiernie i prowadzi protokoły z taką pilnością, jakby go bawiły niewymownie zatargi dwóch chłopów, których ostatecznym wynikiem najczęściej bywa to, że żaden nic nie dostaje. A bywają też i takie procesa, w których obie strony dostają... po grzbiecie.

Przy takim systemie życia, setka przysłana na pierwszy miesiąc przez babkę, wciąż spoczywała nietknięta u pana Korczy, i nie zażądał z niej dotąd i cwancygiera. Pan Korcza myślał sobie: musi mieć jeszcze pieniądze z domu i umie się dobrze rządzić.

Raz wszakże trzeba było w jakimś procesie niezmiernie nagle przekopiować dużo aktów, na co strona przeznaczała dwadzieścia guldenów, pod warunkiem wszakże, aby praca ukończoną była do następnego rana. Pan Korcza zawiadomił o tem swych patuarystów i zaproponował im, że weźmie z sądu kilku pisarzy, ażeby im w przepisywaniu dopomogli. Niemaló jednak został zdziwiony, gdy mu na to odpowiedział Koluman, że oni obaj, Aleksander i on sami temu podołają; poco się dzielić? I przepisywali też akta do samego rana, a następnie podzielili się dwudziestu guldenami.

Teraz dopiero pan Korcza począł lepiej poznawać swego praktykanta.

Natychmiast też spostrzeżeniem tem podzielił się z babką.

Na skutek tego otrzymał niezadługo Koluman list z domu, opatrzony pięciu pieczęciami, zawierający sto guldenów i następujące słowa:

„Ty bałwanie dumny!

„Więc żadną miarą nie chcesz tknąć pienięd-

dzy, którem ja panu Korczy posłała dla ciebie, abyś nie potrzebował prosić i składać rachunków i dziękować? Dobrze, więc teraz posyłam ci je wprost do rąk twoich własnych. Nie potrzebujesz składać z nich rachunku, ani mi za nie dziękować.

Twoja przywiązana biedna babka

Elżbieta“.

Cóż Koloman zrobił z temi pieniędzmi?

Jedyną przyjemnością jeszcze dla babki stanowił kwiatowy ogród. Na wiosnę poczyniała się już pora tulipanów, będących dotąd jej dumą. Od przeszłego roku wszakże, kiedy zobaczyła w ogrodzie nadżupana, przepiękne Wellingtony, tulipany osadzone na wysokiej łodydze, o kielichu różowym, z zielonemi obwódkami, w ciemno-czekoladowe, brunatne i żółte pasy, radość jej była już zamaconą. Ale te tulipany sprowadzało się tylko z Harlem i sztuka kosztowała pięć guldenów. Tak wielkiej sumy babka nie wydawałaby nigdy na swoją własną przyjemność.

Koloman chciał babce zrobić niespodziankę. Aby jednak niespodzianka była jeszcze zupełniejszą, posłał sprowadzone dwadzieścia sztuk tulipanów Beniemu z tem zaleceniem, aby owe Wellingtony potajemnie zasadził na grządkach mamy.

Kuzynek Beni do tego rodzaju figlów był sprawny. Raz przeto, kiedy okropny deszcz padał, nie potrzebując się lękać, że go matka złapie w ogrodzie, zeszedł sam, wykopał dwadzieścia dawnych zwykłych tulipanowych cebulek z klombu, a na ich miejsce zasadził Wellingtony. Ażeby niespodzianka przed czasem na jaw nie wyszła, ukroił sobie chleba i zjadł z nim pocziwiec wykopane cebule. Wprawdzie miał trochę boleści żołądka po tej uczcie, ale jakoś to samo z siebie przeszło.

Jakże wielką była jednak jego radość, kiedy naraz pewnego dnia staruszka dostrzegła rozwijające się wspaniałe Wellingtony, o których istnieniu w swoim ogrodzie nic zgoła nie wiedziała.

Oczywiście kuzynek Beni śmiał się i skakał bez przerwy, kiedy go wzięto na spytki, skąd się tam dostały.

Następną pensję miesięczną otrzymał Kolo-man wraz z takim listem:

„Ty niegodziwocze!

„Myślałeś, że nie odgadnę, że i w tem była twoja głowa (tu, niby hieroglif egipski, przylepiony był starannie zasuszony kielich Wellingtonii). Ach! jakiś ty dumny! Toś odziedziczył po swym ojcu, a on odziedziczył to po mnie. Ale mimo to gniewam się na ciebie.

Kochająca cię babka

Elżbieta.“

Gniewne te niby listy przychodziły odtąd regularnie, pełne miłości i dumy z wnuka, napełnione przytem grubiaństwami i pieniędzmi.

Odpowiedzi Kolomana za to bardzo były krótkie. Proste podziękowanie. Nie umiał pochlebiać.

A przytem miał coś do tajenia.

Każda troskliwa matka co syna puszcza samego w odmęt miast wielkich, zazwyczaj zaleca mu uroczyście, by strzegł się pięknych uwodzicielek. Iluż się jednak ich strzeże? To pewna tylko, że żaden nie przyzna się do nieposłuszeństwa.

Kolomana zaś odwiedzały co dnia najniebezpieczniejsze ze wszystkich uwodzicielek i co dnia po północy dawały mu kosztować olimpijskich rozkoszy, których zaznać niedobrze jest ludzkim mózgom — Muzy.

Koloman podniósł bunt przeciw zakazowi babki i to właśnie musiał przed nią ukrywać. Zszedł go na tem wszakże jego pryncypał i on tylko jeden świadomym był tej tajemnicy. Pilność jego w kancelaryi była wzorową, o jego zręczności wszakże w rozwiązywaniu kwestyj prawnych nie można było tego samego powiedzieć. Pan Korcza zamierzył jednak z czasem i w to go włożyć. Skoro upłynął czas praktyki Biroczy'ego i gdy ten przeszedł na notaryusza przy królewskim stole, pan Korcza począł po-

wierzać ważniejsze zajęcia Kolomanowi. Zadaniem jego było odtąd przyjmowanie odwiedzających adwokata klientów, udzielanie im objaśnień w sprawie ich procesów, a więc studyowanie tych procesów, wysłuchiwanie życzeń stron, następnie zaś powiadamianie o nich szefa, przyjmowanie deponowanych pieniędzy, kwitowanie z ich odbioru i prowadzenie kontroli tychże, co jest najniebezpieczniejszą jak wiadomo, próbą dla młodzieńca. Bo pisać wiersze i prowadzić rachunki są to dwie całkiem różne rzeczy. Za dnia być adwokatem, nocą poetą? — to trochę trudno. Jeden musi z czasem ustąpić miejsca drugiemu, jeden musi przepaść.

Pewnego dnia pan Korcza wyszedł za jakimś interesem, wymagającym koniecznie jego obecności; ponieważ robota trwała do południa, wyliczył przeto całą listę prac, które należało wykończyć, co sobie Koloman zapisał w dzienniczku.

— A prawda! — zawołał pan Korcza, zwracając z progu raz jeszcze. — Byłbym zapomniał zupełnie. Gdyby tu przyszedł młynarz Toth, o którym ci opowiadałem, że dopuścił się gwałtu przeciw hrabiemu Decsery, to muszę panu powiedzieć, że się już o sprawę jego ułożyłem z hrabią. Toth ma zapłacić 20 guldenów, ja zaś mam mu kazać odliczyć dwadzieścia pięć odlewanych, i na tem się rzecz skończy. Gdyby więc miał przyjść tu w tym czasie, proszę to z nim

załatwić *domine frater*. Hajduk niech go z sobą zabierze do drwalki i tam zaopatrzy. Ale sam musisz być przy tem, bo inaczej chłop gotów z nim się zmówić tak, że zacznie trzepać pusty wór zamiast jego skóry, a on będzie tylko przez ten czas krzyczał. Nie wypuść go póty, póki nie zapłaci; gdyby miał nie zapłacić kary, każ go zamknąć w komórcie i trzymać dopóty, dopóki ja nie wrócę do domu. Jeśliby zaś zapłacił, wydaj mu pokwitowanie na pieniądze; odwrotnie zaś Toth musi ci wystawić kwit na razy, które otrzymał. Zrozumiane? Tylko żeby mi z tego czasem nie wynikła jaka poetycka sztuczka!

Było to najwyższą pogardą u pana Korczy, nazwać coś „poetycką sztuczka“.

Zaledwie wyszedł z domu pan Korcza i nim jeszcze Koloman zabrał się do pracy, u drzwi ozwało się ciche pukanie; potem nastął jakiś szmer głośny za drzwiami, ktoś widocznie wycierał zawzięcie buty, kaszlał i krząkał, tak jak to czyni chłop, sposobiący się do wejścia z wielką ceremonią.

— Proszę wejść, proszę raz już wejść! — zawołał Koloman zniecierpliwiony.

Wówczas powolutku otworzyły się drzwi; jakaś postać w błękitnawym sukiennym ubiorze i ciężko podkutych butach, poczęła wciskać się przez nie, aż wreszcie wsunęła się do pokoju.

Po nadzwyczaj pokornych powitaniach i podziękach, przystąpił nowoprzybyły wreszcie do zapytania, czy pan obrońca jest w domu?

— Niema go w domu. Czego pan sobie życzysz?

Postać w wytartym dolmanie posiada twarz z uśmiechem chytrej uniżoności; zda się, że zawsze ma jakąś sztuczkę w zapasie, że sobie nad jej wymyśleniem łamie głowę. Stojąc u drzwi, odzywa się z miną prostodusznego głupca:

— Tak, proszę pana pokornie, bo to ja jestem Toth.

— O, już wiem. *Contra Decsery*. Czy pan przyszedłeś zapłacić?

— A tak, przyszedłem zapłacić.

— I coś dostać?

— A tak, dostanę coś ..

— A więc słuchajno, kochany ziomku, mój szef poruczył mi załatwienie całej tej sprawy. Masz dostać dwadzieścia pięć kijów.

— Aj, dwadzieścia pięć kijów? Bardzo proszę! O, pokornie za to dziękuję.

— Tak jak to zostało ułożonem. Ale ja uważam za niedorzeczność dokonanie tej kary; dosyć będzie jeżeli mi poświadczycie, żeście je otrzymali.

— Żem te kije otrzymał? A tak, rozumiem. Więc ja nie będę potrzebował ich dostać? O jaki

pan dependent jest dobry, jakie ma poczciwe serce!

— A więc tu jest wasze pokwitowanie. Czy umiecie pisać?

— Tak, cokolwiczek.

— No, więc prędko gryzmołcie swoje nazwisko. Bo gdyby mój szef miał powrócić do domu, toby wam z nim tak gładko nie poszło!

— Do licha, to się spieszymy!

Toth przystąpił do biurka i nakreślił pięknymi okrągłymi literami swe nazwisko pod dokumentem, w którym zeznaje, że w dniu dzisiejszym otrzymał dwadzieścia pięć kijów, w pełnem znaczeniu tego słowa.

— No, teraz zapłaćcie tylko tę trochę pieniędzy, a potem możecie sobie iść z Bogiem.

Wieśniak roześmiał się chytrze i potarł sobie brodę.

— Z tą trochę pieniędzy, to już wolę pocze-kać na pana obrońcę.

Koloman zirytowany rzucił pióro, którem właśnie podpisał był pokwitowanie za odebranie dwudziestu guldenów. To już prawdziwie chłopskie grubiaństwo! Nie móżdź odważyć się na powierzenie mu dwudziestu guldenów.

— Dobrze, skoro chcecie czekać na pana mecenasa to wychodźcież, hajduk was zamknie w drwalce, dopóki pan mecenas do domu nie

powróci. Taki mam rozkaz, możecie tam czekać do południa.

— Dziękuję pokornie panu za jego dobroć.

Koloman zadzwonił na hajduka; ten zgodnie z otrzymanymi instrukcjami, uprowadził z sobą, ozłowieka w wytartych sukniach. Niech się tam teraz w drwalce poci do południa, kiedy z niego taki błazen!

Ale pan Korcza daleko wcześniej, niż się spodziewano, powrócił po jakiś akt, który mu był potrzebny.

Koloman zawiadomił go, że był tu Toth, otrzymał co mu się należało, a tu jest pokwitowanie.

Pan Korcza nie spojrział na pismo i rzekł tylko:

-- Dobrze.

— Ale pieniędzy nie chciał nikomu innemu oddać, jak panu samemu i dla tego kazałem go zamknąć do komórki, dopóki pan do domu nie powróci.

— Dobrześ zrobił. — Ale niech go tu zaraz hajduk przywlecze, bo muszę wracać coprędzej. Czekają tam na mnie tacy panowie, których nie mogę narażać na zwłokę dla jednego głupiego chłopca.

Hajduk pojawił się natychmiast z więźniem, który z tym samym chytrym uśmiechem i tak samo uniżenie wchodził do pokoju, na którego

widok wszakże pan Korcza z przerażenia, aż przewrócił za sobą fotel.

— Więc tego *dominus frater* kazał obić! A! do licha! do licha! Toż to nie jest Toth młynarz, ale Toth właściciel dóbr Hodmező Vasarhely.

Pan Korcza począł sobie trześć czuprynę i ze złości a przerażenia kręcić się na jednej nodze.

Nakoniec rzucił się z wyciągniętymi ramiony na szyję panu Toth i ścisnął go, ścisnął bez końca.

— Nie gniewaj się pan, kochany, dobry panie Toth. Przebacz, bo to widzisz pan... — mówił z niezmierną pogardą — to poeta!...

Pan Toth uśmiechnął się tylko, ale Koloman sądząc, że się najlepiej obroni, skoro odkryje, że nie kazał bynajmniej bić pana Toth, wyznał, że pokwitowanie przyjął tylko za razy wymierzone „w zasadzie“.

— Co? — zawołał pan Korcza i uderzył z gniewem w pokwitowanie. — Toć ta obrona gorszą jest jeszcze niż obwinienie. Więc jak się okazuje, pokwitowanie jest fałszerstwem! *Dominus frater* przyznaje się zatem do tego, że za jednym zamachem popełnił fałszerstwo, oszustwo i zmawiał się ze stroną przeciwną?

Biedny Koloman otworzył oczy i usta szeroko, odkrywszy naraz w sobie tyle kryminalnych przestępstw.

Ale tu już pan Toth zainteresował.

— Nie krzycz pan, niema o co robić tyle wrzawy — wymówił i pochwycił za rękę pana Korcza. — Pokwitowanie mówi prawdę. Tu jest dowód. Niech powie hajduk, czym dostał lub nie, dwadzieścia pięć kijów.

— O, tak — zapewnił hajduk — Kiedy wielmożny pan stąd wyszedł, powiedział tak do mnie: chodź ze mną do drwalki Janoszu i zabierz kij z sobą. Ja tam w kancelaryi podpisałem pokwitowanie na dwadzieścia pięć kijów; gdybym ich teraz nie otrzymał, to z pewnością z tego powodu wynikłaby jaka nieprzyjemność albo dla tego poczciwego panicza, albo dla mnie. A więc wylicz mi te dwadzieścia pięć razy, ale nie bij mocno. I tak się też stało.

Pan Korcza w swem udęczeniu począł gwiźdać i dłońią uderzał wciąż w kolano.

— Ach, Boże, Boże! I każe mi go jeszcze w drwalni zamykać! pana Mateusza Toth, zamiast młynarza Macieja Toth! Czy wie *dominus frater*, że to jest najbogatszy pan w całym esongradzkim komitacie?

Koloman począł się bronić.

— Spytałem pana, skoro wszedł tutaj, czy przychodzi w sprawie z hrabią Decsery? Odpowiedział mi: „tak“. Czy przyszedłeś zapłacić? Również odpowiedział: „tak“. Czy ma co otrzymać? I na to potwierdzającą odebrałem odpowiedź. Powiedziałem, że ma otrzymać dwadzie-

ścia pięć kijów. Odrzekł mi na to: „bardzo dziękuję“.

Wszyscy trzej teraz poczęli śmiać się serdecznie, klient, pryncypał i hajduk.

Ależ miał zupełną słuszność ten poeta.

Pan Korcza dalszy ciąg swego łajania prowadził już po łacinie, a w gruncie udawał tylko, że łaje Kolomana.

— Tak, to prawda — mówił potem — że pan Toth przyszedł w interesie z hrabią Decsery; i to prawda, że przyszedł płacić i po raz trzeci prawda, że w zamian za to ma tu coś do otrzymania. Siadaj do stołu, *domine frater* i pomóż mi przeliczyć pieniądze. Może pan pozwolisz, panie Toth.

Pan Toth przystąpił więc i wyjął z uśmiechem, mrugając oczyma, z swego pugilaresu obwiązaną szpagatem paczkę, którą położył przed Kolomanem.

— Tu powinno być dwa tysiące sztuk pięcioguldenowych.

— Przelicz to, *domine frater*.

Koloman układał banknoty kolejną jeden na drugim. Cóż to za moc pieniędzy! Skończone... Pryncypał odebrał i przeliczył je sam ponownie.

Potem pan Toth wyjął z kieszeni drugą paczkę.

— A tu powinno być tysiąc sztuk dziesięcioguldenówek.

I te przeszły przez takąż samą kontrolę.

Po tych dwóch wystąpiła trzecia, czwarta, piąta i wiele jeszcze dalszych takich samych paczek, za każdym sięgnięciem po dziesięć tysięcy. Kiedy już wreszcie Koloman liczył z kolei dziesiątą, obejrzał się z trwogą, na czarodziejską kieszeń; z radością przecieź spostrzegł, że poczyna już zapadać.

Następną wyjął niepozornie ubrany człeczyna z temi słowy:

— A tu jest pięćset sztuk setek...

Pięćdziesiąt tysięcy guldenów!

Koloman pocił się nad tem przeliczaniem. Nowicyuszowi robi się strasznie gorąco, kiedy tak wielkie banknoty przesuwają mu się przez palce.

I to kończono wreszcie.

— A teraz jeszcze reszta. To już ostatnia paczka... Trzydzieści sztuk tysiącoreńskowych.

Teraz już pot ociekał Kolomanowi z włosów.

A jakże wielkim był jego tryumf, kiedy po dwakroć przeliczywszy te poważne papierki, w tonie, którym wynalazca woła: Eureka! — mógł zawołać:

— Tu jest nie trzydzieści, ale trzydzieści jeden sztuk!

Pan Toth nie był bynajmniej zdziwiony tym okrzykiem przeciwnie, odrzekł na to z przebiegłym, z góry już obmyślonym uśmiechem:

— Rzeczywiście. Wiem o tem. Ten zbywający tysiąc przecież ma poniekąd swoją historią. Jeżeli szanowny pan pozwoli, to mu historią tę opowiem. Za złożoną tu sumę nabyłem od jaśnie wielmożnego hrabiego Decsery pustę, leżącą między dwiema mojemi, stamtąd bowiem łatwiej mi będzie dozorować moje gospodarstwo. Dlatego też zamierzyłem przeprowadzić się do tamtejszego dworu. Jednej wszakże, wyznać to muszę, nie zauważyłem rzeczy, aż wówczas kiedy z żoną przyjechał obejrzyć nabyte dobra. Trudno, te kobiety mają zawsze przenikliwsze oczy, dopatrzają wszystkiego, i ona zobaczyła to natychmiast. Wyobraź pan sobie, naprost bramy dworskiej jest pagórek, a na tym pagórku, pośród czworobocznego ogrodzenia, krzyż marmurowy, który kazali tam wzniesić hrabiowie Decsery. Trzeba zaś panu wiedzieć, że ja jestem kalwinem. Mnie, coprawda, niewiele obchodzi religia innych i kłaniam się nawet katolickiemu księdzu, kiedy go spotkam na drodze. Ale jak tylko moja żona zobaczyła ten krucyfiks, dalejże puściła swemu językowi wodze; ona tego nie potrzebuje, i Bóg wie co tam jeszcze plotła. To też proszę pana mecenasa, ażeby zechciał nakłonić hrabiów Decsery, żeby ten drogi dla nich wizerunek zabrali sobie i do swoich dóbr przeprowadzili. Tak byłoby dla nas wszystkich lepiej.

— Dobrze, kochany panie Toth, — wymó-

wił pan Korcza — cała bieda w tem, że to będzie trochę trudna historia. To jest serwitut do dóbr przywiązany. I doprawdy nie mam wyobrażenia, jakim sposobem dałoby się ten krucyfix przenieść stamtąd? W wielkim tygodniu odprawiają zazwyczaj pielgrzymki do tej figury; potem na początku żniw i w niektóre święta...

— Co, jeszcze procesye! — zawołał z przestraszeniem pan Toth.

— A potem cały ten pagórek to ziemia poświęcona. Ktoby chciał stamtąd wywieźć krzyż, musiałby także wywieźć ziemię pagórka. A jakże daleko stamtąd do dóbr hrabiego Decsery? Cztery dni końmi. Tożby to hrabiego szalone kosztowało pieniądze!

— Tak, ależ na ten cel właśnie przeznaczam ten nadliczbowy tysiąc! — ozwał się mrugając oczyma pan Toth. — Tym tysiącem guldenów sądzę, że pokryją się koszta. O tyle przeto więcej nad cenę kupna gotów jestem zapłacić, jeżeli hrabia zechce zabrać swój krzyż. Tu z tej kotłującej mi głowę baby mam już krzyż dostateczny.

— A więc dobrze, spróbuję, — ozwał się pan Korcza z wielce poważną, zamysloną miną... Ale to rzecz niełatwa, o, bardzo trudna i nie mogę przyrzec nic pewnego.

— To zróbże mi pan to, proszę, a ja nie okażę się niewdzięcznym za tę przysługę, zapewniam.

— Będę usiłował. Może zechcesz pan zajść tu dziś wieczorem. A tymczasem, panie Kolomane, wygotuj mi pan tu plenipotencją adwokacką w tej sprawie; pan Toth ją wieczorem podpisze, a ja dam pokwitowanie na kwotę odebraną.

Pan Toth oddalił się wreszcie, po niezmiernych wylewach wdzięczności. Pan Korcza zamknął paki pieniędzy do żelaznej szafy, od której wielki klucz kładł zwykle w otwartą szufladę swego biurka, co miało ten ostateczny rezultat, jak gdyby wcale nie zamykał pieniędzy.

Uczyniwszy to wybiegł do opuszczonego interesu i oczekujących nań panów.

Skoro oddalił się pryncypał, Koloman począł dopiero przeglądać papiery. Pierwszym przedmiotem, który mu wpadł w oko, było coś zawiniętego w bibułę, coś okrągłego, płaskiego jak pieniądz. Niezawodnie musiał to położyć tu pan Toth, podczas nieskończonych swych podziękowań, jako wynagrodzenie dla patuarysty za trud podjęty.

Koloman rozwinął papier, z którego wysunął się dwugroszniak.

Czy to był żart ze strony tego bogatego dorobkiewicza, tego nieokrzesanego chłopca, czy też urzędowy charakter Kolomana cenił on rzeczywiście tak nisko?

Ależ to obraza, poprostu obraza!

I gdzież teraz biedz za nim, gdzie go znaleźć?

Ale prawda, przecież przyjdzie tu wieczorem. Do tej pory więc niech sobie tu leży ten dwugroszniak...

Kiedy tak wzburzony, zły niepomieranie przebiegał wielkimi krokami pokój, naraz u drzwi ozwało się znowu pukanie.

— Proszę.

Pukanie powtórzyło się.

— Ależ proszę!

Wciąż pukają jeszcze.

Któż to może być, u kata?

Biegnie do drzwi i otwiera je. Któż to być może, co wejść nie chce?

Pokorny, zgarbiony staruszek stoi we drzwiach; postać jego całą okrywa płaszcz niegdyś granatowy, dziś już płowo-żółty, o siedmiu kołnierzach. Kapeluszek zdjął już przed progiem i trzyma go w ręku; skąpe włosy z tyłu zaczesane są ku przodowi i tym sposobem silą się zakryć deficyt. Chudość twarzy zdaje się zwiastować: patrzcie, oto człowiek co się żywi chlebem łaski innych! Uniżony układ w zupełności harmonizuje z całą postacią. Wąs nawet jest krótko przycięty i pod nosem tylko pozostawiony bujniejszy kawałek, tak jakby i on błagał o przebaczenie, że się ośmielił urodzić wąsem.

Uniżony człowieczek wymówił z głębokim ukłonem:

— Pokorny sługa pański.

Koloman, na podstawie tak świeżego doświadczenia, postanowił sobie odtąd dla wszystkich ubogo ubranych interesentów być niezmiernie grzecznym i na skutek tego postanowienia odpowiedział jeszcze układniej:

— Najpokorniejszy pański sługa. Co pan rozkaże?

Skromny człowieczek podniósł dłoń do ust i wyszeptał wstydliwie:

— Czy nie mógłbym mieć zaszczytu pomówienia z panem mecenasem?

Koloman zdwoił swą uprzejmość.

— Niewymownie żałuję, ale niema go w tej chwili w domu.

Pokorny gość wszakże błagał w tonie biednego suplikanta, przychodzącego po zapomogę:

— A kiedyż mógłbym mieć szczęście zastać go w domu?

— Doprawdy, przepraszam najmocniej, ale czasu oznaczyć nie mogę.

Jegomość niepozornie ubrany trzymał wciąż w rękę kapelusz i stał na progu drzwi otwartych.

— Jaki interes wreszcie masz pan do mego pryncypała? Czego sobie pan od niego życzysz? — spytał Koloman, który rad już był drzwi zamknąć.

Uniżony człeczyzna, przechylając na bok szyję i tracąc ręce, wybąknął wreszcie:

— Cokolwiek pieniędzy, pokornie proszę.

No, tego wcześniej już mógł się co prawda domyślić Koloman. Na pierwszy rzut oka mógł poznać, że to jest jeden z tych wędrownych petentów, którzy codzień pojawiali się w biurze pana Korczy, naprzód prosząc o jaką pracę, a kiedy im powiedziano, że to niepodobieństwo, o jakąś małą choćby zapomogę.

Naraz przyszedł mu na myśl przeklęty dwugrosznik.

Poszedł do biurka i wrócił z miną wspaniałomyślną protektora do czekającego u drzwi staruszka.

— Proszę, proszę macie tu, kochany panie, trochę pieniędzy, — rzekł wciskając mu dwugrosznik w rękę; a teraz niech was Bóg opatrzy!

Staruszek przyjął dar z wielką wdzięcznością.

— Dziękuję pokornie za dobroć, mój panicu. Niechaj Bóg panu stokrotnie to wynagrodzi. Polecam się pańskiej życzliwości. Najniższy sługa, służeczka.

Z po za zamkniętych drzwi jeszcze dochodziły Kolomana jego dziękczynienia. Nawet gdy w chwilę potem wyjrzał oknem za nim, starowina zdjął kapelusz jeszcze na ulicy.

Koloman zabrał się wreszcie do urzędowej swej pracy.

W godzinę może powrócił pan Korcza do domu; w korytarzu już wydał rozkaz hajdukowi,

żeby zawiadomił kucharkę, że dziś będzie znakomity gość na obiedzie.

— Nie było tu przez ten czas nikogo? — spytał Kolomana we drzwiach.

— Był jakiś ubogi petent; odprawiłem go, — odpowiedział Koloman, nie odrywając oczu od papieru.

Pan Korcza nie przebierał się przyszedłszy do domu, przeciwnie nawet w miejsce skórzanej czapki, włożył na głowę haftowaną.

Niezadługo u drzwi rozległo się znów nieśmiałe, trzykrotne pukanie. Po kilkakrotnem wołaniu: „proszę! ależ proszę!“ otwarły się drzwi wreszcie i wielce pokornie wsunął się tenże sam ubogo ubrany staruszek.

Koloman odrzucił gniewnie nabok pióro i już miał na języku: „Wszakże to ten sam przyszedł znowu!“ — gdyby nie to, że nagle zmiana w zachowaniu się pana Korczy wporej jeszcze zatrzymała mu na ustach niewypowiedziane wyrazy.

Wiecznie szydlercza twarz z jaką adwokat przyjmował przybywających doń ludzi, zmieniła się nagle w wielce uprzejmą, skoro spostrzegł wchodzącego; zerwał się z krzesła, podbiegł naprzeciw przybyłego i zgiął się przed nim w ukłonach.

— Ah! najniższy sługa, waszej ekscelencyi! Waszej ekscelencyi?...

A on tę ekscelencyę dwugroszniakiem opatrzył i za drzwi wyprawił!

Ekscelencya wszakże każdy ukłon odwzajemniał dwoma, raz ku panu Korczy drugi raz ku Kolomanowi się zwracając, z tą samą zawsze uniżonością co poprzednio.

— Prędko, *domine frater!* — wołał pan Korcza, — pomóżże jego ekscelencyi zdjąć płaszcz...

— O, pokornie proszę, tego nie dopuszczę nigdy, — protestował jego ekscelencya.

I niedopuscił rzeczywiście, by mu ktobądź usłużył. Zdjął sam płaszcz, złożył go porządnie na krześle i pozostał w samym tylko surducie, tak samo błękitno-płowym jak płaszcz, tak samo wytartym i takim samym aksamitnym opatrzo-nym kołnierzem. Zapięty był szczelnie, tak, iż z brylantowego krzyża, który miał na szyi, górny róg tylko wystawał z pod kołnierza.

— Nie zechce wasza ekscelencya usiąść tu na kanapie! Kolomanie, podaj jego ekscelencyi podnózek.

— O, uniżenie dziękuję, nie mogę tego dopuścić żadną miarą. Niechaj wspaniałomyślny pan Koloman nie przerywa sobie swej pracy.

Koloman z serca radby był uciec z pokoju, ale to było niemożliwem. Pan Korcza skinął nań, by pozostał, potrzebować go bowiem może.

Ale doznawał czegoś w rodzaju uczucia, jakby go posadzono na szpilkach.

— Czekalem już na waszą, ekscelencyę, —
ozwał się pan Korcza. — Będę miał szczęście
widzenia pana u siebie na obiedzie.

— O, szczęście jest po mojej stronie...

— Mateusz Toth przyniósł już pieniądze. Był
punktualnym. Czy zechcesz je pan odebrać zaraz?

Mateusz Toth! W takim razie to hrabia
Decsery!

Teraz Koloman rad był sobie głowę rozbić
o ścianę; ten człowiek pokornutki w wyszarza-
nem ubraniu, któremu on podarował dwugro-
szniaka, to teść nadżupana, do którego ma kie-
dys iść za jurata. No, to pyszne pierwsze spo-
tkanie! Aż po brzegi uszu stał cały w płomie-
niach...

A jego ekscelencya, jak się zdało, najmniej-
szej na to nie zwracał uwagi.

Pan Korcza wydał złożone u niego pienią-
dze; hrabia przeliczył je, potem dołączył do nich
jeszcze czterdzieści tysięcy guldenowych papie-
rów i tak wręczył je znów adwokatowi. I on
również za te pieniądze zakupił dobra, których
cena musiała być natychmiast wypłaconą.

To więc były owe „cokolwiek pieniędzy“,
po które przyszedł do adwokata!

Koloman bił się pięścią w czoło i mówił so-
bie w duchu: O, ty poeto, o ty ciasna głowo!
Niedość ci było jednego dnia raz spudłować, mu-
siałeś gwałtem jeszcze raz wleźć w błoto?

Liczenie pieniędzy i wymiana pokwitowań zajęły czas do obiadu; potem odwołał pan Korcza Kolomana na stronę i wydał mu po cichu instrukcyę jakie i gdzie ukryte butelki ma przynieść z piwnicy. Był to obowiązek patuarysty. Sam je odkorkowywał następnie i doprowadzał do porządku.

Koloman zły był na siebie. Miałby był ochotę skazać się za karę na niejedzenie dziś obiadu. Radby był nie wyjść już wcale z piwnicy.

A tu już olbrzymiej tej głupoty ani sposób jakokolwiek naprawić!

Zanim powrócił wreszcie z piwnicy, obaj panowie siedzieli już przy obiedzie i niemal kończyli zupę. Przechodził mógł słyszeć, że śmieli się z czegoś niezmiernie.

Skoro wszedł, śmiech ustał nagle...

Rzecz jasna, że śmieją się z owych dwóch groszy.

Hrabia wprawdzie nadał swej twarzy wyraz takiej łagodnej powagi, że niesposób było na niej dopatrzeć śladu szyderstwa; ale pan Korcza, gdy raz ułoży swą fizioznomią do śmiechu, sporo czasu potrzebuje, nim wszystkie na niej wyrówna fałdy.

Ilekroć w ciągu obiadu spojrział pan Korcza na Kolomana, mógł zawsze w jego wzroku wyczytać fatalną historią dwugroszniaka.

Nie mógł doczekać końca obiadu, po którym wolno mu będzie usunąć się gdzie i zniknąć.

Niestety, po skończonym nawet obiedzie odcięto mu możliwość wymknięcia się.. Skoro tylko bowiem wstano od stołu, pan Korcza pochwycił Kolomana za głowę, co u niego stanowiło wstęp do przemowy, poprowadził go przed jego ekscelencyę i przedstawił temi słowy:

— Przyszły jurat jego ekscelencyi nadżupana.

— Mam już przyjemność... — przemówił hrabia. — Słyszałem wiele dobrego o naszym młodym przyjacielu. Ukształcony, dobrze pokierowany młodzieniec. Bardzo się cieszę, że idziesz pan na jurata do mego zięcia. I ja już miałem raz przyjemność osobistego zetknięcia się z panem. Zrobię ci wszakże, mój młodzieńcze, jedną uwagę: jeżeli każdemu żebrakowi będziesz dawał po dwa grosze, nie zostaniesz nigdy bogatym człowiekiem.

Pan Korcza śmiał się jak satyr i jego ekscelencyja uśmiechnął się łagodnie. Mimo to wszakże nie zwrócił owego dwugroszniaka.

Po obiedzie, ogólnie biorąc, każdy jest innym człowiekiem, niż przed obiadem. Stół nakryty równa ludzi, pozycye, wieki, różnice partyj.

Po obiedzie wolno dependentowi śmiać się z anegdot pryncypała. Jeżeli umie sam jeden zastąpić życzliwie usposobioną, rozśmieszoną pu-

blikę, zyska sobie nawet nazwę przyjemnego człowieka.

Uprzejmy, uniżony hrabia rzucił dotychczasową swą powłokę i przy czarnej kawie i fajce z gąsienicy zamienił się w ćmę co wraca wspomnieniem w dawne, dobre czasy.

Mówią po łacinie: hrabia Decsery w wytwornej mowie Tacyta, pan Korcza w niewybrednej kuchennej łacinie.

O, jakże im dobrze nią się posługiwać, jak im miło obu, że mogą wypowiadać swe myśli w ukochanym języku, w języku, w którym odbierali wychowanie, w którym myślą, którym nocą przez sen przemawiają, w którym modlą się Bogu i rozumieją Jego mowę, w języku, co jest mową króla i szlachcica, co odróżnia pana od chłopca i mężczyznę od kobiety, co jest mową księgi „*corpus juris*“ i mową przywilejów, mową umarłych i wiekuiście żyjących, w języku wszechświata, przed którym chyli się każdy naród, — w języku niebędącym „nieczyją“ własnością, którego nikt też poniżyć nie może...

Pan Korcza wtedy tylko bywa wymownym, wtedy tylko wylanym, gdy może mówić po łacinie, a hrabia Decsery wówczas błyska dowcipem, rozumem i wiedzą, wtedy jest panem. Po węgiersku umie tylko przemawiać uniżenie. Gdyby Koloman przy pierwszym spotkaniu ode-

zwał się był doń po łacinie, z pewnością nie nastąpiłoby zajście z dwugroszniakiem.

Skoro wszakże zajście to wprawiło panów w tak dobry humor, prosił przeto Koloman o pozwolenie również w łacińskim języku, opowiedzenia tego, co poprzedziło ów wypadek.

Z opowieści tej okazało się, że i on po obiedzie wymowniejszym jest, niż przed obiadem.

Jego ekscelencya nie mógł dość naocierać sobie oczu kolorową chustką, w tak nieprzerwaną wesołość wprawiło go *qui pro quo*, którego ofiarą stał się pan Mateusz Toth, dzięki pomysłowi Kolomana.

— *Ad vocem!* — ozwał się hrabia, wytrząsając fajkę. Z tym Mateuszem Toth miałbym coś jeszcze do załatwienia.

— Jestem do usług waszej ekscelencyi, — odrzucił pan Korcza, podając ponownie hrabiemu puszkę z wonnym cieniutkim tytoniem.

— Na gruncie sprzedanych mu dóbr mam przedmiot, który radbym bardzo od niego odebrać.

Pan Korcza pobiegł po fidibus. Koloman dostrzegł, że pryncypał jego po za plecami hrabiego na wązkim skrawku papieru nakreślił coś ołówkiem.

— *Domine frater!* zapalno jego ekscelencyi fajkę.

Koloman przeczytał na podanym sobie fidibusie wyraz: „*Taceas!*“ (Milcz!).

— Cóż to za przedmiot? — spytał pan Korcza.

— Kamienny krucyfiks.

— Kamienny krucyfiks? — Pan Korcza udawał, jakby nigdy nic o czemś podobnem nie słyszał.

— Tak, figura postawiona wskutek uczynionego niegdyś ślubu, którą kazał wznieść mój dziadek, kiedy te dobra otrzymał jako donacją. Muszę się przyznać, że o tem całkowicie zapomniał, bo nie byłem na tej puście już z jakie lat dwadzieścia. Ale żona moja, księżna, tem lepiej o tem pamiętała zato i wzruszyło ją to bardzo, kiedy się dowiedziała, że droga ta pamiątka rodzinna wraz z dobrami przejść ma w ręce kacerskiego chłopca. Żadną miarą nie chce tego dopuścić, aby ten krzyż pozostał własnością kalwina.

Pan Korcza otoczył się gęstym obłokiem dymu i spoglądał uporczywie w unoszące się jego kłęby.

— Tak, ale to będzie rzecz niełatwa! — wymówił wreszcie z faryzejskim wyrazem. — W kontrakcie odstąpioną jest wszelka nieruchomość; krzyża zaś trudno wliczyć między inwentarz lub ruchomości, bo on jest wbudowany w ziemię.

Koloman począł pojmować pana Korczę; widocznie chce Mateuszowi Toth uratować owe tysiąc guldenów.

Ślicznież go zrozumiał! Poeta!...

— Możeby jednak ów pan Mateusz Toth dał się skłonić dobrem słowem do oddania. Toż z tego nie może mieć żadnej korzyści.

— O! jednak ma korzyść i to niemała. Święta rodzinna pamiątka jest zarazem miejscem pielgrzymek; głównymi konsumentami oberży pusty są właśnie ci pielgrzymi. Przez zniesienie krzyża Mateusz Toth poniesie znaczną stratę w rachunkach swego wyszynku.

— A więc wiesz pan co, panie adwokacie? Ułóż się pan z tym poczciwcem. Bez tego krzyża ja nie śmiem pokazać się na oczy księżnie. Pan wie jak surowe ona ma poglądy w tej mierze, a ja nawykłem spełniać każde jej życzenie. Wręczam więc panu na ten cel tysiąc guldenów. Może niewonabywca zechce tem się zadowolić.

— Tego nie mogę oczywiście wiedzieć, ale próbować będę! — rzekł pan Korcza i pozostawił na stole położoną tysiącguldenówkę. — Ostrzegam jednak waszą ekscelencyę, byś nie zechciał osobiście traktować z tym wieśniakiem, bo to chłop chytry strasznie i chciwy. Skoro zobaczy jakie *praetium affectionis* wasza ekscelencya przywiązuje do tego pomnika i że księżna pani pragnie go odzyskać za jakąbądź cenę, to gotów nie zadowolić się nawet w dziesięćkroć większą sumę. O, to ja tylko wiem jak taki chłop jest przebiegły...

Hrabia przeto pozostawił to już panu Korczy, by się z tym przebiegłym chłopem ułożył i przyrzekł mu, że w razie szczęśliwego obrotu sprawy, nie okaże się niewdzięcznym za tę wielką uprzejmość.

Teraz już począł Koloman lepiej rzecz pojmować.

Rozmowę tę i negocyacyą przerwało wejście Mateusza Toth. Na ten raz obeszło się już bez pokornego pukania i zwiastowania się z po za drzwi, bo i on również był już po obiedzie, a w tym razie nawet taki Mateusz Toth innym jest człowiekiem.

Oczy mu błyszczały, a wąsy w górę były podkręcone.

— Zawiadamiam uniżenie, że się stawilem.

Jego ekscelencya wstał natychmiast i usiłował jak najdalej zrejterować przed panem Toth, aby czasem nie znaleźć się w niemiłym położeniu osobistego zamienienia choćby słowa z człowiekiem, któremu sprzedał swe dobra. To też cofnął się coperędzej do kancelaryi, dokąd wyszedł za nim Koloman. Panu Korczy nie dozwolił się wyprowadzić. Niechaj lepiej pozostanie i załatwi rzecz całą z tym przebiegłym chłopem. W kancelaryi pomógł Koloman jego ekscelencyi przywdziać płaszcz o siedmiu kołnierzach; staroświecka kareta z żaluzyami, zaprzężona w czwórkę starych siwoszów, czekała już przed bramą; jego

ekscelencya, mimo swych siedemdziesięciu czterech lat, wsiadł po wysokim stopniu karety bez wszelkiej pomocy i zapewnił Kolomana, że pozostaje jego uniżonym sługą.

Kiedy Koloman powrócił do kancelaryi, pan Korcza ukończył był dokument ugodny, mocą którego pan Mateusz Toth zobowiązywał się zwrócić zakwestyonowany krzyż kamienny hrabiemu Decsery, ten zaś przyrzekał takowy własnym kosztem do dóbr swych przeprowadzić.

— Trudno to było z nim zrobić — mówił pan Korcza, uderzając rozpromienionego Mateusza Toth po ramieniu.

— Ale ja się też panu za to odwdzięczę — odpowiedział uszczęśliwiony poczciwiec. — Jak tylko do domu powrócę, przyszlę panu zaraz tłuściutkię prosię.

I wyszedł również i wsiadł na wóz drabiniasty, który trzy ogniste ogiery poniosły przez góry i doliny.

A kiedy następnie pan Korcza pozostał sam na sam z swoim patuarystą, tak do niego przemówił:

— No, *domine frater*, weźno teraz księgę przychodów i wpisz w rubrykę „opłat i akcydensów:“ „za sprawę krzyża od hrabiego Decsery 1000 guldenów i od Mateusza Toth 1000 guldenów“.

Koloman zagryzł usta; pan Korcza spostrzegł, że w duszy nie pochwała tego sposobu postępowania.

— A cóżbyś ty był zrobił w tym wypadku?

— Ja? Oddałbym jednemu i drugiemu owe złożone przez nich tysiącguldenówki, a od nich zażądałbym przypadającego mi honorarium.

— A wtedy od chłopca dostałbyś prosię, od hrabiego zaś dwugroszniak, który mu dał patu-
arysta. O, ty poeto, poeto!

I tak też było istotnie. Pan Mateusz Toth przysłał prosię, ale to prosię zaledwo zdatne do upieczenia. Hrabia zaś okazał swą wdzięczność za starania pana Korczy w ten sposób, że dziękczynny własnoręczny list księżny przysłał mu w własnoręcznie zaadresowanej kopercie; ale dwugroszniaka nawet nie dołączono. Listu zaś nie czytał wcale pan Korcza, bo był po niemiecku napisany, a ilekroć czytać musiał list niemiecki, mecenas doznawał uczucia, jakby przywdziewał nowe, ciasne buty.

PRZEGLĄD PROCESÓW.

Pierwszego dnia najbliższych sądowych ferij tak przemówił pan Korcza do swego patu-
arysty:

— *Domine frater*, ja jutro wyjeżdżam do Wiednia. Oprócz hajduka nie biorę z sobą nikogo; od dziś za dwa tygodnie powrócę punktualnie. Przez ten czas wszystkie kłopoty domowe gospodarstwa pozostają na twojej głowie. Masz tu na dwa tygodnie pieniądze dla kucharki; każ gotować tyle, jak gdybym ja był w domu. Jeżeli w tym czasie zgłaszać się będą klienci, przyjmuj ich, wysłuchaj zawsze wszystkiego i prowadź dziennik spraw sobie powierzanych. Ażebyś zaś przez cały ten czas się nie nudził, wyjmuj tu sobie po kolei fascykuly aktów i przeglądaj je... W jednej tu szafie są sprawy cywilne, w tej drugiej kryminalne, klucza od pierwszej nie dam ci jeszcze, bo tam są papiery dotyczące spraw rozwodowych. Bierz-że sobie jeden po drugim fascykuly i porób z nich wy-

ciągi tak, jakbyś procesa te przed sądem miał wnosić. Do tych zaś, które są jeszcze w biegu, napisz wedle własnego uznania replikę, duplikę lub tryplikę. I wszystko to przedstaw mi za moim powrotem.

Zlecenia takie należały do sztuczek pana Korczy, które ilekroć podczas sądowych feryj wyjeżdżał dla odetchnienia, pozostawiał zawsze patuaryście klucz od swego archiwum; zdarzało się bowiem czasem, że adwokat przeciwnej strony żądał w tym czasie wydania aktów. W dziewięciu przecieź razach na dziesięć bywało tak, że patuarysta na to wielkie odznaczenie tak sobie odpowiadał w duchu: „Jeszcze czego! Zaraz ci tam zasiądę do twoich stęchłych aktów i z głupich procesów będę ci robił wyciągi, i pisał repliki, które się psu na budę nie zdadzą! Ja ledwie mogę doczekać się, żebyś już wyszedł za próg, a wtedy kto chce czego odemnie niech mnie szuka „pod Koroną“ na bilardzie.

Z pomiędzy dziesięciu, z pewnością dziesięciu taką miało w myśli u adwokata odpowiedź; a co sobie przyrzekli, dotrzymywali z pewnością święcie.

Jednakże czasami zdarzył się taki dziesiąty, co się zagłębiał w powierzonych mu papierach, jak świeżo przyjęty uczeń u korzennego kramarza rzuca się na migdały i rodzynki; taki

rozradowywał serce pana Korczy, za jego powrotem, całym stosem wyciągów i replik. Prace te Korcza uznawał zazwyczaj od A do Z za niesłychane głupstwa, za sam fakt pilności przecież chwalił niezmiernie dependenta.

— Z ciebie będzie adwokat, bo masz chęć do tego...

Rzadki taki osobnik pozostawał zawsze jego ulubieńcem; rekomendował go potem na jurata w takie miejsca, gdzie mógł nabyć praktyki, a skoro złożył przysięgę adwokacką, odstępował mu drobniejsze sprawy i wprowadzał go sam w szczytną prawniczą karierę.

Koloman należał również do gatunku owych dziesiątych.

Skoro szef jego wyjechał, zamknął się zaraz w kancelaryi i wychodził z niej tylko na obiad i na noc... Przez dzień cały zagłębiał się w czytaniu procesowych aktów.

Procesy te wszakże nie uczyniły zeń adwokata.

Zajmowały go w nich wyłącznie psychologiczne spostrzeżenia, studia nad znajomością ludzkiej natury, prywatne stosunki, historyczne powikłania, a wszystko to właśnie pouczało go, że z niego nigdy nie będzie dobry adwokat.

Zadaniem poety jest zawsze: bronienie sprawiedliwości; obowiązkiem adwokata: obrona winnego, niesprawiedliwego, obrona, jeśli ten

jest jego klientem, tak gorąca, jakby sam siebie bronił, bo on jest winnego *alter ego* i do tego obowiązuje go jego przysięga, jego zawód. Sprawiedliwość poety wszakże musi w nim zamrzeć.

A jakimże to studyum psychologicznem są te procesy olbrzymie!

Rodzeństwo walczy z sobą o majątek, który poczciwi rodzice zbierali na to, aby dzieci ich były szczęśliwe. Pozostawili im klątwę w dzieciństwie.

Wielcy panowie prowadzą procesy przeciw ludziom ubogim, którzy mrą głodem i cenę ostatniego kawałka ziemi oddają za pieniądź.

Chytrzy krewniacy wyzyskują biedne sieroty i wyzuwają je z całego mienia.

Całkiem jasne żądania, sprawy czyste, proste, ciągną się często przez całe życie dwu ludzi.

Skutkiem dwuznacznego wykładu wątpliwego jakiegoś punktu, magnaci wychodzą na żebraków, lub znowu stają się nimi skutkiem własnych szaleństw nie do wiary.

Są tam i ludzie co bez sporu żyć nie mogą, dla których klótnia jest żywiołem tak potrzebnym, jak powietrze do oddechu, którzy z każdym śmiertelnikiem, z którym się zetknęli kiedykolwiek, muszą stanąć koniecznie przed sędzią.

Stuletniemu biegowi granicznych sporów żaden sędzia nie zdoła położyć końca.

A dopieroż kryminalne procesy! Cóż to za studyum okropne! Cóż za kraj ciemny podziemnego świata! Zawikłane tragedye fałszerstw, podrobień testamentów, ohydne czyny niskiej żądzы posiadania, pościg za groszem, co się na wszystko waży.

A potem ten język, którym adwokaci mówią wzajem o sobie — tam na papierze! Kiedy już wyczerpali wszystkie obelgi, kiedy już wyszarпали dobre imię klienta swego przeciwnika, wtedy rzucają się na siebie jak dwaj gladyatorzy, co się wzajem za żołd rozdierają. Maczanami w truciznie piórami kłują się do żywego w wątroby. Co który wie tylko złego o adwokacie przeciwniku, to wypowiada coperdziej. Żadne najdrobniejsze przekroczenie, które dzieckiem jeszcze popełnił, nie może się utaić, każdym muszą mu w twarz rzucić publicznie. Jeżeli w szkołach kiedy, małym chłopcem, narwał śliwek z cudzego ogrodu, z pewnością napiętnują go nazwą złodzieja; jeśli od niego otrzymał ktoś list najobojętniejszy, w którym data była poprawioną, w mig o nim powiedzą, że jest fałszerzem. Jeżeli był powodem zmartwienia dla swoich rodziców za młodu, dowiodą, że jest ojcobójcą. Jeśli kiedy u rzeźnika służącej jego wydano fałszywego cwancygiera, jego nazwą fałszerzem pieniędzy. Ma liberalne poglądy, tedy jest buntownikiem; stoi po stronie

rzędu, okrzyczą go zdrajcą ojczyzny; chodzi do kościoła — faryzeusz, nie chodzi — ateista. Gra w karty, krzykną że jest szulerem; nie gra, jest dusigroszem, skoro ma żonę, powiedzą mu, że jest rogaczem, nie ma jej — uwodzi-
ciolem. Jest majątny, zaraz go nazwą lichwia-
rzem, ubogi — będzie włóczęgą, oberwańcem. Jeśli jest pięknym mężczyzną — maluje się; gdy jest brzydkim, zowią go straszylem na wróble. Jeśli kiedy w jego kominie zapaliły się sadze, to staje się zaraz podpalaczem; ma nos czerwony — okrzyczą go pijakiem, a biada już temu, którego kiedy ze szkół wypędzono! Może być pewnym, że każdy z jego przeciwników tak rozpoczynać będzie swoją replikę: jakkol-
wiek powszechnie jest wiadomem, że szanowny adwokat strony przeciwnej ze szkół został wy-
pędzonym,“ i t. d. Czasami obustronna uprzej-
mość zachodzi tak daleko, iż sędzia nie może spokojnie patrzeć na to, więc bierze czerwony ołówek i na mocy przysługującego mu prawa, wykreśla grubiaństwa; często nawet dalej jeszcze posuwają się rzeczy i jedna ze stron skazaną zostaje na karę pieniężną, która wszakże po większej części zalega.

Koloman próbował wszystkiego, co mu szef jego zalecił. Robił wyciągi z długich procesów; mimo to wszakże uczynił na sobie spostrzeże-
nie, że wieczorem, gdy się położy po długiej

całodziennej pracy, nie może zasnąć, że jakieś niepokojące pragnienie, jakieś nieokreślone uczucie budzi go ze snu; że nie jest zadowolonym jeszcze. Czuje jakąś dziwną tęsknicę i ponownie bierze pióro w rękę, by z tychże samych potwornych procesów, z których przez dzień robił wyciągi, nocą tworzyć powieści i dramata.

Bo to dopiero jest rozkoszą!

Częstokroć pytają poetę: jak ty możesz *pracować* tyle?

„Ja nie pracuję, ja doznaję rozkoszy“.

Dlaczego pracujesz dniem i nocą?...

„Gdybym tego nie uczynił musiałbym umrzeć!“

Jednego brak było tylko jeszcze Kolomanowi: ideału:

Koloman rzeczywiście dotąd nie wiedział co to jest kobieta?

Jest choroba, którą dotknięci ludzie, nie widzą barwy przedmiotów. Wszystko jest im białe lub czarne wyłącznie. Choroba ta nosi nazwę „achromopsis“.

Wyobrażam sobie, że nasz praszczur Adam był pierwszym, którego dotknęło to cierpienie, zanim stworzoną została Ewa.

Wtedy dopiero dowiaduje się mężczyzna jakie świat ma barwy. Kobieta jest słońcem tęczy. Dlatego też kobieta rzadko może być poetą. Ze słońca tęczy nie dojrzysz.

.
Pewnego przedpołudnia silne zakołatanie do drzwi biura oderwało Kolomana od czytania aktów i kiedy oprzedzej wygłosił zwykle hasło: „proszę“ wraz z niem niemal rozwarły się drzwi pchnięciem nogi wyparte, i przed wynurzającym się z poza stosu aktów młodzieńcem stanęła marsowa postać, w zielonym huzarskim dolmanie, w karmazynowych obcisłych spodniach, przy szabli, z wąsem w sznur zakręconym, słowem strasznie groźna.

Nam znaną jest ta postać. To major Sartory, szwagier Berti Csollana; Koloman wszakże nie znał go dotąd.

Olbrzymi mężczyzna postąpił, dzwoniąc ostrogami, ku młodzieńcowi, a kiedy stanął tuż przed nim, odrzucił w tył głowę w sztywnym włosienicowym krawacie, uderzył szablą w poplamioną atramentem podłogę z całej siły i zagrmiał:

— Czy jest mecenas w domu?

Koloman odpowiedział z urzędową uprzejmością, potrząsając głową, że pana mecenasu niema w domu.

— Więc gdzież się teraz włóczy? — zabrzmiał umundurowany; — kiedym ja mu napisał, że tu dziś będę? Dlaczegoż nie trzyma swego nosa w domu? Czemu mi za siebie pozostawia swego pisarka, takiego gapia?

Koloman starał się przeciw temu wyrażeniu energicznie zaprotestowó.

— Dobrze już, dobrze, mój synu. Możesz ty mi krzycheć tu długo — uspakajał go ry-cerz. — Ja jestem głuchy jak pień... To tak, jak gdybyś usta przyłożył do otworu tego ka-lamarza i w niego wrzeszczał. Dla mnie możesz sobie gadać póki ci się podoba. Czy mnie bę-dziesz kłał w żywe kamienie, czy częstował naj-wytworniejszemi pochlebstwami, to mi wszystko jedno zupełnie. Ja tego nic a nic nie słyszę. Ale co ja tobie powiem, to ty słyszysz. A za-tem powiadam ci, że twój pryncypał to lotr, szelma, złodziej, który procesy naumyślnie prze-ciąga bez końca. Ty jesteś teraz pączkiem, z którego niezadługo wyrośnie takie samo szu-bienicze ziółko, jakim jest twój pryncypał.

Koloman skamieniał, z powodu zdumiewają-cego tego uczczenia, i nie wiedział co ma odpo-wiedzieć.

Ale głuchy gość krzychał wciąż dalej tu-balnym swoim głosem:

— Teraz ja tu siądę sobie na kanapie i po-czekam, dopóki twój pryncypał nie wróci do domu. Ale za to jak przyjdzie, ściągnę z niego żywcem skórę.

I nielitościwy gość zajął szturmem pozycyą na kanapie, wśród porozkładanych aktów, i by się w niej lepiej utwierdzić, założył prawą nogę

na lewą, na nodze położył szablę i tak oczekiwał, aby go nieprzyjaciel wyparł ze stanowiska.

Teraz już Koloman naprawdę osłupiał. Bo co tu począć z tym wielkoludem, który ma tę nad nim wyższość, że może bezkarnie bombardować dwudziesto-cztero funtowemi grubiaństwami, opancerzone mając uszy czterocalową stalą?

I w dodatku pociesza go obietnicą, że będzie czekał, póki pryncypał nie powróci do domu!

Ależ pryncypał jest w Wiedniu i powraca dopiero za tydzień!

Wtem przyszła Kolomanowi myśl rozsądna układania się z miłym gościem na drodze przyzwoitej, to jest piśmiennej.

Aby pomysł ten przeprowadzić, począł wystosowywać adres do przybysza, w którym przedstawiał mu stan rzeczy, oraz wynikające zeń niedogodności i który kończyć się miał energicznym protestem przeciwko wszelkiemu naruszaniu prawa.

Nie mógł wszakże adresu tego dokończyć...

Zaledwie doszedł do połowy, posłyszał skrzyp otwierających się drzwi, a jednocześnie zerwał się z kanapy siedzący na niej pan i ryknął przeraźliwie:

— Aha! przychodzi ten łotr wreszcie! *Servus*, adwokacie!

Koloman odwrócił głowę zaciekawiony, ktoby to był ten nieszczęśliwy, którego wojowniczy gość w swym ferworze bierze za pana Korczę, i zdumiał się niemało, spostrzegłszy, że przed nimi, we własnej swej postaci, stał istotnie pan Korcza. Powrócił przed upływem oznaczonego czasu i w podróżnych jeszcze, zakurzonych sukniach, stawił się na zapowiedzianą schadzkę.

Ale pan Korcza znał swego gościa i wiedział jak mu stawić czoło.

Przybrał twarz intrygantką, nieświadomą niczego zgoła, gdy mierząc huzara od stóp do głowy, zdejmował równocześnie z całym spokojem płaszcz swój i stawiał w kącie parasol.

Dzielny bojownik przecieź rzucił się ku niemu i prostując sztywny swój krawat, wyprężony jak struna, przedstawił się:

— Jestem major Sartory, mój panie!

Koloman wiedział już co zacz ten pan; ale gość miał się teraz dowiedzieć kto jest pan Korcza.

Szczupły, niski adwokat przysunął się na te słowa tuż do rozgniewanego majora, wspiął się na palce ku niemu, tak że ustami dotknął jego ucha i zawołał:

— Ha?

Dzielny wojak wygiął się w tył i popatrzył na niego zdumiony.

— Mówię, że jestem major Sartory! Major huzarskiego pułku.

Pan Koroza, który już zupełnie włożył się w swoją rolę, podniósł zgiętą w trąbkę rękę do ucha, przymrużył lewe oko, podniósł w górę lewy ust kącik i spytał:

— Co?

Major przeraził się tym nadnaturalnym fenomenem, że oprócz niego może być jeszcze inny jakiś człowiek na ziemi, całkowicie nie nie słyszający!

Przyłożył usta do ucha adwokata i ująwszy je ze stron obu w klamrę dłoni, aby dźwięki tem lepiej mogły się doń wedrzeć, ryknął mu w ucho, jak tylko mógł najgłośniejszemu:

— Jestem major Sartory. Niech cię piorun trzaśnie, ty głuchu!

Panu Korozy nie drgnęła nawet powieka.

Wzruszył ramionami i gestem rozłożonych rąk pokazał, że to jeszcze nie dostateczne.

Wojak obejrzał się dokoła zrozpaczony. Jakąby tu bronią zamordować teraz tego krętacza?

Znalazł ją!

Na stole leżał kawałek kredy. Pochwycił ją i pobiegł do drzwi, pomalowanych na brunatny kolor i namalował na nich olbrzymiemi literami pytanie:

— Czyś pan głuchy?

Pan Korcza wyjął mu z rąk z największą flegmą kredę i odstrzelił takim samym gatunkiem broni:

— Cokolwiek niedosłyszę.

Major wyjął znów z rąk adwokata kredę i pisał dalszy ciąg rozmowy na drzwiach:

— Ty mataczu procesowy, powiedz-no mi co robi proces pani Csollan?

Pan Korcza poszukał drugiego kawałka kredy w szufladzie, żeby sobie ciągle nie byli zmuszeni tego samego wyrywać. Potem napisał odpowiedź:

— To, co pan major robi: odpoczywa!

Teraz znów major postawił pytanie:

— Czemu tak do nieskończoności wleciecie ten proces?

Pan Korcza odpisał:

— Bo on się sam tak wlecze.

Major zły namalował znów na drzwiach:

— Adwokat oskarżonego jest takim samym jak ty łajdakiem.

Pan Korcza zareplikował:

— Powiedz to sam o sobie grubianie.

Major łajał dalej:

— Złodzieje, rabusie, kiedyż skończycie narzeszcie ten proces?

Odpowiedź była okropniejszą jeszcze.

— Skoro pan umrzesz.

Pytania i odpowiedzi zwolna zapełniły całą długość drzwi. W tej chwili major przykucał właśnie przed tablicą i pisał:

— Mordercy! Truciciele! Wy mnie chcecie zabić?

Pan Korcza nie pozostał dłużnym:

— Kto się boi, że go zamordują, niech się powiesi.

Major raz jeszcze położył się pod drzwiami na brzuchu.

— Ja was porąbię na sztuki, psy!

— Żaden pies nie boi się twego rożenka!

Że jednak ani jednego wiersza nie można już było pomieścić, major wpadł na sposób przedłużenia milej tej rozmowy. Spostrzegł zajęczą łapkę na stole, pochwycił ją natychmiast, wytarł nią górną część drzwi i rozpoczął u samego wierzchu!

— Ja was zaskarżę do samego cesarza.

I pan Korcza się nie lenił.

— Kiedy ja się nie boję cesarza.

Na to *dictum* niemy huzar odzyskał odrazu mowę. Rzucił o ziemię kredę i dłonią uderzył po rękojeści szabli.

— Co! — ryknął głosem lwa zranionego. — Ośmielasz się pisać to o cesarzu? Idę do generała, idę do żupana. Sprowadzę tu żandarmów! Żebyście mi w tej chwili nie zmazali tu tego bluźnierstwa! Żebyście się nie wazyli tego stąd

zatrzeć, póki ja tu nie wrócę! Ja tu za chwilę powrócę z patrolem. Tylko ty się stąd nie wymknij!

I z krzykiem wybiegł za drzwi i pognał w ulicę, bezustannie grożąc generałem, audytorem, patrolem, sądem wojennym. Ale idąc ulicą, zaczął zastanawiać się jeszcze nad całą sprawą i przyszło mu na myśl, że dla czegoż miałby się kto obawiać cesarza, kiedy ten nie straszy przecież nikogo. Nie poszedł więc ani do generała, ani do żupana, lecz spokojniuteńko zawrócił do hotelu; tam przywołał sobie kazał wiernego swego trębacza Feri Csuka. — Chodź tu, mój synu, przysuń do mego ucha trąbę i zagraj mi tę pieśń: „A, nie martw się, rzuć troski, toż nie zawsze już tak będzie...“

Położył się na kanapie i w skupieniu ducha słuchał tych jedynie pocieszających go dźwięków.

Pan Korcza tymczasem, na opuszczonem przez nieprzyjaciela polu bitwy, święcił swój tryumf zacieraniem rąk i dreptaniem w kółko po pokoju.

— Widzisz, *domine frater* — mówił do Kolomana, adwokat i do takich rzeczy musi się przyzwyczaić.

Koloman wstrząsnął głową, zdumiony.

— Ja nie mogę zrozumieć całej tej historii.

— Tak, ale bo też to ciekawy przypadek; jedno z tych zabawnych powikłań, w których obie strony mają słuszość.

— A więc major ma słusność?

— Najzupełniejszą.

— A my?

— My także mamy słusność.

— To niemożliwe.

— Ja ci to kiedyindziej wyjaśnię, a wtedy zrozumiesz. Ale teraz, według mnie, nie czas na to jeszcze. Ja wracam teraz do Wiednia. Zmieniają mi tylko konie. Widzę że tu fascykuly procesów pilnie studyujesz. Skoro wrócę, przejrzę sobie coś zrobił. Teraz dlatego tylko spieszyłem do domu, aby ci wydać jeden z procesów zamkniętych w szafie; bo ten waryat gotów napisać i na adwokata strony przeciwnej i byłbym skompromitowany, gdyby rozkaz sądu zmusił mnie do wydania przetrzymanego procesu. Tu jest, oddaję ci go... Gdyby po niego przychodzili, wydaj, ale zażądaj pokwitowania z odbioru. To proces Csollanów i Sartorych. Bo przecie wiesz, że rozwodowe procesy chowamy pod kluczem. W nich często są takie rodzinne tajemnice, których strzedz musi pieczęć milczenia. Takich adwokat nie zwykł wydawać w ręce swemu dependentowi. Ja jednak odważam się na oddanie jednego z takich procesów tobie, bo z ciebie człowiek poważny. Jeśli chcesz możesz go przeczytać; nie zechcesz — tem lepiej. Jeśli jednakże zabierzesz się do tej lektury, to daję ci dobrą radę: nie czytaj z tą ciekawością,

z jaką młodzieniec wejrzeć pragnie w tajemnice pięknej kobiety, ale z zimną krwią prawnika, który w wątpliwej sprawie stara się trafić na ślad prawdy. A gdyby wypadkiem miała się zbudzić w tobie ochota wyrażenia własnego zdania, nie mam nic przeciw temu. Spróbuj wynaleźć punkt obrony bądź dla strony skarżącej, bądź dla oskarżonego. Napisz wedle upodobania mowę obrończą w tym procesie. Ale wtedy znów radzę ci: nie daj się porwać łatwo zapalającej się imaginacyi młodzieńczej, ale niech pióro twe prowadzi adwokacka znajomość paragrafów. Tu trzeba być rabulistą. Zobaczę, czy z relacyi obu adwokatów zdołasz wynaleźć jądro prawdy?

— Nie zajrzę nawet w te papiery — wymówił się Koloman.

— No, to najlepsze co zrobić możesz, jakkolwiek w tym punkcie pozwól, że będę Tomaszem niewiernym.

Pan Koroza nie zabawił już dłużej. Musiał spieszyć do Wiednia napowrót, gdzie wielkie procesy wymagały jego obecności koniecznie.

Koloman pozostał sam w domu.

Jednakże z procesem pięknej pani nie ośmielił się przebywać w jednym pokoju. Zamknął go w biurze, a sam przeniósł się do swego ogrodowego pokoiku. Tam wyjął wpół zaledwie wykończone poezye: Przybywajcie Muzy, przy-

bywajcie, wy, duchy czyste! O, weźcie mnie w swą opiekę, wy mnie strzeżcie!

Nazajutrz wczesnym rankiem zamknął się Koloman w kancelaryi, z mocnem postanowieniem, że dziś ogromnie pracować będzie. Jedne drzwi izby wychodziły na sień, drugie prowadziły do reszty mieszkania, przez które aż do kuchni było przejście, w tym celu by pani Piotrowa mogła się tam dostać, gdy jej o czem zameldować przyjdzie.

Pani Piotrowa była kucharką.

Pani Piotrowa nie umiała ani pisać, ani czytać, ani nie znała się na wielkiej sztuce odejmowania i dodawania liczb.

A jednak, rzecz dziwna: ilekroć otrzymała na targ pieniądze, z których potem musiała zdawać rachunek przed patuarystą — codziennie ponawiał się cud zdumiewający naprawdę. Pani Piotrowa otrzymywała zawsze pewne stale oznaczone *quantum*, i nigdy reszty z tych pieniędzy nie przynosiła do domu; ażeby jednak nie zostać pokrzywdzoną w rachunku, miała chwalebny obyczaj na każdym produkcie podwyższać takse bodaj o krajcara, tak że regularnie, ilekroć patuarysta zsumował ten rachunek, rezultat okazywał się taki, że z danych sobie naprzykład 50 krajcarów pani Piotrowa zdołała wydać 55.

Skoro przeto Koloman u drzwi tych posłyszał klepanie pantofli, wiedział już, że to będzie nie co innego, jak oficjalna wizyta pani Piotrowej.

Na ten raz przecież mistrzyni kulinarnej sztuki nie wchodzi do pokoju, lecz tylko wsuwa przeze drzwi głowę i jedną rękę i kiwa na niego tajemniczo, żeby przyszedł zaraz...

— Cóż tam takiego, co się stało?

— Chodźno pan prędzej — szepnęła Piotrowa. — Jest tu jedna piękna pani.

— Gdzie?

— No, gdzież? w salonie.

— Jakże się tam dostała?

— Ja ją wpuściłam.

— Tak, ale czemużście ją wpuścili?

— Toć ją znam, przychodzi tu często. Bogata klientka!

— Czemużście jej nie powiedzili, że pana Korczy niema w domu?

— Ja jej to powiedziałam i że tylko panicz jest tutaj. A ona mi na to, że to jej wszystko jedno, że ma do pomówienia w ważnej sprawie.

— Do dyabła! — irytował się Koloman. — Zaraz tam przyjdę!

Przejrzał się nawet w lustrze — (wyznajemy, że młody mężczyzna jest równie próżnym jak kobieta), a potem udał się do salonu na konferowanie z ową panią.

Jakże zabiło mu serce, gdy spostrzegł kto tam na niego czeka.

Była to Katinka, piękna kobieta, z oczyma, co rzucają na ludzi, urok czaru...

— A! to pan jesteś patuarystą pana Korczy? — wymówiła dama, zobaczywszy Kolomana. — No, proszę, stary adwokat nic mi o tem nie powiedział, że pan tu jesteś. Bardzo to nieładnie z pańskiej strony, że od owego czasu nie odwiedziłeś mnie jeszcze.

Koloman poczerwieniał jak rak na to łaskawe przypomnienie.

— U mnie co tydzień bywa wieczorek tańczący, a młodzi tancerze są nam pożądanii zawsze.

To go ochłodziło nieco. Jako tancerza! A zatem o urzędowej czynności tylko tu mowa. Odpowiedział jakimś banalnem przyrzeczeniem.

— I teraz przerwałam panu pracę. Proszę mi wybaczyć. Chciałam dowiedzieć się czego o moim procesie.

I mówiąc to, usiadła przy stole na fotelu, oba łokcie oparła na stole i patrzyła przed siebie.

Kolomana wprowadziło to w niemały kłopot. Może ta piękna pani ma jeszcze jaki inny tu proces...

— O jakim procesie łaskawa pani mówi?
Pani odrzuciła głowę w tył wesoło.

— Bogu dzięki, mam dopiero jeden proces na tym świecie, mój proces rozwodowy.

Koloman zdecydował się w jakimś pobożnym kłamstwie szukać furteczki.

— O ile wiem — rzekł spuszczać oczy — procesa takie szef mój zamyka.

Pani załamała ręce i zaśmiała się głośno.

— Ha, ha, ha! jak też pan nie umiesz kłamać! Toż ja wiem od adwokata przeciwnej strony, że ten proces pan Korcza pozostawił swemu dependentowi, od którego otrzymać go można. Ale powiedz mi pan czemu chciałeś skłamać przedemną?

Koloman wpadał w coraz większe pomieszenie. Te śmiejące się oczy smagały go, jak różga smaga małe dziecko.

— To prawda — przyznał — że proces jest w moich rękach. Ale szef mój powierzył mi go z pewnymi instrukcjami, a wśród nich niema bynajmniej tej, bym go łaskawej pani miał pokazać.

— Jakto? Panu wolno czytać to co mnie dotyczy, a mnie samej nie wolno?

— Ja nie zajrzałem jeszcze do tego procesu.

— Darmo mi pan to mówisz, nie wierzę temu. Czytałeś go pan... Wiesz co w nim jest... Teraz i ja chcę wiedzieć także!

— Zapewniam panią słowem honoru, że nie czytałem z niego ani litery!

— Tem lepiej, w takim razie będziemy go czytali razem. Słyszysz pan, ja tak chcę! — I piękna pani tupnęła nóżką. — Tam idzie gra o duszę moją, ja chcę wiedzieć jak ta gra idzie!

Z rozkazywaniem dziwnie jej było do twarzy.

— Więc idźże pan teraz i przynieś tu akta procesowe.



KONIEC TOMU PIERWSZEGO.



23/10.47

26.

714 2640 -

18

36

2009-09-02

2011-07-14

05.05.1999

2009-09-02

2013-09-09

STUDIUM NAUCZYCIELSKIE
w GLIWICACH

sp 13426